16 stron

Marian Spychalski: O artyście malarzu Franciszku Bartoszku

Cena 50 zł

W ŚWIĄTECZNYM NUMERZE: Jerzy Andrzejewski, Jerzy Borejsza, Piotr Borowy, Tadeusz Breza, Jan Brzechwa, Gustaw Flaubert, K. I. Gałczyński, Irena Gefon, Stanisław Gogłuska, Aleksander Herzen, Wiktor Hugo, Mieczysław Jastrun, Grzegorz Korczyński, Julian Krzyżanowski, Stanisław Jerzy Lec, Bronisław Linke, Adolf Nowaczyński, Zygmunt Mycielski, Stanisław Piętak, Ksawery Pruszyński, Julian Przyboś, Wacław Rogowicz, Jan Rojewski, Aleksander Wat, dr J. P. Zajączkowski, Jerzy Zaruba

CZYTELNIK

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14

Rok V — Warszawa, dnia 28 marca – 4 kwietnia 1948 r. — Nr 13 – 14 (174 – 175)

KSAWERY PRUSZYŃSKI

KWESTARZ WIELKANOCNY

KOLORYT I PROFIL

Wróciłem właśnie z sześciodniowego objazdu w ramach akcji „Autorzy wśród swoich czytelników". Objazd ten był nieco odmienny od objazdów moich znakomitych poprzedników. — Nie dotyczył wyrwanych, osobno wziętych, wydłubanych jak rodzynek z wielkanocnego ciasta, wielkich miast. Nie dotyczył Wrocławia, Krakowa, Poznania. Nie odbył się po wciąż odkrywanych na nowo i wciąż jeszcze nieodkrytych ziemiach zachodnich. Wręcz przeciwnie. Był to objazd jak na nasze czasy, dosyć wschodni. Dotyczył normalnej przeciętnej prowincji. Nie dotyczył okręgów przemysłowych, górniczych, miejskich. Przeciwnie, odbył się w kraju typowo rolniczym. Był wreszcie w połowie miejski, a w połowie wiejski. W połowie należał do akcji „Autorzy wśród czytelników", w połowie zaś do nowej, właśnie podejmowanej, akcji badania przez samych autorów czytelnictwa wsi. Terenem była Lubelszczyzna — Puławy, Końskowola, Chełm, Lublin, Rybczewicze, Pilaszkowice — że wymienię kolejność marszruty. Ot, objazd przypadkowy, kwestarski. Pamiętamy z Mickiewicza, Syrokomli, z Andriolego rysunków, nieco z Chodźki, Odyńca i Rzewuskiego owych zakonnych kwestarzy, braciszków w burych habitach, co to wypuszczali się w dalekie zagony od swego klasztorku, po ofiary, wiadomości, składki. Ówdzie osełek parę, tamże baranka (jako że Wielkanoc nadchodzi). Tu zawieźli kalendarz, ówdzie druczek, obrazek gdzie indziej, no i dobre słowo odpustu. Protoplaści wieczorów autorskich. Objazdy przypadkowe, nawet w pojęciu statystyków, to dobry sposób badawczy. Ujrzymy, skąd wróci się z masłem, gdzie najlepsze pisanki a gdzie wieprze, gdzie owce najchudsze, — no i gdzie barany o łbach najtwardszych. Gdzie świta Zmartwychwstanie, a gdzie jeszcze najgłębsza panuje Wielkanoc.

Lubelszczyzna zaś, moim zdaniem, to bardzo typowa, przeciętna Polska. Są wszędzie rozsypane dosyć bogato ślady świetnej, kulturalnej przeszłości: są krwawe i wojenne wspomnienia, świeże jeszcze, które ten kraj okryły bliznami, utoczyły mu sporo krwi, ale jednak go nie zabiły, nie zniszczyły zupełnie jego dawnego oblicza. Zielony horyzont wsi, jak we wczesnych obrazach włoskich, przeziera tu za wieżami starych kościołów, zza niedługich ulic i nielicznych fabryk. Coś tu jest jeszcze czasem z owej Polski saskiej, z imć księcia biskupa warmijskiego, kiedy to na nasze miasto składały się „trzy karczmy, bram cztery ułomki, klasztorów dziewięć i, gdzieniegdzie, domki": coś także z owego miniaturowego, niemal andorskiego, Królestwa Kongresowego, które miało takie śliczne mundury, budowało po miastach tak piękne ratusze i wydało ziemiańskich senatorów-kasztelanów à la stary Kajetan Koźmian: coś także z owej późniejszej epoki, z owej rosyjskiej Kongresówki, której miasta, ludzie, prowincja i czasy utrwaliły się tak wyraziście w „Syzyfowych pracach" Żeromskiego czy w „Nocach i dniach" Marii Dąbrowskiej. Są więc stare lipy i topole Puław, rozszumiałe wokół pierwszego polskiego muzeum — świątyni Sybilli: jest wypalony Kuniów i Harkuszów Ignacego Potockiego, jednego z ojców Trzeciego Maja: jest Nałęczów innego nestora ginącej Rzplitej — Małachowskiego: jest zadumany nad Wisłą Kazimierz; stare domy wokół lubelskiego zamku. Jest renesansowy, italiański Zamość, tyle że nie filigranowy włoski, a gruby, polski, jak kunsztowna włoska potrawa, którą zamiast przyrządzić na lekkiej włoskiej oliwie podano u nas w domu w ciężkiej, tłustej śmietanie. Tym lepiej: bo tym oryginalniej. — Jest barokowy, bolesny wspomnieniami Chełm, jedyne chyba miasto polskie położone na górze — znowu jak miasta toskańskie — jezuicki nieco, prawosławny trochę, polski w całości. No, ale żeśmy nie myśleli, że jesteśmy całkiem i na amen w jakimś Krakowie, w alkierzu, lamusie, archiwum rypcie, muzeum, mauzoleum, tedy tym wszystkim przebiegają żywsze jakieś dreszcze. Nie darmo Lublin w 1918 roku był miastem „rządu lubelskiego", to jest formacji politycznej bardzo, a bardzo, podobnej tym ruchom, które współcześnie niemal, nieco wcześniej czy nieco później, dały na Węgrzech Michała Karolyi, w Austrii Adlera. Za lat niepodległości synowie dygnitarzy sanacyjnych zasiadali tu na ławach procesów komunistycznych, a młodych poetów tutejszych wylewano ze szkół za obrazę Pana Boga. Podczas wojny i okupacji były to rdzenne tereny B. Ch., walk na Zamojszczyźnie, ostatniej tej może wielkiej chłopskiej ruchawki w dziejach Europy. Tkaniny lubelskie są wielobarwne i z wielu utkane wątków, pisanki tutejsze mają motywy zaczerpnięte i zza Wisły i zza Bugu, garnki mają bujne kształty i nader różnorodną polewę. Tak jest właśnie z tym krajem. Jest tu i historia, i współczesność, i Zachód, i Wschód, i dworny polonez, i rozbuchany kujawiak, a wszystko to jest po dawnemu osadzone na wiejskim, rolniczym, ludowym pniu, i on to, nie miasto, nadaje krajowi ton. Kraj ten jest dzisiaj smutny, zgnębiony, przybity.

Punkt ciężkości Polski przesunął się bowiem bardzo wyraźnie w innym kierunku. Jest olbrzymi — po Szczecin — brzeg morski: jest olbrzymi, nareszcie pełny Śląsk, wysunięty aż po Saksonię, bogaty Wałbrzychem, piękny Jelenią Górą, stary Wrocławiem. Jest wreszcie zniszczona, bohaterska, odbudowywana iście wiosennym pędem narodu, Warszawa. Tamte trzymają prym. Lublin, jak ktoś zauważył słusznie, jest miastem, które koniunkturalnie, sezonowo, wysuwają od czasu do czasu naprzód jakieś wielkie wydarzenia, wojny zwykle, rewolucje. Lublin staje się wtedy naraz ośrodkiem, czymś, czym nie staje się nigdy ani Kraków, ani Poznań, ani Łódź. Potem jednak wszystko wraca ku dawnemu i Lublin jest znowu tylko... Lublinem. — „Cóż pan chce, dziś granica wschodnia Lubelszczyzny jest zarazem granicą Polski, mamy obecnie pozycję jakiegoś Wołynia, Polesia czy Nowogródka sprzed 1939". — Otóż nie, ten pesymizm nie jest słuszny. Pewna — miejscowo występująca apatia jest zjawiskiem przejściowego wyczerpania po tym, co się tu przeszło, a niekiedy (Puławy) jeszcze i teraz przechodzi. Usunięcie najbardziej podstawowych przeszkód, naprawienie najbardziej zasadniczych szkód, nieco inwestycyj ludzkich, wysiłku, entuzjazmu, kultury — i zarówno Lublin jak Lubelszczyzna mogą się stać bardzo łatwo jednym z najbardziej narodowo kwitnących ośrodków polskich, o własnym obliczu i samodzielnym wyrazie. Już to takich ośrodków nie mamy wiele. Jak dawniej wszystko ściąga do Warszawy. Krakowowi nie wrócą czasy Wyspiańskich, nie pojawi się nowy Boy-Żeleński; jeszcze dobrze, jeśli Karola Estreichera, to miasto, nie ceniące swych piewców, nie zagryzie. Jest trochę Wrocławia — no i są ciekawe, wcale nie w polskiej tradycji, eksperymentalne i imperialistyczne zabiegi wojewody szczecińskiego, aby tam ściągnąć pisarzy. Zobaczymy, jak mu się to uda. Oby! Ale, co byłoby potrzebne, a co jest w Anglii i co jest w Stanach, to to, że pisarz nie gnieździ się przy innym pisarzu, w stolicy, ale że pisarze rozsiani są po kraju, po prowincji, mieszkają w Glasgow, w Norfolk, w Scarborough, w Monte Rey, w Dewonshire, w Kornwalii, skąpani w tamtym życiu, łącząc ten świat z wielkim, szerokim światem, jego problemami i sprawami. Czemuż to Podhale nie zaprosi Jalu Kurka, Radom Otwinowskiego, Kielce jeszcze kogoś innego, czemuż *ich* twórczość nie zrośnie się z tymi połaciami Polski, jak twórczość Mistrala zrosła się z południem Francji, Rostanda z Gaskonią, Unamuna z Salamanką, Szołochowa ze Stanicami nad Donem, Syrokomli z Litwą? Oto pytania. Lubelszczyzna nadawałaby się do tego świetnie, — i może obradzałaby jak przedtem, jak do niedawna, no i jeszcze jak teraz. Teraz przeżywa swój Wielki Post, przednówek. Kiedyż wybiją tu dzwony ze śpiącychwstania.

ETAP PUŁAWSKI

Wrażenia te potwierdzają się na pierwszych dwu wieczorach w Puławach. W południe jest pełna sala młodzieży szkolnej, miła, sympatyczna. Wystawiła własne, szkolne ilustracje do „Trzynastu opowieści" (znacznie lepsze od tekstu). Jest ciepła i żywa. Czytelnikami książek w Polsce są w gruncie rzeczy młodzi ludzie w wieku od 14 do 24 lat. Po tym okresie pokwitania znajdują sobie niebawem jakieś bardziej zajmujące — lub bardziej popłatne — zajęcia, książka w ich rękach pojawia się wtedy rzadko, zwykle jako środek przedsenny. W innych krajach czytelnictwo zna jeszcze inny okres: po sześćdziesiątce (albo i przedtem), kiedy się jest starym, na wiele innych rozrywek (mniej godziwych, ale za to bardziej emocjonujących) nie stać, czasu wiele, emerytura, kominek. Cóż, kiedy u nas nie snuje się tyle co w Skandynawii, Wielkiej Brytanii, Francji, po Beneluxie, dostojnych, zakurzonych matron, uchowanych szczęśliwie ramoli! Nasi, biedacy, nawet jeśli mają nieco czasu (co jest rzadkie, bo i w starości pracują), to już na pewno nie mają pieniędzy. Emerytura, jak wiadomo, jest u nas złudzeniem, kominek legendą z Dickensa. Dać naszym dziadkom czy babciom nieco lepsze warunki życiowe — a czytelnictwo i nakłady skoczyłyby na pewno znacznie. — Wrażenie to utrwala się na wieczornym odczycie dla dorosłych. Nie bardzo dopisali — jakaś setka czy ponad setkę łaskawych przybyszów. Zakłopotany „Czytelnik" tłumaczy się: oto akurat o tym czasie są nauki rekolekcyjne wielkopostne. Trudno, nie wytrzymałem konkurencji z Kościołem. Dobrze to świadczy o żywości uczuć religijnych w Puławach; o ile mnie pamięć, a historyków ścisłość, nie myli, ich dziadkowie, żyjący tu za księżnej Izabelli, mniejszą okazywali gorliwość. „Czytelnik" jednak tak się przejął puławską nauką, że na innych terenach mego przejazdu zastosował odmienną taktykę, omijając starannie uroczystości kościelne. W Rybczewiczach taktykę tę posunął do tego stopnia, że starał się wszelkimi środkami skłonić mnie do wysłuchania miejscowej sumy. Miało to wpływać dodatnio na późniejszą frekwencję. Wymówiłem się, poprzestając na mszy cichej u lubelskich jezuitów, którzy i długich mszy, i długich kazań nie lubią. Miałem rację. Frekwencja była niezła, suma zaś w Rybczewiczach trwa w całości bite dwie godziny: prawie tyle co w Watykanie kanonizacja nowego świętego.

Wieczór puławski jest urozmaicony grą świateł. To znaczy, że najpierw gaśnie elektryczność, za czym czytam przy słabnącym blasku zachodu. Przy oknie. Ktoś dobry użycza latarki: nie można mu jej niszczyć, z czymże wróci po nocy: tedy zmieniamy światło na dobrą, zwykłą świecę (która wygląda, jakby na codzień była gromnicą i wisiała komuś nad łóżkiem). Dyskusja, jaka się wszczyna, posiada w tym oświetleniu niepowszedni urok. Oto nie widzę nikogo z mych rozmówców, nie odróżniam w mroku twarzy, mając za to własną oświetloną jak w śledztwie. Tak, elektryczność może w Puławach zawodzi podobnie jak bezpieczeństwo, i o bruku dałoby się niejedno powiedzieć, parkany porozbijane i park stary przetrzebiony nieco, ale oto w ciemności mam przed sobą audytorium może nieliczne, lecz oczytane, głęboko kulturalne, kulturalnie stare. Pewno, że kulturalnie osłabłe. Widać, że brakuje tu nowych książek, nie zawsze docierają lepsze pisma, że biblioteka ma szczerby. Ale są tu *ludzie*, którzy nie odwykli od czytania, którzy kiedyś czytali, tak jak czyta się w najświatlejszych środowiskach zagranicznych, którzy mają skale i miary porównawcze, zasób lektury. Kiedy wychodzimy, wieje niezwykle silny wiatr, nie wiadomo jeszcze, na śnieg czy na deszcz, i Puławy wydźwignięte nad Wisłę w dole są smagane tym wiatrem, stare drzewa szumią w nim i huczą, a biały „w podkowę" pałac Czartoryskich świeci jak widmo po nocy. Ale usypane u jego stóp domki są jednak jasne, przytulne, piękne. Wiele z nich musi pamiętać czasy tu najświetniejsze — sprzed przeszło stulecia. I taka właśnie jak te domki jest i publiczność puławska. Nieliczna, skromna, ugięta pod wiatrami historii, niosącymi w swym poszumie nie wiedzieć jeszcze co: śnieg, który zmrozi plony, czy deszcz, który tchnie w nie nowe życie. Po nocy, jaka tu jest, stoją ciemne, ledwo w którymś oknie światełko się pali, ale jakże łatwo byłoby to małe miasteczko ożywić życiem, poruszyć w nim ową kulturę, co tu uchowała się pod śniegiem wydarzeń, tli, jest i mogłaby się wspaniale rozwinąć, gdyby tu włożyć wysiłek kulturalnych, myślowych, ludzkich inwestycyj. Cóż, kiedy, jak dotąd, słuszne hasło „upowszechniania" kultury nie jest rozumiane jako akcja potanienia książki, przymnożenia bibliotek, zorganizowania teatralnych objazdów, literackich wieczorów na wysokim poziomie, koncertów. Miast tego wszystkiego przymnażą się tylko wyjazdy i rozjazdy jakichś referentów od oświaty, „inspektorów" od kultury, ówdzie powstaje referat taki, tam znowuż wydział inny, no i w tym wszystkim zobaczmy, jak wygląda upowszechnienie kultury na wsi.

„JA NIC SIAMA"

Nazajutrz bowiem, wieczór następny, zaledwie o parę kilometrów stamtąd, schodzi w zgoła odmiennym klimacie. Klimat puławski był ciepły, taki, jaki przychodzi po skwarnym lecie, albo u progu wiosny, bez upałów Afryki, ale z łagodnością włoską, balearską. O siedem kilometrów stamtąd jest jednakowoż Końskowola z przyległościami, oficjalnie zwana „osadą", samozwańczo „miastem". Tu klimat jest raczej stosowny dla fok, niedźwiedzi śpiących pół roku, no i śledzi. Z wyglądu Końskowola przypomina dużą wieś. Posiada dwa stare, ładne kościoły, jeden ze śladami obronnych murów, jedną wytwórnię „pieco-kaflarską" (jak głosi szyld), niezwykle głębokie rowy, wprost niebezpieczne dla zapóźnionych klientów licznych tutejszych szynków, oraz remizę strażacką, uniwersalną arenę miejscowych występów. Olbrzymia wieś nie posiada ani jednej świetlicy: wprawdzie w tutejszym majątku Instytutu Puławskiego jest niby to jedna, ale tylko dla personelu, a poza tym — również nieczynna. Miejscowy działacz polityczno-kulturalny, stary partyzant, kapepowiec, dwa lata temu komisaryczny prezydent Wałbrzycha, przedtem przedstawiciel Ministerstwa Informacji na Mazurach, autor dwu nagrodzonych i jednego, lepszego od tamtych, ale za to nienagrodzonego dramatu, p. Gębala, robi co może. Obszedł gospodarstwa, sprzedając bilety na mój odczyt. Sprzedaż dała wcale imponujące finansowe wyniki, które nie stały w żadnym stosunku z mizerną — 87 ludzi — frekwencją. Po prostu końskowolanie uważali, że dosyć jest zapłacić za wstęp na odczyt — po cóż jeszcze nań chodzić? Zupełna przesada.

Końskowola, przy pretensjach do tytułu miasta, jest zresztą na bakier z literaturą polską i to z racyj osobistych, a nader starych. Daremnie trzech polskich pisarzy — poeta Kniaźnin, gramatyk Piramowicz, komediopisarz Zabłocki (od „Fircyka w zalotach"), kończąc swe dni na łaskawym chlebie Czartoryskich złożyli swe kości na tutejszym cmentarzu. Śpią też na nim snem prawie tak niezmąconym jak mocny, kulturalny sen Końskowoli. Przed wojną Końskowola miała, to prawda, parę miejscowych bibliotek. Była gminna — ustawa tak kazała — wyjaśniają zgnębieni, była szkolna — kuratorium temu winne — była katolickiego stowarzyszenia młodzieży — ksiądz wtedy był taki, wzdychają nad swoją dolą. Była i policyjna — ministerstwo przysłało z Warszawy. Już to w Polsce tak bywa, że jedna Zosia Samosia woła, że wszystko zrobi „ja siama", a inne Zosie Samosie seplenią wdzięcznie „ja nić siama, zia mnie inni żłobią wsistko". Końskowola, jak widzimy, trzymała się wiernie tamtego drugiego systemu. Samorząd, państwo, kościół, szkoła, a nawet policja, sprzysięgły się więc kilkanaście lat temu na uczytelnienie Końskowoli. Ów koncentryczny atak bibliotek został jednak z powodzeniem rozbity przez Niemców. Zamknęli wszystkie miejscowe biblioteki, z policyjną włącznie. Wtedy Końskowola dokonała pierwszego, i — jak na razie — jedynego wysiłku w dziedzinie upowszechnienia kultury własnymi siłami. Mianowicie książki z bibliotek „rozeszły się" po ludziach. Obecnie minęły trzy lata blisko od wypędzenia Niemców i wyzwolenia, niemniej ani książki nie powróciły do bibliotek, ani żadna nowa biblioteka nie wyrosła w wielkiej, nienajbiedniejszej (o, bynajmniej!), położonej tuż za rogatkami miasta powiatowego osadzie. Końskowola obywa się równie heroicznie bez świetlicy, jak i bez bibliotek. Nie we wszystkim jest taka abstynencka i skromna. Ilość szynków, na przykład, świadczy całkiem imponująco o wysiłku obywateli w tej dziedzinie. Wedle niepisanego dekalogu tutejszej religii Wielki Post dotyczy tylko kultury i książki, nie alkoholu czy mięsa. Trwa za to krąglutki rok Boży i to od paru stuleci.

Końskowola ma zresztą pewne zadry w stosunku do literatury. Uważa, że to ona, to jest literatura, „zaczęła pierwsza". Pomimo słabego obkucia w arcydziełach literatury polskiej, końskowolanie dobrze są już obznajmieni ze zniewagą i szkodą, jaką wyrządził ich grodowi niejaki Henryk Sienkiewicz. Bohater tegoż, w Końskowoli mało, ale w Polsce dość powszechnie znany, Jan Onufry Zagłoba, wyraził się bowiem w „Trylogii": „kiepskie jakieś piwo w tej Końskowoli warzą". W okresie, w którym niecne to zdanie zostało wypisane, sen kulturalny Końskowoli był jeszcze nawet głębszy niż teraz — nie zdołała zaprotestować. Oczywiście reputacja tego rodzaju nie pomogła browarnictwu w Końskowoli i okolicy, i wszystkie okoliczne browary stale robiły tu klapę. Okazuje się, że albo Zagłoba miał rację, albo literatura jest jednak w Polsce potęgą. Tego rodzaju doświadczenia nie mogły zbliżyć literatury do Końskowoli, nie pomogła i śmierć Kniaźnina, Piramowicza. Zabłockiego nie pomogły nasyłane w okresie dwudziestolecia biblioteki z zewnątrz. Dosłownie na rogatkach powiatowego miasta, w centrum Polski, miasta z wyższym zakładem naukowym, z dużą tradycją kulturalną, rozpoczyna się kulturalna Beocja. Jeśliby *im* założono bibliotekę, może by czytali, jeśliby *im* zbudowano świetlicę, może by do niej uczęszczali, jeśliby *im* wsunięto w ręce pisma, może by je przejrzeli. Aktywność *jednego* człowieka — Gębali — gine tu i grzęźnie bezpłodnie. Nauka pierwsza: na wsi zawsze potrzeba nie jednego, ale paru ludzi.

BYWA I INACZEJ

Pouczającym przeciwieństwem zarozumiałej Końskowoli są Rybczewicze. O jakieś z górą trzydzieści kilometrów od Lublina, piętnaście chyba od głównej szosy, na złej drodze, Rybczewicze, być może, nie są ideałem. Zaprzepaściły szesnaście hektarów wspaniałego stawu pofolwarcznego; dziś badyle rosną tam, gdzie dziedzic łowił tonami tłuste karpie. Ale dwór przeznaczony na szkołę oraz ogród wokoło wraz z sadem ocaliły od zagłady. We dworze jest szkoła, jest — co więcej — nauczycielski aktyw. W najcięższych warunkach założyli *nową* bibliotekę — liczy już ponad 200 tomów — dyskusja po zebraniu jest żywa, pytania ciekawe, rozbudzone. Imprezy urządzane przez nauczycielstwo nie odstraszają wsi, ale ją przyciągają. Czego tu brakuje? Pomocy z zewnątrz. Nauczyciele są fatalnie płatni, przeciążeni pracą. W tych warunkach trudno jest im kupować książki, prenumerować dosyć pism, utrzymywać kontakt z kulturą. A przecież, jeśli się ją ma szerzyć na wsi, to chyba prawda, trzeba z nią utrzymywać kontakt? Stały kontakt. Nie, nie sądzę, aby stale do wszystkich Rybczewicz i Pilaszkowic mogli dojeżdżać pisarze. Ale sądzę, że może dojeżdżać stosowny film. Można ruszyć z miejsca system taniej książki dla nauczycielstwa, tanich pism na wieś. Biblioteczki ruchome „Czytelnika" już tu dotarły. Jest to jednak dopiero pierwsze przeorywanie ugorów. Dobrze że poszło — czekamy na traktory.

Sen niezmącony Końskowoli udzielił się nieco i sąsiednim Puławom — za to jeszcze bardziej prowincjonalny, ba, pograniczny już, Chełm sprawia najmilszą niespodziankę. Nie są nią przepełnione sale. To jeszcze niewiele znaczy, nawet dla kwestarza. Ale jest żywy, silny, inteligentny kontakt z publicznością. W Puławach — mówię nie o poranku dla szkół, ale o wieczorze dla inteligencji — czuć było kulturę, ale przysypaną uśpieniem, przywaloną zabiedzeniem, troskami, ciężkimi warunkami. W Chełmie warunki nie są na pewno lepsze od tych w Puławach — poza stosunkami bezpieczeństwa, ale na życiu umysłowym miasta nie znać tego zupełnie. A przecież tradycje kulturalne takiego Chełma są niewątpliwie znacznie uboższe od puławskich. Z jednym jedynym wyjątkiem: przedwojennego, kamieńskiego okresu. Okazało się wtedy, że kilku ludzi — polonista, malarz, poetów paru, na jakimś zapiecku Rzplitej, z dala od kanalizacji, neonów, wojewodów, ka-

(Dokończenie na stronie drugiej)

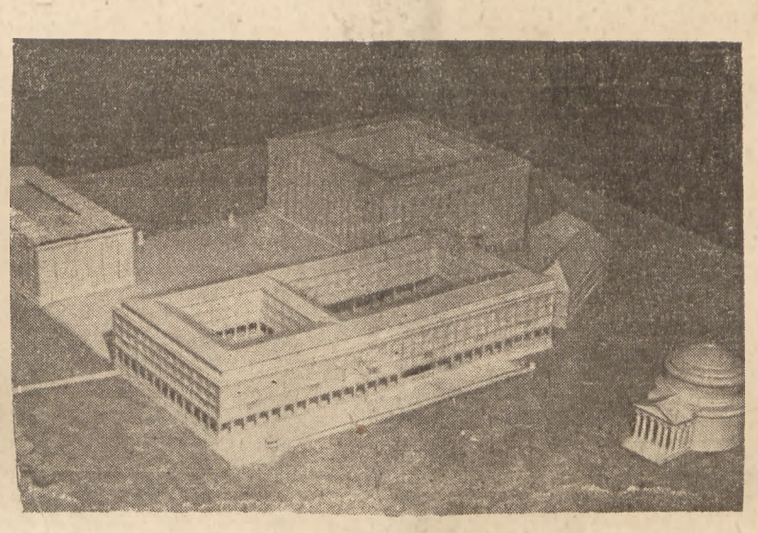

Projekt Ministerstwa Przemysłu na placu Trzech Krzyży

PIOTR BOROWY

PLAC TRZECH KRZYŻY

Na placu najciemniejsze są okna głuchoniemych,
omijałem je, biegnąc powstańczą ścieżką,
przestrzelonym kasztanom kwitnąć tutaj ciężko.
W wypalonych domach leżały miny na progach,
lecz przyszli kiedyś spracowani murarze,
zmówili się z jaskółkami i mieszkali razem.

W kościele świętego Aleksandra, obok kruchty,
granaty oberwały ręce aniołom,
nikt ich nie podnosił z ziemi, wyrósł na nich piołun.
Nad zwaloną kopułą otworzyło się niebo,
złocone serca czerniały wśród szkaplerzy,
tylko prawdziwych gwiazd nie trzeba było srebrzyć.

Obok robotnicy, siedząc okrakiem na chmurach,
obejmowali rusztowanie ramieniem,
spawając niebo i ziemię zielonym płomieniem.
Rozpromienieni murarze zawiesili wieńce
i kiedy im wapno do uśmiechów przyschło,
z placu wzniosło się w górę ministerstwo przemysłu.

AKADEMIA LEKARSKA W GDAŃSKU
BIBLIOTEKA
1948 K 620

K. I. GAŁCZYŃSKI

* * *

Pelargonie podlewa się wodą,
zaś drżących — proszących — o — jałmużnę pieniędzmi,
podlani pieniędzmi żebracy uśmiechają się jak święte Klary pana
Giotto,
ale, czy to słuszne, jałmużna, powiedz mi,
ale ja nie mogę nie: po matce dziedziczna choroba serca,
i w ten sposób, chodząc po Polsce, piję od rana ten idiotyczny
alkohol miłosierdzia.

■

I WSZYSTKO MUSI BYĆ ZAŁATWIONE:

bezlitośnie punktualnie: telefonem,
ręką, głową, depeszą. Marność
jest spirytusik,
młodzież dziś, słyszycie? o innych butelkach nuci:
praca, skromność, puktualność

■

I WSZYSTKO MUSI BYĆ ZAŁATWIONE:

żeby wszyscy mieli płyty z gramofonem:
Bacha, Haydna, Czajkowskiego, Szymanowskiego,
i „Pulcinellę";
żeby wszyscy mieli kurę i Bacha w niedzielę,
tj. alkohol radości blisko, a knajpę daleko;

■

(„O, radości, córo bogów...")

■

żeby się zestroiły sprawy wiejskie i miejskie,
i żeby więcej metalu, i żeby dniało;
żeby się dźwigało, bracia, i potężniało
nasze państwo, nasze państwo plebejskie.

■

Ale, tymczasem, cóż!
Każdy za czterech,
czterech za stu —
: dlatego za mało, po grecku, nad Homerem,
i dlatego tak mało, chwała Bogu, snu;
i dlatego tu i tam gafę,
i dlatego Szopena mniej, niestety,
i dlatego mija się i oświetla się nocą kobiety
latarniami oczu jak przydrożną trawę.

■

Schłani biegiem chcemy owsa, nie Zewsa.
Chcemy małych, nudnych nut.

Pisałem ten wiersz u szewca,
gdy mi szewc za wiersz naprawiał but.
Ten szewc był, proszę was, stary piernik.
ale dzieci miał nowe, młode,
więc ułożyłem im wiersz od słów: „Jak pancernik
pruć życie jak ordynarną wodę".

Co? pancernik? Uff, jak mnie ta dawna poezja nuży!
zawsze jak szydło z worka wylezie takie galanteryjne słowo.
A my jesteśmy po prostu wędrowni trubadurzy,
śpiewający w deszcz i w pogodę Polskę ludową.

■

A może i dobre to słowo „pancernik"?
Brzmi naukowo słowo. Jak aksjomat.

Współpracownicy redakcji, słyszycie? oddawajcie materiał na termin.
Polska jest wielką redakcją.

■

WSZYSTKO MUSI BYĆ ZAŁATWIONE

aż się flaga zmarszczona rozmarszczy.
Mały księże, przyjacielu nasz, głoś dzwonem:

ZAMIATANIE ULIC TO ZASZCZYT.

P. S. Ja wiem, że nie jedno boli
i są różne rzeczy niemiłe,
ale, daję słowo honoru, że dla mężczyzny jest tylko jeden
alkoholizm:
upijający jak Beethoven wysiłek

■

WSZYSTKO MUSI BYĆ ZAŁATWIONE

DOBRANOC

DOBRANOC PANIE KRUPCZAŁOWSKI

DOBRANOC INKO

DOBRANOC*) ŚWINKO

DO

Drogiemu przyjacielowi Henrykowi Ładoszowi

K. I. GAŁCZYŃSKI

*): — Spójrz na ten czerwieniejący obłoczek nad Wieżą Mariacką.

KWESTARZ WIELKANOCNY

(Dokończenie ze str. pierwszej)

wiarń, taksówek, potrafi stworzyć kulturalny, samorodny ośrodek, wydawać przez kilka lat żywe, ciekawe pismo, stanowić grupę, wzbogacić nasze życie literackie o moc świetnych przekładów. — Tak, trzeba sobie powiedzieć, że w postaci „Kameny" daleki, niewielki, acz śliczny Chełm posiadał coś, czego nie miały w tym okresie (1919—1939) ani Poznań, ani Gdynia, ani bodaj Łódź, nie mówiąc już o bogatych Katowicach. Ba! Właściwie nie miał równie świetnego kochany Kraków, choć miał wtedy całą gamę pism na „Tajnym Detektywie" kończąc. — Poeci Lubelszczyzny rozbiegli się po świecie. — Zginął Czechowicz. Łobodowski osiadł w Hiszpanii. Iwaniuk jest w Anglii. Pozostał w Chełmie założyciel Kameny — „Kaj", K. J. Jaworski. Postarzał się, bo osiemnaście miesięcy Oranienburga to chyba coś jest, ale krząta się, czyta, wydaje. Właśnie wrócił z Czechosłowacji oczarowany jej kulturalnym życiem, książkami, wydawaniem tych książek, ludźmi. Rzadko kiedy otrzymał ktoś paszport zagraniczny równie celowo i pożytecznie co Kaj. Zdobył nieco materiału i będzie miał za co odbudowywać swój, przez się wzniesiony, przedwojenny klasztorek kultury polskiej, reguły kameńskiej.

CHEŁM MOŻE

Kończę pobyt chełmski wieczorem, w małym drewnianym dworku, jakich jest jeszcze dość wiele w Chełmie, właściwie domku, bo bez kolumn. Dużo obrazów na ścianach — pan domu to Waśniewski, jeden z ludzi „Kameny". Nie był równie szczęśliwy jak „Kaj", — nie wrócił z obozu koncentracyjnego, dokąd go wzięli Niemcy niebawem po wkroczeniu do Chełma. (Jakże precyzyjnie działała tu maszyna niemiecka, wyrywając wszystkie kulturalne nerwy, niszcząc wszystkie ośrodki, talenty, mózgi. Kaj, Waśniewski). Pijemy herbatę, czytamy, mówimy, wspominamy. Jalu Kurek i Aleksander Blok, i wspomnienia angielskie, i Steinbeck, i czy bardzo ucierpiała Florencja, i Sartre, i Tadeusz Czacki, i co by można zrobić, i dlaczego książki są drogie? I że od paru lat trwa istna sarabanda kulturników. Każda instytucja, każdy urząd czy biuro, czy komórka, ma swój własny aparat oświatowy. Coś tam niby wydaje, gdzieś tam jeździ, czymś tam się trudzi, wpada, wypada tu Czerwony Krzyż, tam Samopomoc Chłopska, owdzie Starostwo, tam znowuż Związki Zawodowe, Komitet, Inspektorat. A tymczasem?... Tymczasem po wsiach brak świetlic, a na drzwiach Biblioteki Miejskiej nawet w Chełmie wisi łaskawe obwieszczenie, że urzęduje od 10 do 12, co, zważywszy że są to godziny biur, jest dość wątpliwym ułatwieniem dla inteligencji pracującej. Tylko... Tylko że ten Kaj i pani Waśniewska i inni ocalili u siebie sporo książek, że każdy ma tu jakąś swoją bibliotekę, tu kilka książek, tam kilkanaście. Zdobytych z największym trudem. W większości zachowanych *sprzed* wojny. Czyżby nie było lepiej, aby tę kulturę *knocito mniej ludzi*, mniej czynników, resortów, referentów, oświatowców, kulturników, a, po prostu, cena książki w Polsce została *obniżona do stu złotych*, jak książka w Anglii, w Rosji, nawet w Stanach Zjednoczonych, gdzie istnieją albo tanie książki, albo tanie wydawnictwa obok drogich. Bernard Shaw, Wells czy Hemmingway w „Pingwinach" kosztują pensy. Pingwiny, to, wiadomo, zamorski ptak, ale gdyby u nas ukazały się jakieś.... „kaczki"? Wydawnictwo Ciekawej Kaczki? Nie żeby zawsze Orła. Tanie tomiki Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego, Kraszewskiego, Dickensa, Balzaka, Tołstoja, Szołochowa, Maupassanta, Manna, Undset, Londona, Wellsa Gorkiego, nowszej literatury, które można by w ten sposób uczynić dostępne dla tej młodzieży, która ma jeszcze mało pieniędzy, bo nie zarabia dla tych starszych, co już przestali zarabiać, dla tej inteligencji na prowincji, w mniejszych, całkiem małych miastach i miasteczkach, ktorzy na pewno czytaliby, nawet kupowaliby książki, ale gdyby cena książek nie była dla nich nieosiągalna.

NAUCZYCIELE, NAUCZYCIELE

Objazd kończę Lublinem i muszę ze skruchą przyznać, że jest to dla mnie odkrycie Lublina. Sprzed wojny znałem nieco Lubelskie, ale sam Lublin raczej z przeprzęgu, z drogi do hotelu i na dworzec. Straciłem zwłaszcza owe ostatnie przed wojną lata, kiedy to Lublin pod wpływem mniejszego zresztą o ileń Zamościa, tak wiele zrobił. Piękne jest stare miasto, — zupełnie godne najpiękniejszych rzeczy na Ziemiach Odzyskanych (z tym, że bardziej polskich, właśnie na takim sosie polskiego, miejscowego wykonania). Parę ohydnych, wydłużonych przedmieść poucza, jak kilka lat bezmyślnych rządów w magistracie może najśliczniejsze miasto oszpecić; kilka dobrze odnowionych kościołów jest innym przykładem, jak staranność i rekonstrukcja, połączone z odrobiną wydatków i okruchem pietyzmu, może wydobyć na wierzch zatajone piękno. Tak jest, oszpecić można nawet Kraków, a upiększyć nawet Pikutków. Zrobi to zawsze — jak w wypadku Zamościa, albo Chełma — *paru ludzi*. Jakiś polonista, albo przyrodnik; czasem miejscowy lekarz; czasem ktoś w magistracie. Ale najczęściej są nimi nauczyciele, albo ludzie wkoło nich. Jakiż stąd wniosek? Trzeba właśnie im pomóc. Oni są tym czynnikiem, który zatknie słupy kultury daleko poza rogatki; oni stanowią najdalej wysunięte forpoczty inteligencji; oni szkolą młode pokolenie; ich żywy przykład, ich styl życia może oddziałać na styl życia i zainteresowania działaczy wiejskich z Samopomocy, z gminy, z innych ośrodków. Bez ich czynnego współdziałania nie będzie ani świetlic, ani bibliotek, ani czytelnictwa. Ale, aby tak było, nie mogą być zbiedzeni, zgnębieni, nie wiążący końca z końcem, przeciążeni, zostawieni samym sobie, odcięci. Przewody kultury muszą pobiec przede wszystkim do nich. Ich warunki życiowe i kulturalne muszą ulec poprawie w rzędzie pierwszym. Oto relacja kwestarska.

Jest piękna, przedwielkanocna pogoda, z okien wagonu migają liczne, na Lubelszczyźnie wyrosłe sady, kiedy krystalizują się ostatnie, raportowe wnioski. Obecna dotychczasowa akcja, kiedy „upowszechnianie kultury" polegało na tym, że każdy urząd, organizacja czy instytucja miały swoje „wydziały kulturalne", „sekcje oświatowe", „referaty", „inspektoraty" — w gruncie rzeczy robiła dla kultury na prowincji akurat tyle co te wrony i kawki, których bezładne (acz liczne) loty krzyżują się co dzień nad wszelkimi Konskowolami. Było to i jest to amcenie i bałagan. Akcja kulturalna, to akcja, dzięki której w najdalszym zakątku zjawia się tania książka, po wsiach jest bibliotek nie mniej niż w 1939 roku, ale co więcej, do Biłgoraju zawita z wieczorem autorskim Iwaszkiewicz, do Chełma Gałczyński, w Hrubieszowie koncertuje Raoul Koczalski, w Zamościu odbywa się dysputa Turowicz — Kott, i wszystko to nie dzieje się sporadycznie, raz w roku około Wielkiejnocy, ale stale, od września do początków maja. Ożywienie kulturalne zbiedzonej inteligencji w naszych małych miastach i miasteczkach, oto nieomijalny etap w takiej pracy. Oparcie tej roboty na wsi o zespoły nauczycielskie, oto droga na wieś. Ale, rzecz jasna, żeby nauczycielstwo mogło sprostać tym zadaniom, muszą ulec zmianie jego obecne warunki, musi ono mieć w tym pełne wsparcie państwa. Od tego mamy, zdaje się, to państwo.

Ksawery Pruszyński

Na rogatkach kultury

O NADGORLIWCACH

W gorączce pracy, w pogoni za nieutraconym czasem, w ciągłej bez ustannej, żołnierskiej ofensywie przyłapujemy się czasem na frontowym okrucieństwie wobec pamięci najbliższych, najdroższych, których straciliśmy w bojach i w drodze. I wystarczy czasem jakaś wyczytana notatka, jakieś słowo rzucone, jakiś ruch jeden, aby nagle odżyła postać, zatarta w pamięci zawrotnym biegiem wypadków, na których ubogość zdaje się nasze pokolenie nie ma powodu narzekać.

Jedną ze starych ulic Warszawy przemianowano ponoć na ulicę Karola Świerczewskiego. I postać generała Waltera staje przed oczyma i wracają jakieś zapomniane fragmenty rozmów.

Kiedyś w ogniu wojny, w ukraińskiej miejscowości, w Sumach, gdy szybko formowano nowe jednostki Pierwszej Armii — Świerczewski od świtu krążył wśród grup nowoprzybyłych rekrutów. Podoficerowie i oficerowie rezerwy witali generała salutując dwoma palcami. Było to w okresie, gdy wszystkie formacje polskie w armii angielskiej czy amerykańskiej salutowały pełną dłonią, gdy tak samo salutowały formacje czeskie czy lotnicy francuscy na radzieckim froncie. Generał się denerwował, aż zdobył się na decyzję. Zameldował czynnikom najbardziej decydującym na froncie radzieckim, że prosi o zezwolenie dla formacji polskich salutowania dwoma palcami, zgodnie z tradycją wojska polskiego.

Odpowiedź, którą otrzymał, brzmiała mniej więcej następująco:

— Co prawda salutowanie dwoma palcami wprowadził w Polsce carski namiestnik wielki książe Konstanty, niemniej, skoro generał uważa, że to się stało tradycją narodową, Główne Dowództwo nie ma nic przeciwko wznowieniu tego w formacjach polskich...

Stosunek do tradycji i szacunek dla symboli narodowych wypływa u tego robociarskiego syna Warszawy i bohaterskiego żołnierza nie tylko z sentymentu osobistego, ale z głębokiego zrozumienia istoty marksizmu, jego oparcia o historię, ze wstrętu generała do wszelkiej wulgaryzacji, uproszczenia, szablonu I jeszcze: z tego humanizmu, który jest nierozłączną cechą bojownika o socjalizm.

Pewnego razu o północy zjawił się adiutant generała z rozkazem, abym się natychmiast ubrał i zameldował u niego w mieszkaniu. Były już głęboko cywilne czasy, niemniej jednak, zaniepokojony nagłym zaproszeniem — pojechałem. Generał przystąpił do sprawy:

— „Muszę ujawnić głęboką tajemnicę wojskową. Otóż w niektórych oddziałach mają ponoć znieść rogatywkę i zastąpić okrąglakiem. Jako wojskowy nie chcę i nie mogę zabierać głosu, ale obawiam się, że to nie wywoła sympatii w społeczeństwie. Ty, jako cywil możesz wyczuć nastroje, napisz w tej sprawie artykulik..."

Próbowałem oponować. „Obywatelu generale — wyjaśniałem, już przed wrześniem w wielu formacjach był okrąglak, rogatywka jest niewygodna itd.".

Na to usłyszałem:

— „Głupstwa! Po pierwsze, rogatywka, nie rogatywka na froncie — kula nie patrzy, wszystko jedno przebije, jak hełmu nie będzie. Po wtóre, w czym ginęli nasze chłopaki podczas okupacji w lasach, a w powstaniu warszawskim?— w rogatywkach. A ile jest matek, dla których ta rogatywka jest symbolem, pamiątką po ich synach? A po trzecie, żaden naród tak nie jest przywiązany do symboli jak polski, bo w ciągu 150 lat symbole zastępowały nam realnie utraconą wolność.

Uległem. Napisałem list w obronie rogatywki. Dzisiaj, gdy cała ta sprawa straciła na ostrości, gdy generał Świerczewski nie żyje i nie skrzyczy i nie ofuknie należy ujawnić tajemnicę. Właściwym autorem listu był generał; a cywil tylko podpisał.

Ludzie, którzy byli bliżej generała, którzy znali go dłużej, głębiej i szerzej mogą o jego zrozumieniu i przywiązaniu do przeszłości narodowej napisać. Przydałoby się to dla szkolenia niektórych gorącogłowych młodocianych Kubusiów-rozpruwaczy przeszłości kulturalnej. Nie ulega wątpliwości, że gdyby się dowiedział, że ulicę warszawską, posiadającą starą nazwę ochrzczono jego nazwiskiem, byłby oburzony i krzyknąłby:

— „Co zostało ze starej Warszawy? Ruiny i nazwy ulic! Ruiny sprzątnie się — pozostaną tylko nazwy. Historię Warszawy należy uszanować".

I miałby rację.

Całe szczęście, że Ojcowie miasta uszanowali nazwę ulicy Miodowej, a ulicą generała Karola Świerczewskiego nazwano nowoczesną trasę, której dotąd na mapie Warszawy nie było.

*

Socjalizm nie ma powodów obawiać się na froncie kulturalnym ani przeciwników z jasną przyłbicą, ani wielostołkowych mętniaków, których łatwo ściągnąć na udeptaną ziemię. Sto lat już trwa ta walka z przeciwnikami — i gdyby tak spojrzeć na kulę ziemską, to nie socjalizm traci w terenie. Ale Panie Boże! obroń nas przed niektórymi przyjaciółmi, którzy w swoim wielkim nieuctwie, prostocie ducha i nadgorliwości chcą być na gwałt kulturoburcami tradycji i przeszłości. Gdyby się jeszcze nie trudnili deklinacją marksizmu we wszystkich przypadkach. A marksizm — należy się do tej wielkiej niższości wobec innych teorii przyznać — wymaga tego, aby się go uczyć, uczyć i uczyć.

Podczas niektórych dyskusji o sztukach plastycznych padały ostatnio np. głosy, że w okresie demokracji ludowej należy zaniedbać malarstwo stalugowe i jedynie popierać malarstwo użytkowe. Co prawda polska rewolucja naruszyła byt materialny trzech „grup społecznych": wielkich kapitalistów, ziemian i... pewnych artystów malarzy. Artysta-malarz, jeżeli nie głodował, to dzięki mecenasostwu wielkich kapitalistów i ziemian, którzy byli jedynymi odbiorcami jego sztuki. Ale z tego, że sprawiedliwość społeczna wymaga aby zlikwidować kapitalistów i ziemian, nie wynika, że należy zaniedbać malarstwo stalugowe. Wręcz odwrotnie, należy w całości przejąć dorobek malarstwa, zachowanego dzięki temu indywidualnemu mecenasostwu i najszybciej zorganizować mecenasostwo społeczne. Jeśli twórcy wszystkich dziedzin sztuki są w demokracji ludowej najbardziej uprzywilejowani — artysta - malarz najmniej odczuwa tę zmianę na lepsze.

Wydaje się, że w terenie brak nieraz zrozumienia dla wielkiej roboty, wykonywanej przez Naczelną Dyrek Muzeów. Szkodliwym frazesem jest twierdzenie: „My budujemy przyszłość, szkoda pieniędzy na przeszłość". Jeżeli tak twierdzi w Polsce dwóch półgłówków, to jak słusznie udowodnił pewien wybitny teoretyk nie da się tego arytmetycznie podsumować, nie powstanie z tego jedna kulturalna głowa. Rząd nasz słusznie przeznaczył wielkie sumy na konserwację zabytków. Jeśli bowiem nie poznamy i nie zachowamy przeszłości, nie stworzymy wielkiego, nowego stylu epoki demokracji ludowej w Polsce.

Prostackie rozpatrywanie przeszłości kulturalnej narodu, modne wśród części młodzieży piszącej, odrzucanie do kosza wielkich twórców literatury i sztuki — przypisać należy osobistym cechom ich charakteru, w żadnym jednak wypadku nie można kłaść na karb socjalizmu.

*

Nie oznacza to bynajmniej, że należy mechanicznie, automatycznie uznać tradycjonalistyczną hierarchię wartości kulturalnych, narzuconych przez warstwy i klasy rządzące dotąd życiem kraju. Nie oznacza to bynajmniej, żeby każdy sztucznie tworzony mit, legenda, kołtuński i snobistyczny symbol miał być przejęty przez nasze pokolenie. Każda wielka przemiana dziejowa przynosi i przynieść musi przewartościowanie walorów kulturalnych, nowe spojrzenie na przeszłość. Tym bardziej tak wielka przemiana, jaka zaszła obecnie w kraju.

Niewątpliwie w miarę badań nowego pokolenia uczonych ujrzą światło dzienne dokumenty i materiały z dziejów kultury dotąd usuwane, ukrywane perfidnie, bądź też spychane na plan drugi, a może i trzeci. Nie jest przecież rzeczą przypadku, że o Mikołaju Reju z Nagłowic przypomniano sobie dopiero po 1829 r. i to dopiero wtedy, gdy romantyzm dokonał rewolucji w języku, gdy zdemokratyzował mowę i sięgnął do wielkiej puścizny Rejowej, niezwykłej skarbnicy mowy polskiej. A cóż zostało z wielu, rozreklamowanych przez ich współczesnych, pisarzy XVIII wieku. Tyleż, co za lat kilkanaście pozostanie zapewne z wielu naszych kawiarnianych klasyków i domorosłych teoretyków.

Zadaniem krytyki i publicystyki artystyczno - literackiej jest wespół z nauką przewartościowanie puścizny kulturalnej, aby wszystko to, co było wielkie, wartościowe i cenne zostało uszanowane, zachowane i ocenione. Począwszy od najdrobniejszych symboli aż do wielkiej puścizny naszych klasyków.

Między wielką przeszłością kulturalną a naszą współczesnością nie może być rogatek i nie będzie.

Jerzy Borejsza

DROBIAZGI FRANCUSKIE

Rocznice

Literacki Paryż nie zapomina nigdy o rocznicach, związanych z życiem i twórczością wybitnych pisarzy. Każda z nich daje okazję do podsumowania wiedzy o nich, do wspomnień, artykułów i uroczystości.

Na początek 1948 roku wypadły trzy rocznice. Pierwsza z nich, to siedemdziesięcioletni jubileusz Colette, pierwszej dziś powieściopisarki francuskiej. Autorka „Claudine", jedyna kobieta zasiadająca w Akademii Goncourt, stała się już klasykiem literatury francuskiej. Jej powieści cieszą się niesłabnącym powodzeniem. Pisarkę tę otacza powszechny szacunek i wielka sympatia. W dniu jubileuszu cały artystyczny Paryż złożył jej hołd.

W pismach literackich przypomniano także stulecie urodzin poety francuskiego Gabriela Vicaire i J. K. Huysmansa. W paryskiej bibliotece narodowej otwarto właśnie wystawę, która gromadzi pamiątki i rękopisy tego naturalistycznego powieściopisarza. Jego słynny manifest „A rebours" (1884) wywarł wielki wpływ na ówczesnych młodych

Proces Goncourtów

Tymczasem Akademia Goncourtów, tak niezaszczytnie wyróżniona przez młodych dziennikarzy, daje znów znać o sobie. Rozpoczął się bowiem proces przeciw dwom „odstępcom" tej instytucji, którzy swoją nagrodę — „Jules Goncourt" przyznali pisarzowi kanacyjskiemu Kleber Haedensowi. Adwokat Goncourtów Maurice Garçon, domaga się odszkodowania w wysokości 5 milionów franków za zniesławienie pamięci nierozłączonych braci, których Sacha Guitry i Rene Benjamin rozdzielili, i za chęć okrycia śmiesznością Akademii. Proces cieszy się powodzeniem zwłaszcza snobującej się publiczności, tak że trudno otrzymać kartę wstępu. Sztuka oratorska prawników święci swoje tryumfy. Pewien odłam krytyki niechętny atmosferze skandalu literackiego pomija całą sprawę milczeniem i nie ukrywa swego lekceważenia dla „akademików". Sacha Guitry nie wyszedł jeszcze na scenę. Aktor goniący za reklamą i efektem, Guitry wyczekuje odpowiedniego momentu.

Stanisław Gogluska

WACŁAW ROGOWICZ

Pod znakiem wiary w człowieka

W osiemdziesięciolecie urodzin Gorkiego

Gorki z wnuczką

Mało jest pisarzy światowej sławy których autobiografie byłyby tak ważnym komentarzem do charakteru ich twórczości, w sensie przede wszystkim postawy społeczne autora, jakim są trzy książki Maksyma Gorkiego, obejmujące wspomnienia z dzieciństwa i z młodości: „Dzieciństwo" — „Między ludźmi" — „Moje uniwersytety". Bez względu na to, jak ułożą się losy przyszłego pisarza, kilkanaście pierwszych lat jego życia, atmosfera dzieciństwa i pachołęctwa odciskają na psychice wieku męskiego niezatarte piętno, rodzą niekiedy urazy, jawne lub maskowane, które usunąć mogą tylko przeżycia o charakterze osobistego kataklizmu moralnego.

W literaturze rosyjskiej, najjaskrawszy bodaj kontrast wspomnień młodości przedstawia „Dzieciństwo i wiek młodzieńczy" Lwa Tołstoja w zestawieniu z tymi okresami życia Maksyma Gorkiego.

Pisał Tołstoj: „Szczęśliwe, po stokroć szczęśliwe, bezpowrotne czasy dzieciństwa! Jakże nie kochać, nie pieścić się wspomnieniami o nich! Wspomnienia te orzeźwiają, podnoszą moją duszę i służą mi za źródło najlepszych rozkoszy".

Było co wspominać z takim rozczuleniem, oczywiście! Świat dzieciństwa Lwa Tołstoja — to Jasna Polana, do której wjazdu strzegły dwie starożytne baszty. Za tymi basztami zaczynał się inny świat, coś obcego, nieznanego, z czym stykać się można było, owszem, ale powiedzmy — w rękawiczkach. To było nawet bardzo, jakby się dziś powiedziało, fotogeniczne.

Co innego miał do wspominania Aleksy Pieszkow, syn stolarza wnuk byłego burłaka (oryla), w 10-ym roku życia zupełny sierota, poniewierany w domu dziada Kaszyrina twardego drobno-mieszczańskiego despoty i brutala, w koszmarnym środowisku „żelaznych ludzi" na przedmieściu Niżnego Nowgorodu — w ognisku „rodzinnym", z którego wyrwał się i poszedł „między ludzi", wynosząc dwie rzeczy, na całe dalsze życie nieprzejednaną nienawiść do mieszczańskich kanonów bytowania i jedyny jasny promień, pamięć o ukochanej, pogodnej i tkliwej babce, ochraniającej, ile mogła, młodą duszę Aloszy przed mrozem, jakim ją przejmowała atmosfera tego domu. Akulina Iwanowna, której poświęca we wspomnieniach gorące karty, była dla przyszłego pisarza Maksyma Gorkiego pierwszą osobą, jaka przez fakt swego istnienia posiała w nim wiarę w człowieka, wiarę w to, że obok dwunogich bydląt są na świecie i ludzie.

A jak to było ważne, jaką odegrało rolę w krystalizowaniu się osobowości tego pisarza — rewolucjonisty, niezrównanego malarza olbrzymiej galerii ludzi naprawdę bezdomnych, autora z jednej strony — wstrząsających swym realizmem kontrastowych sztuk teatralnych „Mieszczanie" i „Na dnie" — z drugiej, płomiennego herolda walki o zburzenie ustroju, w którym możliwe są takie paradoksy socjalne, jakie pokazał na scenie, twórcy „Pieśni o sokole" i „Pieśni o albatrosie" (zwiastunie burzy) — długi szereg dzieł Gorkiego, rozsławiający jego imię w świecie, udowodnił dostatecznie.

Pójście „między ludzi" rozpoczęło dla 10-letniego Aloszy Pieszkowa, zmuszonego zarabiać na życie, długi okres wędrówek po obszarach Rosji, podczas których, imając się rozmaitych fachów i doraźnych zajęć chłopca na posyłki w sklepie, ucznia u kreślarza, pomywacza na statku, łowcy ptaków, tragarza, statysty w teatrze, czeladnika piekarskiego, stróża kolejowego, kancelisty u adwokata, praktykanta u malarza ikon itd., zgromadził w sobie, nieraz dosłownie na własnej bitej skorze, olbrzymie zapasy wiedzy o życiu i o ludziach. To były właśnie jego „uniwersytety".

Był samoukiem. Gdy jako uczeń 3-ej klasy szkoły powszechnej otrzymał nagrodę: Ewangelię, bajki Kryłowa i list pochwalny, książki sprzedał za pół rubla, — babka leżała chora, a pieniędzy nie miała — a na liście napisał „Nasze świńskie kunawińskie" (Kunawino była to nazwa proletariackiego przedmieścia w Niżnim — Nowgorodzie).

Od najmłodszych lat palił się do książek; ciężko pracując fizycznie, zmuszony był czytać je ukradkiem, w osobliwych najczęściej warunkach. Opowieść Flauberta „Proste serce", która wielkie na nim zrobiła wrażenie tematem (historia służącej) i realizmem formy, czytał... leżąc na dachu szopy, gdzie majster nie mógł go wytropić i sprawić lanie. Gdy gazeta „Kawkaz" w Tyflisie, dokąd go wówczas losy zagnały, wydrukowała pierwsze opowiadanie Gorkiego „Makar Czudra" w r. 1892, 24-letni „bosiak" znał już, prócz klasyków literatury rosyjskiej, Szekspira, Goethego, Maupassanta, Flauberta, Stendhala, Wiktora Hugo, Dickensa, Heinego.

Po swym debiucie literackim nie myślał jeszcze, że może być zawodowym pisarzem. Był robotnikiem, do tego niewykwalifikowanym. Ale olśniła go wyczytana w jakiejś gazecie w artykule o Faradayu wiadomość, że znakomity angielski fizyk i chemik rozpoczął swą karierę od pracy robotnika.

Na drogę poważnej pracy pisarskiej wprowadził go Włodzimierz Korolenko, wybitny prozaik i publicysta, który wyczuł w Gorkim talent i swą przyjacielską, choć nieraz surową krytyką uświadomił początkującemu noweliście piękno formy, dość jeszcze u autora „Makara Czudry" surowej.

Gorki robił w tej dziedzinie szybkie postępy, a jego niesłychanie bogata w przeżycia egzystencja w latach wędrówek nasuwała mu setki tematów beletrystycznych. Opowiadania młodego autora rozchwytywała prasa prowincjonalna. Czytelników pociągały w tych utworach nie tylko niezwykłe losy przyszłego znakomitego pisarza, lecz i szeroki obraz życia rosyjskiego, jaki w nich malował.

I kiedy w 1898 r. ukazał się w Petersburgu pierwszy tom prozy Gorkiego pt. „Szkice i opowiadania", trzydziestoletni autor stanął na progu sławy.

W dwa lata potem nazwisko jego było już tak głośne, że przyniosło mu nagrodę, z której był dumny: poznanie się z Lwem Tołstojem i przyjaźń z Antonim Czechowem, uwielbianym od dawna pisarzem.

Po wizycie Gorkiego Tołstoj zapisał w swym dzienniku: „Był Gorki. Bardzo dobrze rozmawialiśmy. I on mi się podobał. Prawdziwy człowiek z ludu".

Niedługo potem Gorki otrzymał od wielkiego pisarza list tej treści:

„Aksakow mówił, że bywają ludzie lepsi (on mówił mądrzejsi) od swych książek i bywają gorsi. Mnie pańskie pisanie podobało się, a pan w moich oczach lepszy jest od pańskiego pisania".

Nie sądzę, żeby tak dyplomatycznie zredagowanym komplementem proroka z Jasnej Polany Gorki był zachwycony.

Już w latach młodzieńczych w różnych miastach Rosji autor „Pieśni o sokole" brał udział w podziemnym ruchu rewolucyjnym, dążącym do obalenia caratu (w Tyflisie siedział w więzieniu).

W r. 1901 Gorki pojechał do Petersburga i był świadkiem masakry studentów demonstrujących 4 marca na Niewskim Prospekcie.

W odpowiedzi na kłamliwy komunikat oficjalny zredagował zaprzeczenie, podające istotny przebieg pogromu. W parę dni potem napisał wiersz „Pieśń o zwiastunie burzy", który zrobił silne wrażenie w kołach rewolucyjnej młodzieży. W wyniku tych dwóch „zuchwałych wystąpień" Gorkij po powrocie do Niżnego znalazł się znowu w więzieniu. Był od dawna chory na gruźlicę i pod naciskiem protestów w całym kraju (w obronie pisarza wystąpił i Lew Tołstoj) władze zamieniły mu turmę na areszt domowy, a potem na zesłanie do głuchej mieściny Arzamas, zamieszkałej przez popów, drobnych mieszczan i emerytowanych urzędników. Przeciw temu gwałtowi (zesłano go bez sądu i śledztwa) ostro wystąpił Lenin. Wreszcie, dzięki energicznym zabiegom przyjaciół Gorkiego pozwolono mu dla poratowania zdrowia wyjechać na kilka miesięcy na Krym. W Jałcie przebywał również gruźlik. Czechow, i tutaj zawiązała się serdeczna przyjaźń obu pisarzy.

Nastał rok 1905.

W historycznym dniu 9 stycznia, gdy 200 tysięcy robotników, prowadzonych przez agenta ochrany popa Sabosza, szło do Pałacu Zimowego z petycją do cara, Gorki był na ulicy śród robotniczego tłumu. Wstrząśnięty masakrą oszukanego ludu, po powrocie do domu napisał apel „Do wszystkich obywateli rosyjskich i opinii publicznej państw europejskich", gdzie wzywał do otwartej walki o obalenie caratu.

Wezwanie to wpadło w ręce policji. Ochrana znała dobrze charakter pisma pisarza - rewolucjonisty, i w dwa dni po wypadkach 9 stycznia Gorki znalazł się po raz trzeci w więzieniu — tym razem w twierdzy Petropawłowskiej, dokąd rząd wtrącał ważnych przestępców politycznych.

Tym razem w obronie pisarza podniosły się głosy protestu z różnych państw Europy, z Włoch, Niemiec, Belgii. Anatol France na mityngu w Paryżu domagał się uwolnienia Gorkiego. Przyłączyli się do tego żądania inni wielcy Francuzi: Pierre Curie, Auguste Rodin, Claude Monet i wódz socjalistów Jean Jaurès.

Po miesiącu więzień został wypuszczony. Znowu pluł krwią. Przeniósł się do Moskwy i tu poznał się z Leninem. Prowadził dalej robotę rewolucyjną w swym mieszkaniu. Po całej Rosji rozchodziły się maszynowe odpisy listu Gorkiego do robotników. Uprzedzony przez przyjaciół o grożącym mu aresztowaniu, wyjechał do Niemiec, Francji, a stamtąd do Ameryki. Wreszcie osiadł na Capri, skąd, gdy rząd carski w 1913 r. ogłosił amnestię polityczną, namówiony przez Lenina, który go we Włoszech odwiedzał, wrócił do kraju. Tu spędził wojnę i rewolucję.

Kiedy w 1921 jego dawna choroba znowu przybrała ostrzejszą postać, Lenin wymógł na Gorkim wyjazd dla ratowania zdrowia do Włoch. Tym razem osiadł w Sorrento. Korzystając ze świeżego dopływu sił twórczych pracuje dużo, pisze powieści „Sprawa Artamonowów", „Życie Klima Samgina", wspomnienia o Tołstoju, Czechowie, Korolence, Andrejewie i Leninie.

W 1928 wraca do kraju, którego już nie opuszcza do śmierci w 1936, czynny w organizowaniu literatury radzieckiej i tworzeniu nowych instytucyj naukowych i artystycznych.

*

W jednym z najważniejszych swych utworów, napisanych po rewolucji 1905 r., w powieści „Matka", mówi Gorki ustami któregoś z bohaterów takie słowa:

LUDZIE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ W JEDNĄ RODZINĘ.

Jest w tym wezwaniu ostateczna konsekwencja humanitarnej postawy i wiary w człowieka, zachowywanych wiernie przez tego wielkiego pisarza przez cały ciąg jego długiej i tak płodnej działalności twórczej.

Wacław Rogowicz

MARIAN SPYCHALSKI

O artyście malarzu Franciszku Bartoszku

Kiedyś gdy rozmawiałem z „Marianem" Nowotko i uskarżałem się na to, że nie ma ludzi, że nie damy sobie rady, powiedział: Nic, nic, kiedy powstanie duży ruch, wyrosną wielcy ludzie. I tak się stało: W walce o Polskę zrodziło się wielu dzielnych ludzi, którzy realizowali czyn zbrojny, ludzi o różnym poziomie wiedzy i wykształcenia, którzy przysłużyli się naszej wielkiej sprawie. Powstawały nowe szeregi pierwsze kadry polskiej demokracji. Wielu z nich, może właśnie tych najwartościowszych, zginęło. Trzeba o nich mówić, przekazać pamięć o nich naszej młodzieży, aby w nich doszukała się swego rodowodu, obejmującego dziesiątki bohaterów z warstw inteligencji, robotników, chłopów. Można ich wymieniać długo. Malarzy — jak Franciszek Bartoszek, Zygmunt Bobowski, architektów — jak Nowicki, Skrypij, Skrzeszewski, pisarzy — jak Zygmunt Jarosz i wielu, wielu innych.

Galerię tę chciałbym rozpocząć od artysty malarza Franciszka Bartoszka, który nosił pseudonim „Jacek".

„Jacek" zginął z bronią w ręku za sprawę, która każdemu z nas w tym czasie leżała na sercu. Chodziło o broń. Broń — zasadniczą rzecz dla organizacji — można było nabyć za pieniądze, a tych ciągle nam brakło. Należało je zdobyć „konfiskując" okupantom lub też pracującym dla nich instytucjom. „Jacek" poszedł na wypad głównie z własnej inicjatywy, zdając sobie sprawę, że bez środków finansowych dalsza robota organizacji straci swój rozpęd. Może zginął dlatego, że zanadto zaufał swej szczęśliwej gwieździe, która wysunęła go na przywódcę zbrojnej walki. Zginął jak człowiek o wielkim sercu, przywiązany do swoich przyjaciół, czuły na cierpienia. Najbliższy był mu Zych Bobowski, o pseudonimie „Tadek", jeden z najlepszych ludzi w partyzantce. Po dokonanym zamachu na kasę Bartoszek przebił się i mając już zapewniony odwrót zauważył, że Bobowski otoczony przez Niemców i „granatowych" został postrzelony i upadł. Bez chwili namysłu wrócił, zaatakował Niemców, próbując unieść ciężko rannego. Zginął razem z nim. Było to w maju 1943 r., kiedy „szmatławce" pisały o nas jako o agentach opłacanych przez Moskwę i walczących w imię cudzych interesów. Tak zginęli dwaj artyści malarze, chcąc zdobyć dla Gwardii pieniądze na walkę o wyzwolenie Kraju.

Z osobą „Jacka" wiąże się kilka brawurowych czynów w planowej walce, prowadzonej przez siły demokratyczne.

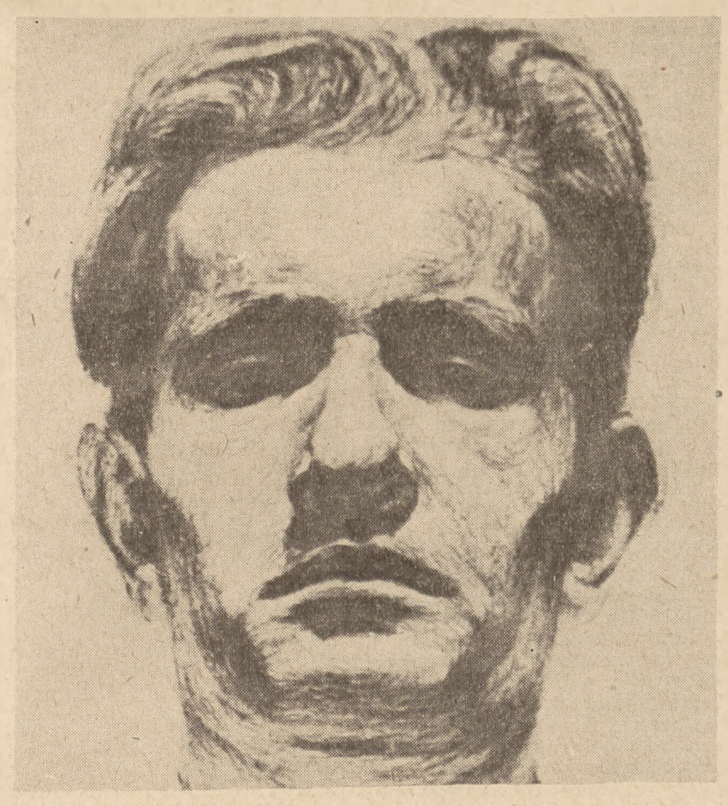

Franciszek Bartoszek — Autoportret

Znane są ogółowi akcje odwetowe z okresu października 1942 r., kiedy to na ofensywę terroru masowych egzekucji Gwardia Ludowa odpowiedziała szeregiem akcji. W styczniu 1943 r., w okresie klęski stalingradzkiej, Niemcy podjęli nową ofensywę terroru. Aby zgnębić ducha społeczeństwa, rozpoczęto łapanki i zgotowano nowe narzędzie tortur — Majdanek. Przez trzy dni nie można się było pokazać na ulicy. Warszawiaków wyciągano z domów, ładowano na samochody i wywożono masowo do obozu. Dowództwo Gwardii Ludowej postanowiło odeprzeć tę nową falę. Uruchomiono kilka grup bojowych, które miały przeprowadzać akcje w Warszawie. Jeśli idzie o bezpieczeństwo w stolicy, okupanci byli szczególnie czuli. Dlatego też zaatakowano lokale tylko dla Niemców, czołowe kina warszawskie oraz restaurację I kl. na Dworcu Głównym, w której zatrzymywali się zawsze wyżsi dygnitarze niemieccy. Wykonania zamachu na Dworcu Głównym podjął się „Jacek". Jego zewnętrzny wygląd i doskonała znajomość języka niemieckiego ułatwiały mu to zadanie. „Jacek" wszedł do restauracji, usiadł przy stoliku, postawił obok siebie walizeczkę. Walizeczki załadowane granatnikami i trotylem były nieskomplikowanym rozwiązaniem mechanizmów zegarowych. Do otworu w walizce trzeba było tylko nalać odrobinę kwasu siarkowego, który powodował wybuch materiału.

W poczekalni siedzieli wyżsi oficerowie niemieccy, wśród nich i generałowie. Niemiec siedzący obok przy stoliku nagle wstał i poprosił Jacka, aby zaopiekował się jego bagażem, gdyż musi wyjść na chwilę. Jacek korzystając z okazji nalał przez otwór do walizki kwasu, którego działanie obliczone było na 15—20 minut. Opowiadał mi potem „Jacek", z jakim niepokojem oczekiwał powrotu Niemca. Gdy się wreszcie zjawił, „Jacek" spokojnym głosem poprosił, aby on z kolei przypilnował jego walizki, i oddalił się.

Zdążył tylko wyjść z hali dworca, gdy dał się słyszeć potężny wybuch. Chłopcy, towarzyszący „Jackowi", opuścili dworzec spokojnie. Według meldunku kolejarzy wybuch był skuteczny. W zamachu na inne lokale brali udział: Wiktor Skrzeszewski, Jurek Duracz, Kazik Buczyński i inni. Kontruderzenie to okazało się skuteczne. Od poniedziałku ustały zupełnie łapanki. Stwierdziliśmy nie po raz pierwszy, że walka zbrojna jest celowa.

„Jacek" niestrudzenie organizował walkę, bądź to rozbrajając Niemców, bądź prowadząc wywiad. Wciąż przemyśliwał nad tym, w jaki sposób najskuteczniej na nich uderzyć; jego ambicją było zadawać ciosy najdotkliwsze.

Bartoszek przeniósł się z Jasła do Warszawy późnym latem 1942 roku. Jego ambicją były akcje kolejowe. Na początku mieliśmy do dyspozycji tylko klucze do rozkręcania szyn, robota więc zrazu nie szła.

W lutym 1943 roku Bartoszek brał udział w akcji kolejowej i badał możliwości skutecznego unieruchomienia jednej z głównych linii, która zasilała wschodni front. Jednym z jego planów była akcja w tunelu warszawskim, która miała zablokować i uniemożliwić ruch pociągów.

Kiedy nocował u mnie, opowiadał mi, jak to przez ogród szpitala Czerwonego Krzyża przekradał się dwa razy nocą od ulicy Smolnej po nasypie do tunelu, nad którym stał wartownik niemiecki. Założył materiał wybuchowy i czekał u wylotu tunelu na wynik. Nasze zapalniki były niedobre.

W kwietniu 1943 r. postanowiliśmy również przerwać linię średnicową w centrum Warszawy. „Jacek" mieszkał wtedy przez dłuższy czas u mnie, omawialiśmy tę sprawę w mieszkaniu na ulicy Felińskiego. „Jacek" opracował szczegółowy plan akcji, którą miał wykonać w nocy na nasypie linii średnicowej za Wisłą, między ulicą Zamojskiego i rzeką. Był kwiecień. Klęska pod Stalingradem zmuszała Niemców do ratowania groźnej sytuacji na wschodnim froncie. Nieprzerwanie płynęły transporty na wschód. Uszkodzenie torów w Warszawie miało wielkie znaczenie dla naszej walki.

„Jacek", wówczas już dowódca grupy uderzeniowej Sztabu Głównego Gwardii Ludowej i członek Sztabu, zebrał swoich najbliższych podkomendnych wraz z nieodstępnym „Tadkiem". Posiadaliśmy już wówczas dobry trotyl i dobre zapalniki do granatów.

O 8-ej wieczorem, przed godziną policyjną, „Jacek" sam przyniósł przygotowany na tę akcję ładunek. Punktem zbornym był park Paderewskiego. Tam przeczekali chłopcy do godz. 1-ej w nocy, po czym pełznąc pod nasypem linii średnicowej przez ogródki działkowe przy ul. Zielenieckiej weszli na nasyp obok wiaduktu.

O godzinie 2-ej z minutami przechodził zawsze na Wschód specjalny kurier z ekipą i starszyzną niemiecką. Ładunek eksplodował, niestety, już po przejściu pociągu i spowodował zaledwie kilkugodzinną przerwę w ruchu. Kilka sekund potrzebnych, aby zapalnik zwykłego granatu mógł wywołać eksplozję, wystarczyło, żeby pociąg przeszedł. W parę dni później Niemcy przystąpili do ostatecznej likwidacji ghetta. Należało walczącym pomóc. I znowu „Jacek" w ramach ogólnego planu akcji, i znowu linia średnicowa. Tym razem ładunek miał wybuchnąć po pociągnięciu sznurka. Na tor wyszli „Jacek" i „Tadek", reszta chłopców pozostała na dole. Na tor średnicowy można było wejść tylko wtedy, kiedy chmury zasłaniały księżyc, gdyż warty niemieckie były gęsto rozstawione. W chwili, gdy zakładano ładunek, źle umocowana łyżka zapalnika odskoczyła. Zauważył to „Jacek" który, zanim nastąpił wybuch, zdążył jeszcz pchnąć „Tadka", a sam dał nura w dół. Jak mi opowiadał „Jacek" — furkot odłamków szyny przeleciał mu nad głową i posypał się żwir i piasek. „Jacek" wrócił nad ranem do domu, ogłuszony.

Należało Niemcom dowieść, że za zbrodnie spotkają się z odwetem. Jedną z planowanych akcji było uderzenie na Niemców atakujących ul. Bonifraterską. Na Nowowiniarskiej gniazdo ckemów grupy SS-manów, zabezpieczała „granatowa" policja. O parę metrów tłum obserwował rozgrywający się dramat. „Jacek" z grupą kilkunastu chłopców postanowił zlikwidować to gniazdo. Wszedł na dach sąsiedniego domu przy ul. Świętojerskiej, aby zorientować się w sytuacji. Korzystając z oddalenia tłumu od gniazda — wydał rozkaz jednemu z gwardzistów, aby rzucił w Niemców granat i wycofał się razem z uciekającym tłumem. Reszta miała zabezpieczać odwrót uciekającym przez ulicę Świętojerską do ulicy Długiej, na ulicę Kilińskiego wzdłuż Podwala na Stare Miasto i dalej. Gwardzista zwlekał, nie był zdecydowany.

„Jacek" zniecierpliwił się wreszcie i odezwał się po niemiecku do grupy „granatowych", którzy powstrzymywali tłum. Spokojnie podszedł do gniazda karabinów maszynowych, po czym błyskawicznie wyciągnął parabellum i pewnymi strzałami — a był mistrzem w strzelaniu — położył czterech z obsługi przy karabinie, odwrócił się, kropnął do dwóch „granatowych" i przyśpieszonym krokiem na oczach zdębiałego tłumu zaczął się wycofywać z „Tadkiem".

Tak się złożyło, że przy ul. Kilińskiego spotkałem pobladłego z wrażenia „Tadka", który mi opowiedział na gorąco o całym przebiegu ataku i śmiałym czynie „Jacka".

Oto zaledwie kilka ważniejszych akcji artysty-malarza Franciszka Bartoszka, „Jacka" oficera Sztabu Głównego Gwardii Ludowej w randze pułkownika pierwszego Kawalera Krzyża Grunwaldu.

Był to bardzo zdolny artysta. Mimo że znano na uczelni jego radykalne poglądy, jego wiedza malarska i talent, jego umiłowanie sztuki budziły dlań szacunek nawet tych, którzy byli innych przekonań. Przed wojną, jako jeden z najzdolniejszych absolwentów warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, uzyskał stypendium na wyjazd za granicę. W rozmowach często wspominał swój pobyt w Paryżu i we Włoszech. W wolnych chwilach godzinami opowiadał o sztuce malarskiej, a znał się na tym dobrze. Nieraz się zwierzał przede mną, jak ciężko mu żyć bez sztalug, ale zaraz dodawał: „Nie da się w tej sytuacji". Pewnego dnia zwalił do mego mieszkania cały swój dorobek malarski i wszystkie przybory. Prosił, żeby je schować, ażeby mu nie lazły w oczy, bo go to męczy. Powiesił tylko szkic pracy dyplomowej, „Kuźnię", w której chciał pokazać człowieka pracy. Opowiadał, że przed wojną jako przewodnik w Muzeum Narodowym uczył naszą publiczność patrzyć na obrazy. Lubił dobre rzemiosło w sztuce, dobry rysunek, ale jednocześnie pragnął, żeby sztuka była dla odbiorcy jasna i zadziwiała go swoim pięknem. Kochał muzykę. W chwilach wolnych od akcji chętnie odwiedzał znajomych, u których mógł posłuchać muzyki. „Jacek" znalazł później mieszkanie i zabrał swój dobytek malarski. Jego autoportret wisi w Muzeum Wojska Polskiego.

Nasza ucząca się młodzież winna dowiedzieć się o tym, jak ciężko zdobywał wiedzę. Był synem nauczyciela poznańskiego, miał liczne rodzeństwo, i choć musiał się sam utrzymywać, nigdy nie zapominał o swoich kolegach. Podczas okupacji przy każdej okazji przywoził im trochę żywności, pamiętał również o ich rodzinach, a przede wszystkim o dzieciach. Warunki w Warszawie były bardzo ciężkie. Kiedyś przywiózł mojej córeczce flaszkę miodu, zapewniając mnie, że w okresie złego odżywiania miód jest dzieciom bardzo potrzebny.

W piątą rocznicę śmierci Bartoszka, w piątą rocznicę walk w ghetcie, niech tych parę wspomnień o artyście-malarzu, dzielnym partyzancie i wspaniałym człowieku stanie się bodźcem dla tych wszystkich, którzy się z nim zetknęli. Oni, siłą swoich wspomnień, powinni wskrzesić jego obraz.

Marian Spychalski

Teatr ▪ Film ▪ Teatr ▪ Film ▪ Teatr ▪ Film ▪ Teatr ▪ Film ▪ Teatr ▪ Film ▪ Teatr ▪ Film ▪ Teatr ▪ Film ▪ Teatr ▪ Film

TADEUSZ BREZA

WALKA I SPOKÓJ

„Dom pod Oświęcimiem" Tadeusza Hołuja

Od dnia wyzwolenia do dziś teatry nasze wystąpiły mniej więcej z półsetką polskich prapremier. W porównaniu z przedwojennymi stosunkami cyfra dosyć duża. Przypominam sobie lata dawniejsze, lata chude, lata zaledwie że kilku nowych rodzimych sztuk za cały sezon. Takie lata były zjawiskiem najbardziej charakterystycznym dla naszego życia teatralnego. Angielskie, francuskie, sowieckie teatry grały swoich autorów. Żywi dzielili się ze zmarłymi sceną po sprawiedliwości. Na przykład w Paryżu premiery były w połowie wznowieniami własnych klasyków, druga połowa należała do autorów współczesnych. Z rzadka jeno przemknął się cudzoziemiec. I to z jakim trudem! I często przy pomocy jakich to pieniędzy. Do pierwszej sztuki Pirandella ambasada włoska w Paryżu dopłaciła sto tysięcy franków! Nas warszawskich miłośników Pirandella może to dziwić. Ale zachowajmy nasze zdziwienie na lepszą okazję. Na przykład na taką, że z tej pięćdziesiątki polskich prapremier przypadają na Warszawę zaledwie trzy pozycje! Przez przeciąg trzech sezonów i mając do rozporządzenia rocznie po dziesięć teatrów wystawiła Warszawa tylko trzy rodzime prapremiery! A więc: „Obcym wstęp wzbroniony" — Buczyńskiej, „Na trasie" — Barnasia oraz „Papugę" — Korcellego. Zatem z prapremierami polskimi w teatrach pozawarszawskich jest znacznie lepiej niż przed wojną. Przede wszystkim: brawo Kraków! Natomiast w teatrach stołecznych jest o wiele gorzej. Ach przepraszam! Częściowo zwracam honor. Jeszcze jedną prapremierą mogą się poszczycić teatry stolicy. I to jaką! „Macierzyństwem panny Jadzi" p. Śliwiny.

Po tych sztukach zapanowała cisza. Teatry stolicy uszanowały ją długo. A oto „Teatr Polski" przemógł się i pokazał nam nową polską rzecz: — „Dom pod Oświęcimiem" Tadeusza Hołuja. Dla publiczności i dla recenzentów cóż za magnes. We wszystkich nas żyje pragnienie, by sprawy, które przeżyliśmy i które nas dziś przejmują, obejrzeć w transpozycji scenicznej i artystycznej. Żeby je obejrzeć i usłyszeć o nich, aby się nad nimi zastanowić. Ale znowu biedę mamy z teatrami warszawskimi. Na ogólą liczbę około dziesiątka polskich sztuk o tematyce okupacyjnej wybrały one zaledwie dwie. Zatem widz warszawski ogląda sztukę Hołuja niejako w oderwaniu od reszty scenicznych relacji o naszych „nocach gniewu". A przecież te wszystkie relacje wzajem się uzupełniają. Jedna sztuka nie jest zdolna pomieścić wszystkich treści i poruszyć wszystkich zagadnień. Porusza pewne, charakteryzuje pewnych ludzi, jest jednym ze świadectw. Dopiero zapoznanie nas z obfitą ilością takich świadectw artystycznych da nam poczucie pełni. Pozwoli nam odbyć ten wielki publiczny rachunek za ubiegłe lata. Porachować nasze upadki i porachować nasze wzloty. To wzgląd zasadniczy, dla którego warto nas zapoznać ze scenicznym plonem o tematyce okupacyjnej. Ale istnieje również wzgląd inny, pomniejszy. Ten mianowicie, że nareszcie oglądając tego rodzaju sztukę, nie skakalibyśmy jej do oczu z niesprawiedliwymi pretensjami o to, że nie ma w niej wszystkiego cośmy przeżyli. Bobyśmy rozumieli, że jest jednym z głosów.

To należy mieć przede wszystkim w pamięci, przysłuchując się sztuce Tadeusza Hołuja. Że nie jest sceniczną summą za całą okupację, ale relacją o pewnym jednostkowym zagadnieniu i o pewnej jednostkowej sytuacji. Nierzadkiej wprawdzie, ale jednej z wielu. Za odmalowanie tej sytuacji i za postawienie tego zagadnienia należą się Hołujowi słowa uznania. Za jego takt, za jego serce i za jego artyzm. Tym cieplejsze słowa, że Hołuj jest scenicznym debiutantem. Przed wojną dał się poznać jako poeta. Po wojnie opublikował powieść pt. „Próba ognia". Podczas wojny był w Oświęcimiu. Wiele lat.

W pierwszym akcie Hołuj pewną ręką zarysowuje konflikt. W pobliżu obozu działa grupa ludzi, której udaje się przerzucić na wolność „Cezara", partyjnika ważnego dla organizacji. Dalej do Krakowa ma go przewieźć specjalny przybysz z autem. To Jerzy, inżynier, syn starej Franciszki, całą duszą oddanej robocie, wdowy po szlygarze. Do niej należy dom pod Oświęcimiem, główna kwatera ludzi, którzy uwolnili „Cezara". Ona to jednak, półświadomie czy podświadomie, wpływa na to, że Jerzy w ostatnim momencie stchórzy i się cofnie. Opowiada mu o okropnościach obozu, przypomina o obowiązkach w stosunku do kobiety, którą się zaopiekował i do jej dziecka. Mówi to, chcąc za wszelką cenę ochronić syna. Cały ciężar obowiązków patriotycznych przypadających niejako na ich rodzinę bierze na siebie. Zdaje się, że tak czuje. A w każdym razie tak działa, jak gdyby wierzyła, że przydział obowiązków, który by przypadł na jej syna, wziąć jej wolno na swoje barki. Jerzy ucieka.

I oto „Cezar", który się wydostał, zostaje na lodzie. On oraz jakiś ksiądz katolicki, który o tejże samej godzinie wyrwał z obozu, wyrwał na swoją rękę, gdyż wspomniana grupa nie ma na celu ratowania specjalnie księży. „Cezar" go jednak bierze pod swoją opiekę. I ksiądz wypłaca mu się za nią, bo kiedy w trzecim akcie oddział gestapo naprowadzony na punkt, gdzie się ukrywa i „Cezar" i wszyscy, próbuje ich otoczyć, ksiądz idzie wykonać manewr odwodzący Niemców, i tylko szczególny zbieg okoliczności ocala go.

Ale Hołuj nie jest Zawieyskim. Naczelnym celem jego sztuki nie jest to, żeby pokazać jaki ksiądz jest bohaterski. Hołuj jest pisarzem lewicy, chodzi mu o co innego. Oto, by się zastanowić, czemu ten Jerzy, inżynier, który wsiąkł w świat zamożnej burżuazji, stał się taki parszywy. Nie szczędzi mu Hołuj jak najokazalszej oprawy do jego postępku. Jego rachunek obciąża domiarem. Bo oto Jerzy na domiar wszystkiego żyje od dawna z Marią, żoną tego „Cezara". O tym, że to po niego jechał pod Oświęcim, Jerzy nie wiedział, ale o tym, że mąż kobiety, z którą zamieszkał, przebywa w obozie, o tym wiedział. A zamieszkał!

Akt II przenosi nas pod dach tej pary, przy blaskach tegoż ogniska domowego, rozgrywa się akt IV. Akt, w którym „Cezar", spotyka się ze swoją dawną rodziną. Bo „Cezar" pomimo że został poinformowany o tym, co się dzieje z Marią, wrócił, ale tylko, żeby zobaczyć dziecko, może, by pożegnać żonę, może nawet, żeby poznać człowieka, którego obrała. — „Nie bądźmy sentymentalni!" — powiada. I sam stara się zachować jak najbardziej po prostu. Sucho. Tyle, że kiedy pod wieczór zostaje sam w pokoju, zapatrzy się przez okno. Na ten widok, który oglądał przez lata. W przeszłości? Raczej za czasów przedhistorycznych. Bo właściwą przeszłością „Cezara" staje się obóz, tak jak właściwą jego przyszłością stanie się świat, do którego mu spieszno, żeby go budować. Przed wojną tyrał się po więzieniach. — „Namyśl się córko — reflektuje Marię jej matka— teraz tacy jak on będą zostawać ministrami! — Ale Maria odwykła od „Cezara", a nawet z wyraźną niechęcią wspomina typ ludzi, do którego zalicza się „Cezar": taki typ, który sam nie chce z życia korzystać, tylko wciąż chce je ulepszać i ulepszać. „Cezar" odchodzi, zostawia swój dom za sobą. Zajęty myślą o nowych trudach i o codziennej pracy. Skromny i prosty. Tylko szkoda, że „Cezar"! Że sobie właśnie to imię wybrał na pseudonim. To usposabia do niego podejrzliwie. Przynajmniej mnie. Wolę demokratów bez podobnych myślowych asocjacji.

Atoli i to jeszcze nie jest naczelnym konfliktem, o który Hołujowi chodzi. Bynajmniej! Jest inny. Spaja całą sztukę. Przez cztery akty Hołuj pielęgnuje go z wielką starannością. Aby wreszcie na samo zakończenie sztuki nim strzelić. Chodzi mu o winę Jerzego. O stopień winy Hołuj formuje samo zagadnienie kilkakrotnie. Raz przy pomocy samego zdarzenia na scenie. I w tym ujęciu Jerzy musi przegrać sprawę z kretesem. Przed każdym sądem Honorowym, moralnym, dyscyplinarnym. Obiecał przybyć, wziął na siebie obowiązek, zawiódł. Zdezerterował. Ale w trakcie sztuki właśnie ta jego obietnica zaczyna nam się wydawać zagadkowa. „Cezar" nie jest zwykłym, seryjnym więźniem, jest kimś ważnym w jakiejś organizacji. Jaki jest stosunek Jerzego do tej organizacji? Niewyraźny. Natomiast z biegiem sztuki wyjaśnia się stosunek Jerzego do ludzi, których domeną była grupa działająca w domu pod Oświęcimiem i czcząca „Cezara". Stosunek ten jest chłodny. Natomiast zdaje się, że gdyby Jerzy wtedy pod Oświęcimiem wiedział, że na dodatek do „Cezara" jest ksiądz, może by się przemógł. Może by to zdławiło jego strach i dodało mu patriotycznego animuszu.

Światy, do których zalicza się z jednej strony „Cezar" z drugiej strony Jerzy, stają się dla widzów, i oczywiście dla autora, tak inne, że samo zagadnienie się przekształca. Z płaszczyzny dyscyplinarno-partyjnej przenosi się na płaszczyznę abstrakcyjną. Wyłącznie ludzką. Pytanie Hołuja przepisane na czysto brzmi: czy zwykły, przeciętny śmiertelnik ma prawo odmówić pomocy człowiekowi walki, w jakiejś chwili decydującej dla tego człowieka, w chwili krytycznej? Są bowiem na świecie ludzie, którzy tylko myślą o sprawach swojej świętej walki, tak samo, jak są na świecie ludzie, którzy myślą tylko o sprawach swego świętego spokoju. Jakie ma prawo człowiek walki do tego, by rekwirować człowiekowi, temu od świętego spokoju, jego spokój? Jakie są powinności tego drugiego. Zważmy bowiem, że sytuacja w sztuce Hołuja jest ściśle określona. Hołujowi nie chodzi o to, czy Jerzy winien zaryzykować swoje życie dla pierwszego lepszego człowieka, ale oto, czy ma prawo odmówić takiego ryzyka dla człowieka cennego dla pewnej walki. Jakiej? Ważnej! Czy ma prawo? Na tym pytaniu sztuka Hołuja się urywa. — „On mówi, że ma sumienie czyste!" — taką prawdę w imieniu Jerzego wypowiada sam „Cezar". Stopień ironii, z jaką ją wygłosi, decyduje w pewnym stopniu o wydźwięku sztuki. Wczorajszy „Cezar" wypowiedział to zdanie prawie bez cudzysłowu. Ze smutkiem, w zamyśleniu. Nad czym? Kto wie czy nie nad tym, że Jerzy w tej sprawie mógł mieć naprawdę sumienie czyste. Zwykli śmiertelnicy są tacy. Sumienia ich piorą się doskonale. I dlatego finał sztuki Hołuja ma wydźwięk tak tragiczny. Mówi on o tym, że w najcięższych sytuacjach zwykły śmiertelnik będzie miał zawsze sumienie czyste. A człowiek walki w najcięższych sytuacjach znajdzie się zawsze samotny i skazany tylko na siebie.

Sztuka Hołuja, szlachetna, czysta, miejscami świetnie teatralna, której widz słucha z żywym zajęciem, przejmując się jej sprawami, ma pewną wadę. Przypomina ogród rosnący na dziko, którego nikt nie przycina. Hołujowi zdałaby się umiejętność wyboru i decyzji: mniej wątków, za to logiczniejszych, przeprowadzanych energiczniej. Ale z tą wadą sąsiaduje cenna zaleta, umiejętność operowania skrótami. Takt, dyskrecja, umiar. Te właściwości nie zawodzą Hołuja od początku do końca sztuki. A w pewnych momentach, jak na przykład w scenie pożegnania Jerzego z księdzem czy powitania „Cezara" z córeczką, dają efekty [illegible] dramatopisarzu jest również jego upór, żeby nie pozwolić swoim postaciom uwikłać się w gesty czy reakcje konwencjonalne. Na skutek tego niektóre słowa, gesty, odruchy wypadają na scenie szczególnie biednie. Aż dziwnie! Ale kiedy widz stłumi zdziwienie, musi sobie chyba powiedzieć: właśnie tak bywa. Właśnie tak się dzieje naprawdę.

Trzymał również na wodzy spektakl dobry reżyser: **Jan Kreczmar.** Oraz taka para jak **Seweryna Broniszówna**, matka Jerzego, i **Aleksander Zelwerowicz**, ksiądz, dwie postaci u Hołuja, które akurat łatwo było przejaskrawić. Stara Franciszka Broniszówny budziła podziw zarówno w partiach bohaterskich, jak i prześlicznie zagranej scenie, kiedy to na poły z prośbą, a na poły z groźbą, tyle że bardzo dyskretną, uprzytomniała „Cezarowi", że ona ma w organizacji wierzytelności. Tak duże, że zdolne pochłonąć debet Jerzego. — „To mój syn" — powiada. Niby nic, ów zaimek: mój, a jak powiedziany! Zelwerowicz również zbierał gorące oklaski. I za Hołuja, we wspomnianej już scenie i wielu innych, a nieraz też po troszę przeciw Hołujowi, kiedy przyszło mu podpierać świetnym talentem nieco laurkowe mądrości tego swego kapłana. W roli „Cezarego", byłego męża i byłego więźnia, wystąpił **Marian Wyrzykowski.** Znakomity. Za serce chwytał, kiedy się pojawił w pierwszym akcie. Nerwowy, zagubiony w swoich myślach, niepozorny. Samego Jerzego wziął na siebie **Kreczmar.** Stworzył postać za inteligentną, za mało inteligencką. Do końca sztuki niepokoił nas, że ukrywa jeszcze jakiś wzgląd, jeszcze jakiś kapitalny element całej sprawy. Że to nie sama małość natury, nie sam strach kazały mu się tak fatalnie cofnąć. Podobnie myliła nas Maria **Zofii Lindorfówny.** W ujęciu Hołuja z pewnością ktoś mniejszego duchowego formatu niżeli w ujęciu Lindorfówny. Tymczasem Lindorfówna sprawiała wrażenie, że na dnie duszy też ukrywa jakąś tajemnicę, zdolną nam odjąć szacunek i sympatie dla „Cezara". A nie ukrywała. Tak jak i Kreczmar. Dzielna i dwuznaczną Martę z grupy z nerwem zagrała **Justyna Karpińska.** Fyszną postać cwanej, a zarazem dobrodusznej babci stworzyła **Janina Munclingerowa.** Dobrego, szczekliwego gestapowca odstawiał **Wojdan. Seweryn Butrym**, zdrajcę Alojza oparł na jednej nucie, zapijaczył go i to wszystko. To picie mu nie wychodziło. A raczej nie tyle picie, bo pić może Butrym potrafi, co udawanie.

W pierwszym i trzecim akcie dekoracje **Nalewajskiego.** W pozostałych tegoż, ale już nie takie.

Tadeusz Breza

Ikar paryski, „diwy" 1900, prezydent z brodą

W Paryżu od paru tygodni wyświetla się film: „Paryż 1900". Są to fragmenty aktualności filmowych i krótkometrażówek z okresu 1900 do 1914, specjalnie dobranych, zmontowanych i pewno zremontowanych przez Braunbergera. Film jest „ilustrowany" fragmentami płyt Sary Bernhardt, Carusa, paru zapomnianych już ówczesnych znakomitości teatralnych, melodiami podówczas modnymi, wreszcie bardzo inteligentnym i taktownym komentarzem, mówionym przez Claude Dauphina.

Zaczyna się to od normalnej ulicy paryskiej w dzielnicy handlowej. W pierwszej chwili czujemy się zaskoczeni: tak samo jak dzisiaj sterty jarzyn na straganach i stolikach, ryby, mięso, owoce, przekupki, tragarze. Dopiero po chwili spostrzega się, że przekupki są inaczej uczesane, że na ulicy kursują dziwne omnibusy konne, dorożki, karety. Nowym wstrząsem są samochody: jakby te same dorożki i karety zwariowały czy zbuntowały się, uciekły koniom spod ogona i zaczęły swoją własną niepodległość. Myślicieli kalibru Adolfa Rudnickiego prowokuje się w ten sposób do głębokich i efektownych parabol historyczno - psychologicznych.

Potem przechodzimy do życia towarzyskiego, artystycznego i politycznego. W „café chantant" występuje para tancerzy. Diwa 1900 — to pani w średnim wieku, z poważnym biustem, ale bez przesadnych bioder, z fryzurą, która symetrycznie ukrywa skronie dwiema gładkimi falami, zostawiając pośrodku wąski półwysep czółka. Nie jest to jednak dla niej najznamienniejsze. Wszystkie one posiadają ten sam typ nosa, podbródka, owalu twarzy. Nos jest zawsze duży, prosty, mięsisty, o grubym, zaokrąglonym końcu. Nie ma wśród nich ani czarujących dzisiaj swoją nieregularną dziewczęcością nosków zadartych, ani też potężnych, orlich nochali, ani „rasowych", wąskich, z delikatnym garbkiem. Podbródki są dobrane do nosów: mięsiste, masywne i zaokrąglone, ale nie wystające i nie cofnięte. Owal twarzy wzorowany na śliwce, czoło wąskie, policzki najszersze w połowie wysokości twarzy, później zwężające się symetrycznie do czoła. Niewątpliwie, fryzura, kosmetyka i nawet strój w pewnej mierze podkreślają i ujednostajniają takie właśnie a nie inne rysy. Te same twarze dzisiaj wyglądałyby inaczej. Ale powszechność tych twarzy w paryskich kabaretach i teatrach sprzed pół wieku, wysiłki, aby podkreślić przez fryzurę ten typ, pozwalają niezbicie stwierdzić: to był ideał piękna kobiecego za czasów naszych dziadów. Ideał przerażający. Jedna Sarah Bernhardt, którą jakiś młody człowiek prowadzi pieczołowicie pod rękę do zbuntowanej bezkonnej karety, wygląda inaczej, po ludzku. No, ale też ona w owym czasie należała już do minionej epoki.

Wróćmy do tańca: owa para wykonuje szereg powolnych ruchów, nie przekraczając normy zwykłych figur walcowych „z lewej rączki", czy „panie w prawo, panowie w lewo!" Dziwi nas żywe zadowolenie widzów kabaretowych, którzy dopatrują się w tym wyraźnie jakichś szczególnych finezyj. „Girlasy" ówczesne próbują kankana z o wiele mniejszym ferworem niż dzisiejsza gwardia „Tabarina". Mimo to reakcja widzów sprzed pół wieku jest gwałtowna i natychmiastowa. Towarzystwo przy stoliku wykorzystuje ten skromny ładunek podniecenia i zachęty przez zawieranie doraźnych umów miłosnych.

Najdziwniejsze jednak są efekty teatralne. Poczynając od dekoracyj, poprzez gesty i zwłaszcza intonacje, artyści dramatyczni sprzed pół wieku wyglądają dziś prowincjonalnie. Ich wielkie tyrady tragiczne wywołują gęsią skórkę. Najżałośniej wyglądają sceny „antyczne". Umowność greckiej tragedii w tym okresie jest szczególnie rażąca, nie określa jej ani wysiłek odtworzenia autentycznego teatru Sofoklesa, ani szukanie stałych, pozaczasowych walorów teatralnych sztuki starogreckiej. Widocznie secesja działała zabójczo nie tylko w architekturze, ale i w teatrze.

Jeśli teatr „1900" nas razi, to pierwsze krótkometrażówki bawią, chociaż inaczej z pewnością niż widzów ówczesnych. Złodzieje uciekają, policjanci ich gonią na rowerach. Złodzieje wpadają do domu, policjanci za nimi, zostawiając rowery przy wejściu. Złodzieje wypadają pierwsi, biorą rowery i uciekają. Pijak we śnie odbywa podróż na księżyc, leci przez chmury, mimo gwiazd i spada z powrotem na swoje łóżko. Biedny księżyc wygina się na płótnie i fałduje: zasady perspektywy filmowej nie były jeszcze „przepracowane". Jest w tym bezbronny wdzięk prymitywu, są to anegdoty filmowe, podobne w swojej dziecinnej bezpretensjonalności do najmniej udałych anegdot Boccaccia.

Już jednak wtedy udaje się filmowi ustanowić rekord, bodaj niepobity, w dziedzinie dokumentarnej. Na pierwszym piętrze wieży Eiffla (który zresztą z uśmiechem całkiem zramolałym przewija się przez film) staje dziwna figura z doczepionym do ramion i nóg czymś w rodzaju skrzydeł nietoperza. Jest to krawiec paryski, który uwierzył, że może lecieć. Długą minutę waha się nad przepaścią. Świadkowie stają obok i czekają cierpliwie. Krawiec nachyla się i cofa, walczy ze sobą. Wreszcie skacze.

Obiektyw uchwycił go w „locie". Spada, zgodnie z formułą ciążenia ziemskiego, zwinięty w kłębek, jak postrzelony nietoperz. Na dole czekał trzeci reporter. Złapał mokre uderzenie o ziemię. Tłum biegnie, wynoszą coś nieokształtnego. „Ekspert" mierzy głębokość dołu wybitego ciałem w soczystej glebie paryskiej. 14 centymetrów!

Jakże przerażająca i typowa dla minionego wieku jest ta wiara w sam pęd postępu i techniki w zestawieniu z dziecinną świadomością już rozgryzionych dzisiaj kilku paragrafów „wielkiej karty" żywiołów. I ci ludzie, którzy palcem nie ruszyli widząc przedśmiertne wahanie paryskiego Ikara, a którym jego rozpaczliwa decyzja przydała się akurat tylko na wymierzenie linijką małego dołku w trawniku.

Później jest jeszcze prezydent Fallières, w karocy i bez, w cylindrze i bez, otoczony tłumem takich samych panów w cylindrach. Ten jest w swoim guście zupełnie współczesny, różni się może tylko pewnym odcieniem pogodnego cynizmu: prezydent III Republiki w szczytowym okresie liberalizmu przez swoją ustawową bezradność polityczną znakomicie symbolizował państwo, którego był głową, państwo „laissez passer, laissez faire", państwo zatroskane, by nie ingerować w sprawy swoich obywateli, to znaczy przede wszystkim w sprawy handlowe i przemysłowe.

Kompozycja filmu dwuczłonowa, podkreślona jest jeszcze bardziej przez komentarz. Pierwsza — próbuje odtworzyć mit „dawnych, dobrych czasów". Widzimy właśnie te pierwsze filmy i samochody, uczty w restauracjach, frywolne sceny w gabinetach, sypialniach i na łonie natury, teatr, wyścigi, prezydenta z dostojną brodą.

Potem się zaczyna odwrotna strona medalu. Przyglądamy się Paryżowi i znajdujemy nagle nędzę i brud, nie ustępujący przedwojennym barakom na Annopolu. Dziś w Paryżu brudu jest mniej, choć nędzy co najmniej tyleż. Widzimy wojsko, okupujące dworzec: kolejarze strajkują. Pogrzeb zabitego przez policję manifestanta przenosi nas bezpośrednio w czasy nowożytne: Valence, czy Marsylia? Reżyser, nie wiem w jakiej mierze świadomie, ukazuje nam tę siłę, która kładzie kres liberalizmowi. Oto policja, oto wojsko, oto państwo dobrodusznego brodacza w cylindrze przecież interweniuje w sprawy swoich obywateli. Tych broni, do tamtych strzela. Oto żywiołowa reakcja robotników. Oto nieskoordynowane, błędne wyskoki anarchistów. Podziemne wstrząsy rysują gmach zdawkowej szczęśliwości.

Widzimy nagle młodego „zazou" ówczesnego, długowłosego, à la Jan Kott, w cwikierze. Dopóki komentator nie wymieni nazwiska, nie odgadniemy w tej byle jakiej, wylizanej sylwetce jednego z najbardziej ponurych aktorów historii najnowszej, Leona Bluma. Oto inny młody, szczupły, przystojny, z długimi, czarnymi wąsami: Marcel Cachin. Ich sylwetki znamionują przede wszystkim początek krystalizacji żywiołów, oglądanych poprzednio. Cachin — ileż bardziej świadomy jest tłum strajkujących dzisiaj. Cachin — dzisiaj nie ma już anarchistów, uderzających na oślep, na prawo i na lewo, doprowadzonych do rozpaczy nonsensem i okrucieństwem „dawnych, dobrych czasów", nie wiedzących jednak ani kto to sprawił, ani co trzeba robić, by to zmienić. Blum: o ile trudniej dzisiaj panom w cylindrach poskramiać takie same tłumy strajkujących. Ale dzięki Blumowi przetrwali pół wieku i nie brak im apetytów na przyszłość. Cachin i Blum: te same początki, a jak odmienny ciąg dalszy.

Nieoczekiwana bliskość tamtej epoki uświadamiamy sobie najostrzej gdzie indziej: królowa Wilhelmina. Nie tylko żyje, rządzi. Przede wszystkim już jest stara. Okrucieństwo istnienia staje się na jej widok nie do wytrzymania. Można, okazuje się, przeżyć pół wieku (i to jakiego!) w starości i nie doczekać się śmierci.

Potem wstrząsy potęgują się. Sztaby generalne. Wilhelm II schodzi z fotografii gazetowych, żwawym krokiem mija aleje parku, podchodzi do grupy oficerów, staje i staje się znów fotografią: Sztab generalny cesarstwa niemieckiego. Jest wyższy i tęższy, niż mi się wydawało. Potem demonstracje w Wiedniu i Petersburgu, wyjazd Poincarégo do Rosji, mobilizacja.

Ostatni obraz: pociąg ze zmobilizowanymi odjeżdża z dworca paryskiego. Kierownik ruchu macha chorągiewką. Ostatni wagon znika. Na semaforze czerwone światło.

Koniec. Stare panie o długich, pomarszczonych szyjach i kudłatych, rudych fryzurach melancholijnie ruszają za starymi panami z grdyką, wystającą nad sztywnym kołnierzykiem. Na tym filmie uderza ilość starców, młodzieży prawie się nie widzi. Dla nas daje on dziwne, owszem, przeżycie powrotu dzieciństwa, ożywienia wspomnień i konfrontacji, w której możemy się ratować poczuciem wyższości i starszeństwa wobec tamtej odeszłej rzeczywistości. Dla starców, którzy odnajdują w tym filmie okres swojej siły, musi być nie do zniesienia podwójne zdemaskowanie ich dzisiejszej bezradności i ich ówczesnego, jakże taniego powodzenia. „Dawne, dobre czasy" okazują się czasami złej sztuki i lichej polityki. Film zdziera iluzje nawet najbardziej zakorzenione. Humanitaryzm epoki Dreyfusa, rozstrzeliwania robotników, obławy na anarchistów, raczej ilościowo różnią się od naszej epoki.

Może najznamienniejszym skokiem, jakiśmy przeżyli w tych 50 latach, jest skok świadomości ludzkiej. Te same zjawiska społeczne trzęsą światem dzisiaj co wtedy. Ale od anarchistów do partii Marcela Cachin jest ten sam skok, co od Kserksesa, siekącego Helespont, do dzisiejszych strategów, przed operacją wojskową sprawdzających pilnie meldunki meteorologów. Skok zresztą jest po obu walczących stronach. Brodaty prezydent nie potrzebował jeszcze długowłosego, wylizanego mydłka, aby swoimi sofizmatami dawał wyjaśnienie i motywację policji, strzelającej do robotnika. Wystarczyło wtedy otwarcie mówić o świętej, nietykalnej własności prywatnej. Nie trzeba było ani blumowskiego, perfidnego tłumaczenia, ani goebbelsowej pochwały przymusu i terroru w obronie tej samej świętej własności. Może w tym sensie rzeczywiście były to dobre czasy.

Żyjemy w epoce, kiedy zbiorowa świadomość ludzka gwałtownie pęcznieje, pogłębia się i konkretyzuje. „Paryż 1900" ukazuje nam nowy aspekt filmu: jest to najsilniejszy środek przechowania teraźniejszości na użytek przyszłych pokoleń. Żadna gazeta, żadna płyta, żadna książka historyczna czy dokument nie dają tak wstrząsającej wizji odeszłego czasu. Nieodpartość tego dowodu słuszności jednych prądów rozdzierających ludzkość i niesłuszności innych jest ogromna. Jeśli ktoś odwołuje się do sądu historii, niech pamięta, że trybunał ten posiada dzisiaj technikę dowodową niewspółmiernie wysoką. Film w trybunale historii posiada pewno wartość daktyloskopii w zwykłym sądzie kryminalnym.

Radziłbym Najwyższemu Trybunałowi Narodowemu porozumieć się z Filmem Polskim. Coś by się dało odnaleźć, zwłaszcza za granicą, z polowań w puszczy białowieskiej, przyjazdów Ciana, antysemickich pogromów, rozstrzeliwań krakowskich i lwowskich, występów różnych Carów i Sławojów.

bb

DEKLARACJA

Zgłaszam się na członka Klubu Literackiego „Odrodzenia" i zobowiązuję się do płacenia abonamentu za książki w kwocie zł 1.800 rocznie, płatnych po 150 zł miesięcznie lub po 300 zł co drugi miesiąc lub po 900 zł półrocznie (niepotrzebne skreślić).

Moje prawa i obowiązki są mi znane.

Imię i nazwisko .....

Adres .....

.....
(podpis)

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem: Warszawa, Daszyńskiego 14, Klub Literacki „Odrodzenia".

GRZEGORZ KORCZYŃSKI

SMIERC ROBERTA

Noc. — Tak czarna jak dola chłopa lubelskiego w okupację. Posuwa się powoli, ociężale, nie tak jak dotąd, jak zawsze. W marcu wyraźnie daje się zauważyć załamanie dyscypliny. Cały oddział jest jeszcze pod wrażeniem nieudanej akcji. „Skok" na pociąg ze szkopami nie powiódł się. „Anton" nawalił. Przegapił światło semaforu. Pod nosem przestawiono mu weksle. Ludzie przemęczeni marszami, które poprzedziły podejście do lasu Gizówka, podstawy wyjściowej dla akcji na kurier, nie bardzo się kwapili przyśpieszyć kroku. A trzeba było jak najszybciej oderwać się od Szastarki, bo walka z żandarmerią nie była pożądana.

— Żwawiej chłopaki! — to będziemy szybciej w domu — zachęcał Kubuś maszerujących. — Do „domu" jednak było daleko.

Domem były wówczas lipskie lasy i to te z gęstym podszyciem za Janikami. Aby się tam dostać, trzeba było przejść tej nocy ponad trzydzieści kilometrów. Taka odległość, powolne tempo i pozostałych parę godzin ukochanej nocy spowodowały, że dowódca zatrzymał oddział i wskazał na niebezpieczeństwo powolnego marszu. Na koniec dodał: Maruderzy będą ukarani. Nie pozostawimy nikogo na drodze.

Takie postawienie sprawy zmieniło od razu sytuację. Zaczęło się ogólne poganianie. „Hanys", Ślązak przysłany zaledwie przed paroma dniami z Warszawy, były pracownik Arbeitsamtu, co chwila pokrzykiwał:

— Pierońskie ciule raźniej — no, raźniej!

Grisza nie przestawał popiskiwać swoje „poskarej".

Po zmianie osi marszu, która biegła parę kilometrów wzdłuż toru, oddział obszedł wioskę Polichnę i czujnie i raźnie szedł w kierunku na Stany, Potok i Łysaków. Głowy zaprzątała tylko jedna myśl: żeby jak najszybciej dotrzeć do lasu.

Zdążyć przed brzaskiem, dopaść lasu — to będzie przynajmniej wygrana po przegranej. Coraz wyraźniej zdawano sobie sprawę, że Niemcy nie puszczą płazem dzisiejszej wizyty oddziału prawie pod sam Kraśnik. Będą tropić i ścigać, a partyzancka natura nie lubiła przyjmować narzuconej walki. Przeciwnie, trzymano się tu zasady: — zaskocz znienacka, niespodzianie, uśmierć od razu, albo zmuś szkopa do walki, a wówczas na pewno go pokonasz.

Aby nie tracić czasu oddział nie obchodzi Stanów, ale przecina wieś. Już u jej wylotu zostaje ostrzelany. Kilkadziesiąt strzałów przerywa na chwilę monotonię marszu i złośliwe ujadanie psów. Idą dalej, jakby nic nie zaszło, tylko zwiad zawraca ku wiosce, aby zbadać kto strzela. Niebo zaczyna się przecierać, widać gwiazdy — można już rozpoznać niektóre sylwetki. Polną drogą podchodzą pod cmentarz.

Rozkaz, i ludzie odpoczywają pod cmentarnym płotem, czekając powrotu patrolki. Wraca. Kubuś melduje, że strzelali miejscowi Z. W. Z.-ciacy. Konieczność dotarcia do lasu, nim się zrobi widno, nie pozwala na „rozmowy" z Z. W. Z.-ciakami czy endekami. Teraz posuwają się ostrożnie, bo niedługo trzeba będzie przejść przez szosę. Szpicę prowadzi dowódca plutonu „Luby" Płowaś. Jakieś dwieście metrów za nim maszeruje oddział „Kościuszko". W ciągu trzech ostatnich dni oddział przybrał na sile, bo na akcję kolejową ściągnięto ludzi z okolicznych placówek i garnizonów. Były tam chłopaki z Rzeczycy, Trzydnika, Ludmiłówki i prawie spod Wisły, z Grabówki. Razem mogło być z siedemdziesiąt chłopa.

Kiedy zeszli z pagórka za cmentarzem, droga stała się coraz bardziej kręta i falista. Tu i ówdzie zaczęły się pokazywać przydrożne wierzby, znak, że byli już niedaleko Łysakowa. Przybiega od „Lubego" łącznik z meldunkiem, że kilkanaście metrów przed szpicą przeskoczyło drogę parę „cieni". Ciche rozkazy. Oddział się zatrzymuje; w chwilę potem przeskakują przydrożny rów i tyralierką, stąpając ostrożnie, idą polem po prawej stronie drogi.

Ciszę przedziera nagle przeciągłe Achtung!, a potem krótkie, ale gromkie Feuer!

Już wszyscy leżą. Jazgot karabinów maszynowych i eksplozje granatów tworzą piekielną kakofonię. Od czasu do czasu oślepiający blask rakiet przebija nocną czerń, ukazując na gołym polu obnażony z jej osłony oddział. Partyzanci

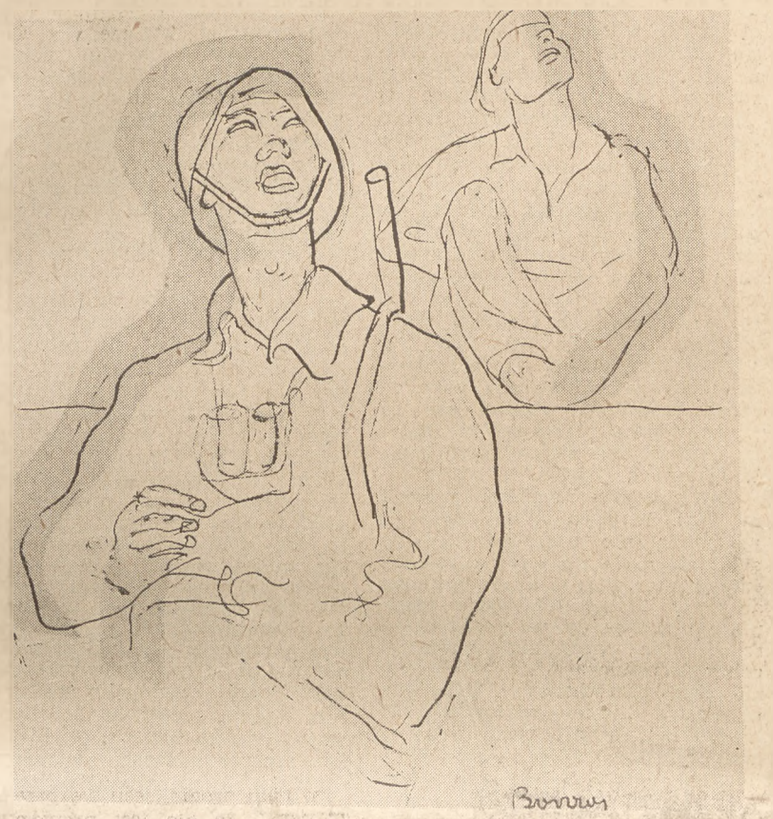

Piotr Borowy — W oczekiwaniu na zrzut

dostają się w ogień z przodu i z flanków.

Sytuacja jest jasna. — Zasadzka.

Decyzja może być tylko jedna: wycofać się jak najszybciej.

Łączność ze szpicą „Lubego" została przerwana. Okazało się później, że wysłany do niego Stach zginął. Nie mogąc doczekać się powrotu łącznika, dowódca wysyła Roberta, aby za wszelką cenę doczołgał się do drogi i przekazał „Lubemu" rozkaz zaatakowania Niemców przez grupę, pozostawioną po lewej stronie traktu.

„Luby" miał w ten sposób szanse przerwania się — o połączeniu z jądrem oddziału nie było nawet mowy. — Ogień nie ustawał i co gorsza — Niemcy zdołali zagarnąć pierścieniem cały oddział Kościuszki.

To była prawdziwa matnia. W którą stronę się nie ruszyć, wszędzie ogień. Chwacki Robert nawiązał widać kontakt z „Lubym", bo ten dawał znać o sobie. Gromkie powtarzające się raz po raz — „hurra"! przy akompaniamencie „pykawek" i rozrywających się granatów „Lubego" było sygnałem dla dowódcy, że nie ma ani chwili do stracenia. Należało działać natychmiast! Przeciągły gwizdek poderwał z ziemi wiarę partyzancką. Krzycząc i ostrzeliwując się, dopadli pierwszych szkopów. Nie można się już było zorientować, gdzie Niemiec, a gdzie Polak. Widać było tylko cienie. Kiedy umilkła przeszło godzinna kanonada w mroku zaczęły się nawoływać głosy partyzantów. Luźne grupy i grupki, rozproszone na dość dużej przestrzeni — maszerowały w kierunku upragnionego „domu", do lasu.

Nad rzeczką, koło kładki za wsią Łysaków, pierwszy odpoczynek, aby pozbierać chociaż część oddziału. Natychmiastowe wysłanie kilku patroli podsztukowało w rezultacie oddział o kilkunastu ludzi. Nadeszła i szpica „Lubego". „Luby" mówił cicho. Robert niósł go na barana. Opowiadał, jak się przerywał przez pierścień z chłopakami, jak dostał w rękę, jak później wyrwało mu kawał ciała w nodze. Opowiadał, jak żegnał się z tym światem, nie mogąc iść dalej. To Robert nie pozwolił go zostawić. Odnalazł go i przyniósł tu. — Zaczęło świtać, za nim grupa zabrudzonych, obdartych ludzi dotarła do lipskich lasów. Naprędce rozpalono ogniska. Paru poszło na Janiki zasięgnąć języka, podać kontakt miejscowym dla powracających jeszcze partyzantów, zdobyć trochę jadła i furmankę dla „Lubego".

Postój nie mógł być długi. Oddział krwawił w czasie drogi. Było paru rannych. Ślad przemarszu grupy pozostał niezatarty. Nadchodzący jeszcze rozbitkowie mówili, że szli śladem krwi. Mimo przemęczenia i przygnębienia rozmowy i opowiadania nie ustawały. Należało ustalić, kto został zabity, kto jeszcze może nadejść, ilu jest rannych? Z opowiadań naocznych świadków można było wnioskować, że ponad pięciu partyzantów zostało zabitych; dwu ciężko rannych zastrzeliło się. Witek spod Słodkowa poderwał się na swoim granacie. Dochodziło południe, kiedy Kubuś wraz z szóstką ludzi, w tym dwu rannych, odjechali z „Lubym" do doktora na leśniczówkę pod Szwedami.

Po południu Niemcy już dobrze deptali im po piętach. W części lasu Łęki był jeszcze oddział. Po wymianie strzałów udało się grupie odskoczyć od nacierających i bardzo szybkim marszem zatrzeć za sobą ślad w młodych zagajnikach. Upragniony mrok ułatwił dalszą drogę. Przecięto tor kolejowy, oddział minął Lipę i po długich postrojach osiągnął rano wzgórze Starkoń, które dominowało nad całym masywem leśnym ordynacji Zamojskich. Wystawiono czujki. Kucharz Henio — nie ten z Rzeczycy — ten drugi — starozakonny, zajął się od razu sprawami kulinarnymi. Dwu tęgich chłopów spod Kraśnika uwijało się raźnie koło niego, wyrzucając z worka do popiołu „bałabuny". Stasiek z Edkiem poszli rozejrzeć się dokładnie w terenie, aby uniknąć niespodzianek. „Lutek" zaś poszedł na zwiady do niedaleko odległej leśniczówki, czy w okolicy jest spokojnie.

Zmienne październikowe słoneczko wypłatało tym razem figla i rzetelnie przygrzewało. Ludziom wracała ochota do życia. Świat znów był piękny. Zaczęto dowcipkować i obmyślać, jakby się to szybko odegrać na szkopach za zasadzkę na Łysakowie. — Taka to już była zaciętość partyzancka. Chłopaki mówiły z uznaniem o Robercie, który mimo cholernego ognia podczołgał się do szosy, przekazał rozkaz „Lubemu", a potem, gdy ten został ranny, wyciągnął go z ognia.

— Patrzta chłopaki — zaczął Edek Marszałek, wskazując na wygrzewającego się Roberta — zachował się tak, jakby nie był wyznania handlowego.

— A może to on nie jest krótki katolik — dorzucił Antoś „chodząca bida", młody, wymizerowany pastuch spod Janowa.

— Nigdy to nie wojowało — ciągnął dalej Edek — dziady i pradziady tylko targowały, a Robert w bitce taki jurny. — Ludzie poodrzucali na bok koszule, przestali łowić wszy i zaczęli dyskutować, czy też Żydzi umieją coś jeszcze oprócz handlu.

Roberta widać ruszyło, bo podniósł się z ziemi i zaczął chodzić koło rozprawiających.

Robert uciekł do oddziału z Majdanka. Nie miał skrystalizowanych przekonań politycznych. Był to inteligentny, odważny i pracowity człowiek, niezmordowany w częstym patrolowaniu terenu. Lubił zwiad. Zaczął opowiadać o Żydach. Mówił, że i oni mieli swoich bohaterów. Słuchano z zaciekawieniem opowiadania o Berku Joselewiczu, a zwłaszcza o legendarnym wielkim wodzu i żołnierzu żydowskim, Bar-Kochbie. „Bida" Antoś zapytał, czy ten Bar miał pejsy i jarmułkę, bo według Antosia taki nie mógł być żołnierzem. Słuchali nawet Rosjanie, kiedy im powiedziano, że „to nie jewrejski wopros".

Rozmowa przeszła w końcu na walkę z Niemcami. Teraz — mówił Stach — ma się wrażenie, że wszyscy są jednej religii, jednego wyznania, że wszyscy są antyfaszystami. Prać Germanów! — oto religia Innowiercą jest ten, kto ich nie bije.

Heniek przerwał rozmowę ponętną propozycją jadła. Chłopaki pożywiali się pieczonymi kartoflami i lurą, dla „fasonu" nazywaną kawą.

Tylko ranny w dłoń Tadek chodził markotny i nie chciał jeść; zrzędził i straszył gwizdem. Bóg wie skąd nadleciało stado wron. — Niedobrze komendancie — zwrócił się do dowódcy. — Te przeklęte kawki nas nie odstępują. Zła wróżba.

— Ostaw druh spakojno ptice — powiedział Griszka.

Rzeczywiście wroniska uwijały się nad Starkoniem. Słońce było jeszcze wysoko, grzało, ludzie zapadli po posiłku w półsen.

Wesoło jeszcze trzaskają niedogaszone ognie. Ludzie śpią, śnią i marzą. Dziwne, jaki wszyscy mają jednakowy „sen". Strzały. Czy to nie zasadzka pod Łysakowem? Pojedyncze strzały przechodzą nagle w huraganowy ogień, łudząco podobny do łysakowskiego. Nie, to nie sen! Starkoń okrążony. Dowódcę ciągnie za rękaw pupilek „Jastrząb".

Jedni ostrzeliwują się klęcząc pod drzewami, aby pozostała część mogła się przebić jarem.

Jak się potem okazało nędznik leśniczy O. naprowadził Niemców na swych przeciwników politycznych.

Walka na śmierć i życie. I znów stara historia, bez tego nie może się obejść. Znów krew! Zabici i ranni!

Niosą tego, który nie tak dawno przekonywał, że Żydzi mieli także swoich żołnierzy i bohaterów.

Niosą ciężko rannego Roberta.

Na wzgórzu Starkoń pozostali tylko zabici.

Ci, co wyszli żywi z okrążenia, na wpół biegli z konającym Robertem. Wpadli w dębinę. Ułożyli rannego na mchu. Z przestrzelonego brzucha i nóg waliła krew. Nie było już czasu na przewiązywanie ran. Koszule podarto ubiegłego dnia na bandaże dla rannych spod Łysakowa.

„Jastrząb" Paleń wpadł na pomysł. Zdjął swój płaszcz, odpruł z niego podszewkę i podarł na bandaże. Rany obwiązano. Robert wymiotuje. Prosi, żeby go zostawić. Strzały słychać coraz bliżej, Niemcy idą po śladzie. Znów na wpół bieg. Ludziom zaczyna brakować sił. Odpoczynek. Słychać warkot motorów samochodowych. Wasia i Stach przybiegają z ponurą wieścią: Niemcy podwożą posiłki. — Trzeba decydować. Zabrać ze sobą Roberta — to opóźnić oderwanie się od żandarmerii, to niechybna zagłada całej grupy. Należy wybierać Śmierć Roberta—czy życie oddziału. Odchodzą parę kroków od rannego. — Narada. — Co robić?

Wszyscy się zgadzają, że Robert, gdyby miał nawet natychmiastową pomoc lekarską — nie może żyć. Ciężko było powziąć decyzję. Zadecydował dowódca. Ponieważ nie ma możliwości, aby wyprowadzić Roberta z okrążenia a nie można go żywego Niemcom pozostawić, pada rozkaz w stronę Tadka. — Jesteś jego przyjacielem, ulżysz mu w mękach. Ty zastrzelisz Roberta. — Tadek zaczyna płakać. Nie zrobi tego. Tymczasem Niemcy idą sąsiednią przesieką. Robert wije się w boleściach i konwulsjach. Dowódca z Visem w ręku podchodzi do rannego. Robert nadludzką siłą woli podnosi się i mówi szlochając: „Komendancie, za co chcecie mnie zastrzelić?"

Dowódcę zacisnęło. Czyż mógł staremu partyzantowi, pełnemu poświęcenia żołnierzowi powiedzieć, jak to było na Łysakowie, — że jego śmierć jest potrzebna, aby ratować inne istnienia. — Nie. — Nie miał na to dość hartu. Wewnętrzna walka stawała się straszna ponad siły udręką. — Dobry twój druh, niewiele wymaga... chce tylko żyć — jak można go zabijać — Czuł się jak zbrodniarz, mordujący z premedytacją. Wreszcie przemógł się i powiedział: — To nieprawda. Robert, nikt nie chce twojej śmierci. Będziesz żył. — Wiedział, że to było ohydne kłamstwo.

Partyzanci ponieśli Roberta dalej i pozostawili ukrytego w krzakach między sosnami.

Oddział przebija się przez Niemców i szybko zdąża w kierunku Ireny. Na drugi dzień rano odnajdują miejsce ukrycia Roberta. Mech powyrywany z ziemią i krzakami. Palce rannego pogryzione. Porwane ubranie. Straszny grymas na twarzy. Robert nie żył.

Tylko sosny były świadkami tragicznej walki człowieka o życie. One nie mówiły.

Grzegorz Korczyński

W poprzednim 12 (173) numerze „Odrodzenia" z dnia 21 marca 1948 r.: **Mieczysław Jastrun:** Nowe wiersze. — **Krystyna Żywulska:** Nareszcie film. — **Wojciech Bylina:** Mity amerykańskie: Prawdziwość informowania. — ***. — **Czesław Miłosz:** Lud będzie żył... — **Edmund Osmańczyk:** Czujność jest wskazana. — **Antoni Słonimski:** Granice wyobraźni czyli Monsieur Verdoux. — **Jerzy Andrzejewski:** Kartki z dziennika lektury: List do Adolfa Rudnickiego z okazji „Żołnierzy". — Poezja („Wybór liryk A. S. Puszkina i T. J. Tiutczewa"); Powieść („Miasteczko nad Olszanką"); Proza tłumaczona („Imitacja życia"). — **Roman Bratny:** Przez zieloną granicę do Grecji. — **Bogusław Kuczyński:** Obrazki z Rzymu. — **Tadeusz Breza:** Mikrokordian.— **azl:** Nowa grupa plastyków „Powiśle". — **Zygmunt Mycielski:** Olimpiada. XXIII koncert symfoniczny. — Varia. — **Wacław Kubacki:** Z teki dra Prota Sowizdrzała: Magia cyfr. — **Jan Rojewski:** Komedia muzyczna czyli „Camera obscura" na cenzurowanym. — **Jan Lenica:** Erudyta. — Camera obscura. — 17 ilustracji. — 8 stron.

Od Administracji

Mimo podniesienia ceny poszczególnego numeru do zł 25, prenumerata miesięczna „Odrodzenia" wynosi — jak dotychczas — 80 zł

Piotr Borowy — Odpoczynek

PIOTR BOROWY

TWARZ ŻOŁNIERZA

Nie pamiętam,
kto stawiał krzyże za nami,
biegnąc za dymiącym czołgiem,
deptałem niezapominajki
i ręce — czerwonymi gwoździami.

Ziemia odłamków była pełna,
pamiętam, że wielu żołnierzy
miało nagłe zdziwienie w oczach
i dziurawe orzełki na hełmach.

Oddaję synowi cięższy karabin,
ojcu mogę w oczy spojrzeć,
— ceniliśmy wolność jak zdrowie
i obmyliśmy rany w Odrze.

Może kiedyś zamyślony górnik,
gdy będzie w nas łomem uderzał,
ujrzy obok paproci i czołgu
— odciśniętą w węglu twarz żołnierza.

W POLU MINOWYM

Żołnierzom Pierwszej Armii
walczącym nad Wisłą

Boża krówka wędruje po dłoni,
Która wystaje z wiślanego piachu.
żołnierz na wolną drogę wskazywał
i czołg przeszedł po dłoni na zachód.

Z żołnierzem przechyliła się sosna
i tylko wybuch został w ramionach,
w nienasyconą, zdeptaną ziemię
ścieka z sosny żywica czerwona.

Na drutach wiszą czyjeś rękawy,
lecz czas już przymknąć kolczaste oczy,
towarzysze porośli rumiankiem,
a czołg się za Nysę potoczył.

Niosę dalej w dłoni bożą krówkę,
mieszkającą w wystrzelonych łuskach.
modlić się już dawno nie umiem,
— gryzę trawę w spieczonych ustach.

Piotr Borowy — Ognia!

JULIAN PRZYBOŚ

ŻAL

Liryki lozańskie oddychają wielkim spokojem ukojonego smutku i oddalenia. Uczuł poeta, że oto przechyliło się jego życie na drugą stronę lat, pozwolił płynąć łzom żalu i spoza wieku klęski spojrzał po raz pierwszy na swoje życie jako na całość, na sprawę już dokonaną.

Nie brak u Mickiewicza takich porachunków z własnym życiem, ale ten, wypowiedziany ostatnimi już słowami jego poezji jest najbardziej przejmujący. Romantyczny cień śmierci rzucił poeta na swoje życie zaraz na wstępie swojej twórczej drogi. Zaczął przecież od „Dziadów" — i na „Dziadach" chciał skończyć; jedynie to swoje dzieło, dzieło o obcowaniu z umarłymi, uważał za ważne. Myśl o własnej śmierci towarzyszyła natrętnie najpierwszej młodości poety. Od umarłych, duchów i upiorów roi się w pierwszych zbiorach Mickiewicza. Ale — czytając „Żeglarza", Ballady i „Dziady" wileńskie — czujemy wyraźnie literacką umowność tego upodobania w cieniach śmierci i trudno nam się przejąć sceną powtarzanego dla nauki samobójstwa Gustawa. Część czwarta „Dziadów", najsłabsza i rozlewna — wydaje się zabytkiem literackim całkowicie już niemym, świadczącym o uczuciowości dzisiaj niemożliwej, wymuszonej wtedy przez literackie wzory. Myśl o samobójstwie (w „Panu Tadeuszu" nazwał ją Mickiewicz rozpustą) nawiedza w młodości zazwyczaj bujne i żywiołowe temperamenty i bywa jakby nieuniknionym grzechem przeciw nadmiarowi życia. Młodzi lubią marzyć o śmierci: bo jest od nich tak odległa, że tylko prawdopodobna. Dopiero po wieku męskim prawda mijania staje się dojmującą rzeczywistością biegnących dni. Każdy dzień obciąża szalę, przechylając ją na drugą stronę danego nam czasu. Najspokojniejsze chwile zaprawia żalem i wszystkie przeżycia równa i — oddala.

*

Zadumę nad przemijaniem określił obrazami elementów. Nad wodą wielką i czystą — góry, obłoki, błyskawica i grzmot. Wiecznie żywy dramat swojej samotności — tyle razy poruszający jego wiersze i nigdy nie rozstrzygnięty ostatecznie — tutaj, nad Lemanem, złagodniał i pozornie znalazł rozwiązanie w zgodzie na los własny. Los swój porównał z prawami, które każą skałom stać, obłokom nieść deszcze, a błyskawicom grzmieć i grzmieć. Wszechobejmująca zaduma sprowadziła świat do elementów. Świat zestroił się z poetą, a potem — utożsamił się z nim.

Tę wodę widzę dookoła
I wszystko wiernie odbijam,
I dumne opoki czoła
I błyskawice pomijam.

Jakby widząc wodę — stał się nią i — płynąc — mijał opoki i błyskawice.

Ale czysta woda jeziora nie płynie — odbija tylko wszystko i — odbiwszy wiernie — stoi wielka i przejrzysta.

Jest w tym wierszu o kompozycji na pozór prymitywnej (najpierw trzy obrazki z natury, jako ilustracja stanu duchowego, potem arcyoczywista refleksja) dziwne przemieszanie elementów: to, co poeta bierze za przedmioty porównania, zdaje się być zarazem tym do czego porównuje — jedno przepływa w drugie. Ruch mijania jest wielokierunkowy; mijają chmury, mija błyskawica i grzmot, a nawet wydaje się, jakby czarne skały i ich groźba istniały tylko w wizerunku wodnym. Minęły w tym odbiciu wody, która jedna stoi, podczas gdy o nich mówi poeta w czasie przeszłym: stały. Woda wielka i przejrzysta zdaje się być w zamierzeniu poety nie tylko znamieniem wierności i czystości, ale i niezniszczalnej trwałości — a nie przemijania.

Czyżby autor „Pana Tadeusza", budowniczy obrazów rozwijanych z konsekwencją geometryczną, nie dokształcił tego brulionowego — być może — wiersza?

Mnie płynąć, płynąć, płynąć!... stwierdza w końcowym okrzyku. Niedopowiedzenia porównania (mnie, jak wodzie...) i zwichnięcie ścisłości analogii (A woda... Stoi wielka i przejrzysta) daje uszeregowanym obrazom, z pozoru mającym sztywność alegoryj, ruchliwość większą niż... Tak, zdziwi co powiem — lecz sprawdzałem to za każdym czytaniem: ruch wywołany w naszej wyobraźni obrazami wiersza „Nad wodą wielką i czystą" jest szybszy niż galopada „Farysa". Tam ruch jest opisany, tam przyjmujemy każdy obraz ruchu oddzielnie — tutaj ruch wiruje między poszczególnymi obrazami. Oglądany z mety końcowego wiersza — przemienia tak perspektywy, że błyskawice, którym trzeba grzmieć i ginąć, wydają się zjawiskami nieruchomymi. Wynik ten uzyskał poeta niewielu czasownikami, a ileż ich, nazywających ruchy, wydatkował w „Farysie".

Bo też nie o ruch fizyczny poecie chodzi, nie o jego opis. Czymże jest wrażenie najszybszego lotu wobec dojmującego wrażenia — uciekającego czasu, wobec zadumy nad upływającym — na zawsze — życiem? Żaden pęd nie doścignie minionej sekundy; dlatego to najżywszy obraz fizycznego ruchu wydać się musi mniej ruchliwym niż nieruchomy obraz wywołujący w nas uczucie przemijania.

*

W zadumach lozańskich rozłamał Mickiewicz swoje życie na dwoje: na dzieje przed klęską doznaną w wieku męskim i na czas zgody na klęskę, czas rezygnacji. Wiersz „Polały się łzy" jest dowodem, że patrzył na siebie już jakby spoza życia, z drugiego brzegu, z oddalenia, które wszystkie sprawy sprowadza do źródła łez, tak samo żałosnych. Tymi samymi łzami obmył wspomnienie szczęśliwego dzieciństwa, co przeżywaną i nie skończoną jeszcze klęskę wieku męskiego.

To uczucie oddalenia się od siebie samego przekazał w wierszu „Gdy tu mój trup..." Wiersz o niespotykanej przedtem rytmice, ale uderzająco nowy przede wszystkim dzięki temu, że poddaje fantastyczną treść w sposób ubogo prosty i jakby dziecinnie niezgrabny. Można oczywiście traktować go jako pierwszy szkic, jako brulion utworu nieprzygotowanego jeszcze do druku i tym tłumaczyć niezwykłości niewyrównanej rytmiki i nieobrotność zdań.*) Ale to nie zmieni faktu jego niezwykłości. Jest aluzją do jakiejś sprawy nieokreślonej, tajemnej, dziejącej się w „ojczyźnie myśli". O tej ojczyźnie myśli i serca napomyka jak o kraju idylli, o raju dzieciństwa.

Tam, wpośród prac i trosk
i wśród zabawy
Uciekam ja. Tam siedzę
pod jodłami,
Tam leżę wśród bujnej
i wonnej trawy,
Tam pędzę za wróblami,
motylami.

Utwór ten ofiarowuje nam uczucie jakiejś ukojonej żałości, uczucie oddalenia się i zagubienia, głęboką rzewność. Usiłuję sobie wyjaśnić, dlaczego tak działa? Pięć razy użyty przysłówek „tam" przeciwstawia się mocno jedynemu w tym wierszu „tu", oznaczającemu jawę codzienności. Jaskrawy i zaskakujący obraz trupa, który „w oczy zagląda i głośno gada", znajduje przeciwieństwo w najprostszych idylicznych pejzażach „wewnętrznych". To ten kontrast tak uderza wyobraźnię; rozszczepiło się ja liryczne poety: trup gadający i zarazem dziecię pędzące za motylami. Dał tu Mickiewicz pierwszy „pejzaż duszy", w którym panują inne prawa odległości niż w krajobrazie zewnętrznym. Oddalenie mierzy się tam siłą tęsknoty i żalu.

*

Skarżył się na samotność poeta nieraz, ale nigdy spowiedź jego nie była tak skruszona i tak przejmująco-samotna, uczyniona tylko przed samym sobą. Skardze wypowiedzianej w improwizacji Konrada towarzyszy szeroki retoryczny patos i obrazy tak nadmierne, że ta dumna samotność, grana na scenie rozprzestrzenionej na wszechświat, wydaje się zbyt teatralna. Jest daleka od tej ostatecznej, która nie potrzebuje już na swój dowód — całego kosmosu. Samotność doświadczona w Lozannie jest zupełna: nawet wśród rozmów w gronie przyjaciół daje się odczuć tak potężnie, że poeta jakby jeszcze za życia odumarł całą dookolną rzeczywistość.

Ale o klęsce samotności, o ostatecznym już, starczym zwątpieniu mówi najbardziej przykładowo „Żal rozrzutnika". Wiersz ten, w przeciwieństwie do wspomnianych tu liryków lozańskich („Polały się łzy" i „Gdy tu mój trup") — będących najbardziej bezpośrednimi wyznaniami, jakie poeta kiedykolwiek uczynił — ma charakter jakby przypowieści z celem moralnym, wskazanym na końcu. Dzięki temu, dzięki formie ujęcia, złagodzony został żal poety, w swojej treści najokrutniejszy, jakiego człowiek może doświadczyć pod koniec swojej wędrówki życiowej, stał się dla czytelnika mniej wstrząsający, niż jest nim w istocie. W istocie bowiem — Mickiewicz wyznaje, że nie znalazł w swoim życiu ani jednego człowieka, który by go obdarował tak jak on pełnią swego człowieczeństwa.

Czyż nie istniejemy o tyle tylko, o ile rozdarowujemy się drugim? Jesteśmy i pozostaniemy sobą tylko w takim stopniu, w jakim odbiliśmy się w ich sercu i zapisali w ich pamięci? To społeczeństwo uwierzytelnia jednostkę, człowiek bez świadczącego o jego istnieniu człowieka nie istnieje.

Ale Mickiewiczowski rozrzutnik to romantyczny jeszcze indywidualista, który nie znalazłszy nikogo, kto by mu zwrócił dług serca, nie wątpi o prawdzie i sile własnego udziału w społecznym obcowaniu. On nie sobie przypisuje winę samotności, lecz obdarowanym przez siebie wyrzuca nierzetelność.

Należał do tych natur, których świadome i bogate życie duchowe budzi potrzebę samopotwierdzenia. Pragną one świadka swoich czynów i uczuć, pragną spotkać choć jedną istotę ludzką, która by je pojęła w najgłębszej ich szczerości, oczekują powiernika tak czułego, by mierzył równą miarą uczuciową siebie i ich, by się im r ó w n a ł. Bywają żywoty, których istota streszcza się do oczekiwania na kogoś, kto pojmie i odsłoni ich sens, kto współbrzmi sympatią i — dopełni.

Mickiewiczowski rozrzutnik marzył od zarania młodości o doskonałej kochance i doskonałym przyjacielu. Młody filomata wierzył mocno w istnienie takiej istoty dopełniającej jego osobowość.

Jest i musi być kędyś, choć
na krańcach świata,
Ktoś, co do mnie myślami
wzajemnymi lata!

A oto, robiąc po latach rachunek roztrwonionych uczuć, stwierdza z żalem:

A serce nigdy z sercem nie
gadało!

Powierzamy się swoim bliźnim tylko peryferią naszej osobowości. Najgłębsza nasza istota — tak odczuwali romantycy — jest nieprzekazna. Nie ma doskonałej komunii dusz ludzkich, jednostka w najgłębszej swojej istocie skazana jest na samotność.

Ten błąd odczuwania jest jednakże prawie tak rozpowszechniony jak złudzenie, że mamy absolutnie wolną wolę. Cóż stąd, że jest złudzeniem i że nigdy nie spotkamy powiernika naszego życia, który by z nami tak doskonale współodczuwał, że zniknęłoby poczucie samotności? Że do końca życia ulegać musimy dojmującemu złudzeniu, iż odchodzimy nieodsłonięci, nieodkryci, sobie tylko znani, na siebie tylko skazani? Pragniemy widzieć siebie samych jakby spoza siebie, tak jakby nas ujrzeli doskonali nasi współodczuwający bliźni.

„Żal rozrzutnika" bywa umieszczany w zbiorze dzieł poety w najbliższym sąsiedztwie wiersza „Polały się łzy..." Nie opłakuje już nienazwanej klęski, ale jest rezygnacją największą, przyznaniem się do klęski najcięższej. Jest najczarniejszym ze smutków: odwróceniem się od świata i od ludzi. Zapowiada posępny czas upadku ducha: czas towiańszczyzny. Poeta - rozrzutnik, tak jak zapowiedział, zakopał resztę skarbów w ziemi: zakopał poezje w jałowych i ponurych praktykach, w „harowaniu", w szukaniu „tonu" i „drgnięć".

*

Wspinam się w górę po schodach, dotykam murów kolegium lozańskiego. Obejmuje mnie niezmieniona, odstuletnia przestrzeń. Korytarz i sale wykładowe — same napomykają o swojej staroświeckości. Nawet nie patrząc na architektoniczne ukształtowanie, czuję się ich dawność, czas w nich zastygły wstrzymany wpośród czasu biegnącego wokół dziedzińca nowymi domami.

Co pozostało z dawnego widoku, który miał w oczach profesor literatury łacińskiej? Krótkimi stromymi stokami wznoszący się pejzaż pokryły nowe ulice, ale ze szczytu miasta, z placu nad gmachami rządowymi — widać rozpadliste jary. Jarzą się oto jesiennymi czerwonymi drzewami, im dalej — tym od błękitnego tła złocistszymi, a najdalej, pod niskim słońcem przemienionymi w świetlistą plamę malarską. Lecz wielostopniowy spad dachów, niosących się w dół, ku jezioru, pokrył miejsca, które poddawały się jego wzrokowi i tylko falujące z dołu w górę wąskie uliczki utrzymały daną im przed wiekiem miarę, choć zmieniły kamienie i domy.

Dotykam murów, lecz jak dotknąć tamtego, minionego czasu? Może to dlatego, że jestem tu po raz pierwszy, wszystko wydaje mi się tak dawne, bo — obce. Obcość niesie zawsze ze sobą wrażenie czegoś odległego, czegoś, co przyszło z daleka, i spóźniło się wobec swojskiego dziś. Poczucia czasu przeszłego bez nas nie da się ożywić inaczej, niż poprzez miejsca, które tymczasem uległy zmianie, lub ujrzane po raz pierwszy — zdaje się jakby czekały w nieruchomej oddali równającej się przeszłości, do której pielgrzymujemy, którą pragniemy odczuć i uczcić.

Lecz rozmiar tego miejsca niesie się daleko poza skupienie domów, poza miasto, poza oczerwienione bukami wzgórza i spadziste jary. Obejmuje je swoboda rozległego roztocza wód i wzburza groźny poryw gór spiętrzających ogromny horyzont. Nie widać czarnych opok, które stoją w wierszu poety, nie biegną czarne obłoki i nie ryczy grom. Tylko woda wielka, a czysta i przejrzysta jak łza, migoce odbitym słońcem.

Julian Przyboś

*) Tak np. w jednej z etiud Chopina wydawca londyński opuścił kasowniki i na tej podstawie ktoś pisał, że są to już prekursorskie „hardiesses de Debussy"

DR. J. P. ZAJĄCZKOWSKI

Arka Noego

Szanowny Panie Redaktorze!

Od czasu, kiedy redakcja „Odrodzenia" wydrukowała mój list w sprawie nagrody literackiej, wciąż o mnie mowa w rozmaitych pismach. Pisał o mnie Kisiel i Żółkiewski, Iwaszkiewicz i Ważyk, Wat i Przyboś, a pewien redaktor groził mi nawet prywatnie, że mnie zaatakuje w swym piśmie, żeby mnie sprowokować do napisania mu artykułu. Może Pan sobie wyobrazić, jak mnie ta sława podniosła wśród wszystkich mieszkańców naszego miasta; mogę bez przesady powiedzieć, że pod wpływem wszystkich tych wzmianek zaczynam naprawdę wierzyć w swoje własne istnienie. Czy pamięta Pan taką nowelę France'a „Ogrodnik Putois"? Jest to opowieść o tym, jak to wymyślono kiedyś osobę nieistniejącego ogrodnika, by się wykręcić od nudnej wizyty — i jak potem osoba ta stawała się coraz bardziej niezbędna w najrozmaitszych sytuacjach życiowych, jej charakter wzbogacał się o coraz to nowe wady i ułomności, by wreszcie zmaterializować się całkowicie jako sprawca zajścia w ciążę pewnej cnotliwej kucharki. Otóż mam wyraźne poczucie, że jestem czymś w rodzaju ogrodnika Putois; w „Nowinach Literackich" znalazł się nawet mój sąsiad, aptekarz z Grójca, i tylko patrzeć, jak moja materializacja dokona się ostatecznie w jakiejś skardze do prokuratora. Bo moje podobieństwo do ogrodnika Putois polega i na tym, że w miarę upływu czasu przybywa mi coraz więcej cech ujemnych i zbrodniczych; obawiam się, czy już dziś nie straszą mną dzieci w nieborowskiej szkółce? Chciałbym więc od czasu do czasu wtrącić się do mojej własnej biografii, i dlatego jeszcze raz chcę prosić Pana Redaktora o gościnę.

Ostatnio na przykład zarzucił mi Wat, że gdybym był Noem, z pewnością nie zabrałbym go do arki; ale mnie się wydaje, że właśnie jego artykuł to miała być taka arka, w której Wat chce przenieść przez potop w stanie nieuszkodzonym wszystkie żyrafy i zebry literatury. A ja wcale mu nie chcę przeszkadzać, tylko pamiętam z historii naturalnej, że kiedyś istniały nie tylko zebry i kangury, lecz także mamuty i ichtiosaury. Nie wiem, czy słusznie nazywają je zwierzętami przedpotopowymi; nie nie wierzę, by wyginęły tylko dlatego, że ich Noe nie chciał zabrać do arki.

Proszę tylko, żeby znowu nie było nieporozumień: nie chcę nikogo straszyć potopem. Mimo pozorów, stwarzanych przez tych, którzy mnie modelują na swój sposób, nie jestem strasznym dziaduniem, czyhającym na cnotę literatury, i nie chcę walczyć z Dobraczyńskim przy pomocy ORMO. Chcę tylko powiedzieć po prostu, że i dobre serce Noego na nic by się nie zdało, gdyby załadował do arki stworzenia, nieprzystosowane do życia po potopie; a potopy odbywają się nie na moje zamówienie.

Muszę zresztą powiedzieć Panu, Panie Redaktorze, że nasi publicyści literaccy przeważnie piszący wzajemnie dla siebie, zbyt rzadko zastanawiają się nad tym, jakie to wszystko wywiera wrażenie na nas, szarych i niepozornych mieszkańcach Grójca. Bo i my tu przecież czytujemy pisma literackie, i może właśnie dlatego, że nie smażymy się wraz z całym światem literackim na jednej patelni, czujemy niekiedy ostrzej smak sosów, w których się ten bigos pitrasi. Otóż nam tu na uboczu wydaje się często, że wasze dyskusje literackie mają przebieg bardzo podobny do nagłych i krótkotrwałych epidemii. Najpierw panuje błoga cisza, z powszechnym wzajemnym świadczeniem sobie uprzejmości. W pewnej chwili ktoś gdzieś wybucha z artykułem „zasadniczym", ktoś drugi występuje z odpowiedzią, wtrąca się paru innych, następuje ogólna „draka", w której wszyscy przestają się wzajemnie rozumieć, po czym epidemia wygasa równie szybko, jak wybuchła — by po pewnym czasie wszystko rozpoczęło się na nowo. Nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby każdy następny atak spadał na organizmy już nieco uodpornione; ale rzecz w tym właśnie, że za każdym razem zaczyna się wszystko od początku, jak gdyby jeszcze nigdy nikt nic w tej sprawie nie powiedział. Powracają te same argumenty, te same repliki, te same nieporozumienia — to nie dyskusja literacka, to po prostu grypa.

Bo jak to na przykład jest z tym „Antyzoilem" Wata? Przeczytałem uważnie oba jego artykuły, a ponieważ szczęśliwym trafem znam kilka języków obcych i niektóre starożytne, nie miałem tych trudności co mój ziomek z „Życia Warszawy" i prawie wszystko zrozumiałem. I muszę powiedzieć, że te artykuły przypominają mi figle fotograficzne, jakie czasem znaleźć można w gazetach: fotografuje się jakiś przedmiot do góry nogami, przez szkło powiększające albo w skrzyżowaniu świateł, by nikt nie mógł poznać, czy to dno oka, czy powierzchnia Marsa — a to jest tylko kawałek skóry ze starej cholewki. Sztuka pisarska podobno według niektórych polega na tym, by mówić rzeczy stare w sposób możliwie niepostrzeżony. Zasadniczy wywód Wata sprowadza się do tego, że ponieważ na „Granicę" Nałkowskiej nie ma recepty, a na Mostowicza jest, więc należy planować Mostowiczów, a Nałkowskie zostawić w spokoju, bo przecież — **spiritus flat ubi vult...** Gdzie ja to już słyszałem? Miły Boże, i dla takiej nowalii tyle erudycji...

Nawiasem mówiąc, z tą receptą też nie wszystko jest w porządku. Mostowicz miał tak samo swoją własną, indywidualną receptę, jak ją ma Nałkowska; wartości samej recepty to nie zmienia, że jedna jest na serce, druga na odciski. Zresztą w literaturze recepty istotnie wynalazcze znajdują zawsze więcej naśladowców niż użytkowe: nikt w Polsce nie potrafi pisać pod Żarzycką, a ilu pisało pod Marinettiego?

Inna cecha naszego życia literackiego, jak nam się tu z ubocza widzi, jest bardziej skomplikowana. Powiem od razu wszystko, co myślę: Wy sobie w „Kuźnicy" czy „Odrodzeniu" gwarzycie o literaturze, ale właściwie nie wszyscy odróżniają literacką dyskusję od literackiej polityki — a korzystają z tego skwapliwie wszystkie mutacje „Rycerza Niepokalanej". Wydawało się dawniej, że to lewica chce upolitycznić literaturę, a prawica chce ją trzymać z dala od polityki (tak się to nazywało); tymczasem, kiedy wy prowadzicie teoretyczne dyskusje na temat upolitycznienia literatury — oni to wcale intensywnie robią w praktyce: proszę porównać, jak często, ile i jak się u nich pisze o „swoich" pisarzach, a całą resztę załatwia jeden Kisiel. Zapewne, niewielka to polityka i niedaleko na niej ujedzie; ale czy polityką nie jest i to, że ilekroć na lewicy rozpoczyna się dyskusja o zagadnieniach literackich, z tamtej strony rozlega się zgodne bicie na alarm? Nie dziwię się, że takie alarmy płyną z ambony „Tygodnika Powszechnego"; ale niepokoi mnie, kiedy słucha ich „Kuźnica". Bo jeśli dziś zamówieniem społecznym straszy się literatów, jak dzieci kominiarzem — dzieje się **tak w** pewnej mierze wskutek tego właśnie pomieszania pojęć, wskutek zaniechania polityki literackiej na rzecz dyskusji. Inna sprawa, że przyczynia się do tego niekiedy i nadmierna gotowość gorliwców. Aragon powiedział kiedyś, że najgroźniejsi nie są wrogowie komunizmu, którzy twierdzą, że bolszewicy zjadają małe dzieci; znacznie bardziej groźni są przyjaciele, którzy zapewniają, że bolszewicy wprawdzie zjadają rzeczywiście małe dzieci, ale to jest konieczne dla szczęścia proletariatu. Dla literatury nie mniej niebezpieczni są ci, którzy chcieliby zamawiać realizm socjalistyczny, niczym befsztyk w restauracji, od tych, którzy w każdej dyskusji literackiej węszą intrygę i spisek.

A może warto by przypomnieć, że zamówienie społeczne — skoro już o nim mowa — wcale nie służy do tego, by cokolwiek u kogokolwiek zamawiać, że to nie jest żadna czynność z dziedziny polityki literackiej, tylko po prostu fakt z dziedziny praw rządzących rozwojem kultury?

Wat przywołuje na pomoc całą encyklopedię po to, by nas przekonać, że nie należy wątłych kwiatków wyjmować z cieplarni, bo zwiędną — a one właśnie są ozdobą życia. Ale bez względu na to, czyjemu życiu służą za ozdobę — któż to chce je wyjmować z cieplarni? Rozmaitość flory i fauny literackiej — jeśli już mamy pozostać w kręgu porównań przyrodniczych — sama przez się nikogo nie może oburzać. Nie mam żadnej pretensji do Malraux, że jest wyrazicielem faszystowskiej ideologii: dopóki wśród pewnej części francuskiego drobnomieszczaństwa długonosy profil długonogiego generała budzi jeszcze dreszcz przeczuwanego szczęścia, muszą istnieć i trubadurzy tego szczęścia — i to się właśnie nazywa zamówieniem społecznym. Skoro już tyle rzeczy w naszej publicystyce się powtarza, warto może i to powtórzyć: literatura była, jest i będzie odbiciem tych prądów ideologicznych, jakie nurtują dane środowisko. Prądy, nawet w obrębie jednego środowiska, bywają rozmaite — więc i w literaturze jednego środowiska, jednej klasy czy grupy społecznej występować mogą rozmaite ideologie, cóż dopiero w społeczeństwie zróżnicowanym klasowo, jak nasze, i pogmatwanym ideologicznie, jak wszystkie społeczeństwa powojennego świata. Nikt dowiedzie, że zamierza jednak przesadzać kwiatków cieplarnianych między ziemniaki, bo dalibóg nic by mu z tego nie przyszło; tyle tylko, że wielu kwiatkom nawet w cieplarni żaden Noe nie pomoże, ale to już nie będzie wina krytyki literackiej tylko potopu.

Najzabawniejsze jest, że obrońcy cieplarnianej literatury potrafili wmówić nawet niektórym pisarzom postępowym, że zamówienie społeczne polega na pisaniu według recepty. Tymczasem ci pisarze, którzy starając się dogonić współczesność, piszą powieści o osiągnięciach naszej służby komunikacyjnej na podstawie rozkładu jazdy P. K. P., wpadają w pułapkę wcale nie na nich nastawioną. Bo przecież ci, co powiadają: Planujcie sobie literaturę „użytkową", ale warawam od „prawdziwej" — tylko dla pozoru biorą w obronę pisarza przed wymuszaniem na nim zmiany światopoglądu. To oni właśnie podsuwają naszej krytyce literackiej postulat pisania pod strychulec, by dowodząc absurdalności strychulca, zaatakować same podstawy krytyki. Krytyka socjologiczna ustala rodowód pisarza, bynajmniej zaś nie usiłuje podsunąć mu fałszywej bańki, tymczasem, ilekroć o kimś się powie, że jego ideologia zatrąca przedwojenną myszką, zaraz słyszy się w odpowiedzi: Nie gwałcić literatury! on nie może inaczej! Ależ ja wiem doskonale, że on nie może inaczej; Marshall też nie może inaczej, a mimo to mi się nie podoba.

Już widzę roziskrzone oczy czcicieli kwiatka i żyrafy, więc skoro literatura musi być taka, jaka jest — cóż są warte wasze dyskusje i projekty? Istotnie, dyskusje literackie nie decydują o drogach literatury; mogą rozjaśnić w głowie temu lub owemu literatowi (czytelnikowi już rzadziej), ale nie one literaturę kształtują. Kształtuje ją środowisko, a pomaga mu w tym polityka literacka. Polityka literacka: więc upowszechnienie czytelnictwa, które wprowadzi w krąg oddziaływania literatury nowe środowiska; plan wydawniczy, który temu upowszechnieniu nada ideologiczny kierunek; krytyka literacka, która temu planowi posłuży za drogowskaz; kształcenie młodych pisarzy z nowych środowisk społecznych; wiązanie starszych ze środowiskami, od których dotychczas byli odlegli — i zapewne wiele jeszcze innych rzeczy. I wówczas stanie się tak, że niektóre kwiatki same wyjrzą na dwór z cieplarni, a niektóre w cieplarni powiędną. Nie stanie się to jednego dnia; nie trzeba sobie wyobrażać, że w jakiejś chwili zajedzie do nas arka, by jedne okazy zabrać, a inne wyrzucić za burtę. Arka odjeżdża ciągle, i nie pilnuje jej żaden Noe.

J. P. Zajączkowski

JULIAN KRZYŻANOWSKI

POKOLENIE ZAGUBIONE W WOLNOŚCI

Gdy w przededniu wypadków listopadowych Maurycy Mochnacki poszukiwał odpowiedzi na pytanie, czym jest literatura, wikłając się w trudnościach terminologicznych dochodził do formuły, że jest ona „uznaniem się narodu w swoim jestestwie", czy — jak to prawił inaczej — „sumieniem narodu". W przekładzie na język dzisiejszy, znaczyłoby to po prostu: świadomość istnienia, lub świadomość życia zbiorowego. Formułkę „respublik jedynaka-syna" warto przypomnieć w czasach mody na roztrząsania zjawisk literackich ze stanowiska socjologicznego. Mochnacki bowiem był myślicielem spraw, które później poczęto określać mianem socjologicznym, głęboko wrażliwym, chwytał je intuicyjnie i usiłował zamykać w zwartych choć nie zawsze szczęśliwych sformułowaniach. Do nich właśnie należy przytoczone określenie literatury, ujmujące niezwykle trafnie jej funkcję społeczną, mozolnie dzisiaj ustalaną w pojedynczych wypadkach przy pomocy pojęć bardzo może precyzyjnych, ale stosowanych do materiału nieopanowanego i wskutek tego nie dającego się precyzyjnie ujmować w ramy takiego czy innego systemu.

Trafność zaś formuły Mochnackiego występuje w całej pełni wówczas, gdy się pamięta, że dzieła literackie są zawsze próbami jednostkowego i zbiorowego orientowania się w zjawiskach życia zbiorowego, leżącymi między doraźnym, uczuciowym i subiektywnym chwytaniem ich na gorąco przez publicystykę a obiektywnym, zracjonalizowanym ujmowaniem ich przez poznanie krytyczne, naukowe. Pisarz wybitny (a nawet nieraz pisarz średni, niezdolny do widzenia tego, co go otacza, sub specie aeterni) dostrzega w życiu zbiorowym co najmniej tyle, ile widzi w nim publicysta, wskutek tego jednak, iż stawia sobie inne zadania i mniej jest skrępowany aktualnymi nakazami chwili, ma wszelkie dane, by stworzyć, i zazwyczaj też tworzy, wizję pełniejszą i wnikliwszą. Równocześnie zaś toruje w ten sposób drogę do opartego na dokładnym, a wskutek tego wymagającym większego czasu i wysiłku poznaniu ujmowania danego wycinka rzeczywistości przez człowieka nauki. Uwagi te brzmią nieco paradoksalnie, mogą wywierać wrażenie próby sztucznego wiązania w jednolitą całość odległych od siebie dziedzin pracy pisarskiej, a jednak są one najzupełniej oczywiste. By ograniczyć się do kilku tylko przykładów, powieści Krasickiego i jego rówieśników dzisiaj jeszcze zastępują nam nieistniejącą serię książek historycznych czy socjologicznych o życiu społecznym epoki stanisławowskiej, z powieści zaś Kraszewskiego długo jeszcze będziemy czerpać wiedzę o zawiłych stosunkach między pałacem, dworem, chatą i karczmą na wsi polskiej w pierwszej połowie w. XVI, nie prędko bowiem doczekamy się oświetlenia tych zagadnień piórem zawodowego historyka życia społecznego tej epoki. Tak było niegdyś, tak jest i dzisiaj. Koszmarna sprawa rozładowywania podziemia konspiracyjnego, powstałego czasu okupacji i bezpośrednio po niej, dzisiaj ukazuje swe posępne oblicze fragmentarycznie, w rozprawach sądowych i towarzyszących im wystąpieniach publicystycznych. Kiedyś niewątpliwie doczeka się ona swego beznamiętnego badacza naukowego, który przedstawi jej zawiłe szlaki i wyjaśni jej nieuniknione przyczyny. Dzisiaj zapowiedzią tego stadium jest wspaniała książka Andrzejewskiego, ukazująca rzecz całą w pewnym skrócie syntetycznym, historycznym i socjologicznym, uświadamiająca czytelnikowi pewne znamienne właściwości czasów powojennych w sposób, na który publicystyka zdobyć się nie może, mimo iż sama sprawa należy może do najistotniejszych zagadnień chwili bieżącej i domaga się, byśmy sobie jej tragiczną doniosłość uświadomili.

Zasadniczym problemem „Popiołu i diamentu" jest, w moim rozumieniu, potworny tragizm pokolenia, które po bohaterskim, kosztownym, krótkotrwałym zrywie powstańczym skazane zostało na to, co publicysta określa jako bandytyzm polityczny. Zwyrodnienie najszlachetniejszych poczynań, nieuniknione następstwo klęski szlachetnego ruchu! Problem, dostrzeżony kiedyś okiem urodzonego powieściopisarza - socjologa Prusa, który na kartach „Dzieci" kreślił przed laty jego fatalne perypetie.. O ile wiem, żaden socjolog nie sformułował dotąd odpowiedniego prawa, wyjaśniającego powstawanie Janosików, kończących zazwyczaj swe bujne przygody na placu stracenia a nagradzanych za tragizm swej sytuacji glorią legendy.

Ani jednak stanowisko prokuratora, domagającego się uzasadnionej paragrafami takiego czy innego kodeksu kary na jednostki, wykolejone przez sam gwałtowny bieg historii z torów normalnego życia, ani legenda, podchwytywana przez poetów i pasująca straceńców na bohaterów spraw przegranych, nie ukazują w całej pełni tragizmu pokoleń, z których straceńcy ci wychodzą. Tragizm ten polega na dysproporcji między szczytnością nieudałych zamierzeń, a ich żałosnym bankructwem, między początkową wielkością porywów a marnością tego, co staje się ich ostatecznym wynikiem i co właśnie koliduje z zasadami kodeksów karnych. Niezwykłość powieści Andrzejewskiego polega na tym, że pisarz nie cofnął się przed takim tematem, że się go nie uląkł, że ujął go w sposób głęboko ludzki i prawdziwie tragiczny.

Zrozumiałe jednak, bo naturalne trudności, tkwiące w samym temacie sprawiły, iż powieść nie mogła ukazać wszystkich stadiów rozwojowych tragicznego pokolenia, że w dramatycznym skrócie skupiła uwagę na tym, co pisarzowi było dla osiągnięcia zamierzonego efektu potrzebne. I że wyjście z tragicznej sytuacji, w której życie postawiło bohaterów Starówki, ukazała jako jedyne. Ktoś inny, kto nie uląkłby się posądzenia o „tani optymizm", znalazłby może rozwiązanie bardziej pogodne. O możliwości takiej alternatywy świadczą dane, które mam w ręku, a które — jak się okaże — odznaczają się również niepospolitym artyzmem. Dostarcza ich dziedzina pisarstwa do życia bardziej zbliżona, związana z nim więcej bezpośrednio od powieści, mianowicie liryka.

✣

Nim jednak nimi się zajmę, chciałbym wspomnieć o drobiazgu anonimowym, przejmująco odtwarzającym sytuację bezwyjściową, w której znalazło się młode pokolenie, gwałtownie zahamowane w żywiołowym pędzie, mającym jako jeden ze swych etapów dywersję przeciwniemiecką i jej finał szczytowy, powstanie warszawskie. Oto ów dokument!

POKOLENIE

Kiedyś w otwarte drzwi historii
Pchaliśmy gwałtem palec.
Przytrzaśnięty — nawet już nie boli.
Cóż? — chuchamy nań rozsądkiem [stale.

Ściemniała smuga blizny
(Kiedyś—skok z pociągu pod nasyp)
My przeżyliśmy...
(Dziś pociągiem jedziemy na wczasy)
Na bliznę spojrzeć, trzeba by przy- [pomnieć.

My przeżyliśmy...

Chodzimy żywi ulicami,
Wznosimy domy, mosty nowe,
Młodzi jeszcze, podobno ci sami.
Cóż? — chodzimy przecie ulicami
Żywi...

Nie wierzcie nam! Kiedyś — na [pewno
My szliśmy ulicami,
Aby wysadzać mosty.
Aby wysadzać mosty.
Tymi samymi ulicami.

Dzisiaj się tylko przesuwamy...
Wznosimy mosty nowe —
I rozpiąć mostu nad brzegami
Własnego życia nie umiemy.

Schowaliśmy się w dziś i słowo [„trzeba"
Jak w bezpieczne ukrycie.
Ale pytamy wciąż w zachody [patrząc nieba:
Czy oto życie mija nas,
Czy my mijamy życie?

✣

Cały tragizm pokolenia, dochodzący do głosu w wierszu przytoczonym, etap za etapem śledzić można w niedrukowanym dotąd zbiorku „Laurowo i ciemno" Stanisława Ostrowskiego, który czasu okupacji debiutował odbitym na powielaczu zeszytem liryk, włączonych do zbiorku obecnego jako część jego wstępna. W przeciwieństwie do kolegów i przyjaciół, którzy legli w gruzach walczącej Warszawy, Ostrowski ocalał, przeszedł przez obóz jeniecki i powrócił do Polski. Cykle „Pejzaż utracony" i „Powrót do Warszawy" stały się automatycznie dalszymi ogniwami łańcucha wspomnień lirycznych, odtwarzających najgłębsze doznania pokolenia, któremu losy kazały przeżywać bez patosu i na codzień kataklizm dziejowy lat 1939—1945. Stąd płynie dokumentarna wartość pamiętnika lirycznego, do którego autor dorzucił cykl jeden jeszcze, noszący tytuł „Spotkania". Wspomnieć go tu należy, jako że stanowi on metryczkę literacką zbioru, wprowadza wielkie cienie, patronujące młodemu lirykowi, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida i Wyspiańskiego. Trzeba by dodać do nich jeszcze jedno nazwisko. Wł. Broniewskiego, którego pogłosami „Laurowo i ciemno" kilkakroć podzwania, by mieć wyobrażenie o rodzaju kultury literackiej, którą Ostrowski wykazuje i do której tradycji niewątpliwie świadomie pragnie nawiązać, choćby za pośrednictwem cytatów zręcznie wplecionych w utwory własne.

Przeżycia liryczne młodego poety wykazują daleko większy odsetek spraw ogólnych aniżeli osobistych. Nad bardzo dyskretnie ujętymi motywami miłości do matki i do dziewczyny, poległej pod zwałami wysadzonych murów, góruje to, czym żyło i za co ginęło pokolenie ludzi sierpniowych, upamiętnione w poezjach K. Baczyńskiego i T. Gaycego. Poczucie dotkliwie obrażonej dumy narodowej! Poczucie poniżenia i to nie wobec wroga. Ostrowski bowiem, podobnie jak dwaj tylko co wspomniani lirycy, ma dla niego tylko pogardę milczenia: „Ożyły dawne widma — otwartą powieką Straszą sumienie świata i żebrzą litości Boga na niebie modlitwą daremną — Murzyni obcych ludów, mrący dla wolności" Stare to dzieje odżywają w losach „Sikorskiego", gdy „Obcym sztabom się kłania, tłumaczy, tłumaczy — przełyka cierpkie zdania". Poczucie wstydu wobec frazesów, którymi kraj utęskniony darzyli poeci-emigranci. Liryk, który nigdy „nie rzuca pytań patetycznie łzawych", podziwiający „heroizm w ludziach prostych — których zwą: sól ziemi", mający „dość mitów o ojczyźnie", odczuwa i odtwarza w sposób niezwykle zwięzły a zarazem plastyczny całą tragedię Warszawy okupowanej, dając w wierszach jak „Najgorsze są noce" lub „1939—1944" przejmujące grozą obrazki ówczesnej codzienności, znaczonej łapankami, aresztowaniami i rozstrzeliwaniami ulicznymi, tej Warszawy, której symbolem niemal staje się „krepa na palcie z koca", a której życie ujmuje zwięzła formuła: „Codziennie życie z śmiercią krzyżują się jak ostrza".

Zgodnie z taką postawą pisarza, w zbiorku jego nie znajdziemy wierszy o powstaniu, a raczej pisanych czasu powstania. Wystąpi ono jednak ukazane w pryzmacie przebolesnych wspomnień, oblegających jeńca wojennego, gdy wypadnie mu raz jeszcze przeżyć niedawne dni krwi i chwały, wspomnień, spotęgowanych tęsknotą za Polską, Mazowszem i Warszawą. Te przejścia wewnętrzne oraz niezłomna wierność krajowi i stolicy, znajdująca wspaniały wyraz w „Pokusie" i „W liście z kraju do przyjaciela za granicą" potęgują akcenty nowe, dziwnie ostre i bolesne. One są właśnie wyrazem tragedii pokolenia, zahamowanego w swym najwyższym locie życiowym. Powrót do kraju, gdy „szyny wiodą pod dom spalony", dławiący zachwyt nad „Stolicą", podziw dla „dziś bez krat", a równocześnie poczucie rozpaczliwej pustki, stwierdzenie, że tego wszystkiego, czego się pragnęło, o co się walczyło i ginęło, nie ma się wokół siebie. „Kto mi wróci prostą wiarę młodości, Zgubioną w sierpniu na barykadach?", „Smutnym uśmiechem wolność witam — Wolność i moich lat trzydzieści" — „Defiladą głupoty i męstwa odchodzi młodość zwycięska — do widzenia, do widzenia Nike", bluźnierca modlitwa wreszcie „Oddaj mi tamte dłonie chłopięce, Czystość i zwykłe do szczęścia prawo" — oto motywy podstawowe katastrofalnego poczucia klęski na progu nowego życia, klęski, której formułą najwymowniejszą staje się zdanie: Najtragiczniej poetom Zagubionym w wolności.

Wymowę tych wyznań potęguje ich kontekst, silna ale po męsku opanowana uczuciowość, norwidowska niechęć do łatwego patosu, do taniej wylewności. Dzięki tej postawie Ostrowski usiłuje przezwyciężyć tragizm swego pokolenia, odnaleźć swe zagubione miejsce w wolnym życiu. Wierny samemu sobie, wróg załgiwania się pozbawionym pokrycia frazesem patriotycznym, domagający się niegdyś, by Polska stała się znowu „pospolitą rzeczą... chlebem powszednim dla zjadaczy chleba", dostrzega przed sobą wielkie zadania życia zbiorowego:

Każdy wybiera swoją drogę...
Moją jest część trudniejsza męstwa:
Budując deptać spokój mogił,
Precz odrzuciwszy nimb męczeństwa.

— — — — — — — — — — —

Odłogów ugór, zgliszcz ulice
Do życia zbudzi żal — czy praca!
Przez Atlantyki i granice
Nakaz honoru rzucam: wracaj!

A gdzie indziej.

O ręce człowieka
Wołają zburzone miasta!
O silne ręce człowieka
Ziemia znad Odry i Nysy —
Odwieczna ziemia Piastów —
Woła!
Słyszysz....

Wezwania te organicznie wyrastają z postawy poety, nie są wyrazem ulegania modnym czy choćby tylko aktualnym nakazom chwili. Nie mają charakteru płatnej propagandy. Rzucone przez przedstawiciela tragicznego pokolenia ludzi wykolejonych przez bieg dziejów wskazują, iż jego jednostki znajdują drogę właściwą, ale równocześnie przez ścisły swój związek z poprzedzającymi je przeżyciami tragicznymi jeszcze silniej uwydatniają doniosłość tych przeżyć, wskazują konieczność opanowania tkwiącej w nich czy pod nimi energii, budzą wątpliwości, czy podejmuje się w tym kierunku odpowiednie wysiłki, a jeszcze bardziej, czy kroki podejmowane są istotnie celowe.

Oto są pytania, które narzuca niepospolity zbiorek liryk Stanisława Ostrowskiego, a o których głucho w naszej prasie. Wagę ich uświadamia dopiero poezja!

Julian Krzyżanowski

IRENA GEFON

Balzak zabiega o reklamę

Twórczość Honoriusza Balzaka stała się, jak wiadomo, przedmiotem niezmiernie bogatej literatury krytycznej. W plejadzie balzakistów znaleźli się namiętni badacze, którzy poświęcili lata na studiowanie życiorysów i genealogii wszystkich bohaterów Balzaka i stworzyli oryginalny słownik biograficzny Entuzjasta Balzaka Marcel Bouteron, nazwany przez Boya Żeleńskiego „papieżem balzakistów", z iście balzakowską pasją wyśledził niemal każdy dzień życia swego mistrza. Niezliczeni pisarze, krytycy literaccy dziennikarze, przeorali puściznę literacką Balzaka; literatura krytyczna o Balzaku rozmiarami dorównuje zapewne literaturze o Szekspirze i Molierze.

Gdy jednak usiłujemy odtworzyć historię krytyki twórczości Balzaka i sięgamy do prasy francuskiej pierwszej połowy XIX wieku, uderza nas, jak mało pisano o tym najpłodniejszym z pisarzy. Poczytne pisma „Revue des deux Mondes" i „Revue de Paris" zamieściły obszerne artykuły o Balzaku dopiero po jego śmierci, gdy Wiktor Hugo wygłosił nad jego grobem piękne przemówienie. Za życia Balzaka spotykamy się z jego nazwiskiem głównie w tak zwanych „petits journaux" i to raczej w sensacyjnych wzmiankach o jego słynnej lasce i równie słynnym szlafroku niż w dłuższych artykułach krytycznych.

Jak na milczenie, lekceważenie i niechęć prasy reagował autor „Komedii ludzkiej"? Odpowiedź na to pytanie jest ciekawym przyczynkiem do badań nad psychiką pisarza.

✣

Teofil Gautier pisał o Honoriuszu Balzaku: „Nie dbał wcale o reputację, nie przykładał ręki do zdobycia popularności i nigdy nie schlebiał dziennikarzom". Nawet złośliwy Sainte - Beuve, który całe życie prześladował Balzaka jako swoją „ulubioną zwierzynę", pisze o jego niezależności w stosunku do prasy i opinii publicznej.

Najgoręcej jednak przekonywał o tym czytelników i przyjaciół sam autor „Komedii ludzkiej". W przedmowie do jednej ze swoich pierwszych powieści „Les Chouans" zapewniał, że człowieka, który wziął na siebie takie jak on zadanie, nie obchodzą krzyki i gadanina. Nie dba on o opinię, „jak nie dba o piasek, który czepia się jego stóp", — pisze do siostry swej Laury w r. 1830 „Gdy ktoś buduje gmach, drwi sobie z tego, co zuchwalcy wypisują na płotach" — oświadcza gdzie indziej. W roku 1838 zapewnia panią Hańską, że „jest mu równie obojętna pochwała jak i nagana ludzi, którzy nie są wybrańcami jego serca, najmniej zaś interesuje go opinia dziennikarzy i tak zwanej publiczności".

Nie zdziwią nas te szumne oświadczenia Balzaka o pogardzie dla dziennikarzy, gdy przypomnimy sobie jego Lousteau, Blondeta, Claude Vignona i innych pismaków z „Komedii ludzkiej", gdy przyjrzymy się sprzedajnemu, ambitnemu, złośliwemu światkowi prasy, genialnie odmalowanemu przez autora „Straconych złudzeń" i „Muzy z zaścianka".

Jeżeli Balzak z właściwą mu pasją wyszydza zawodowe przywary współczesnych kronikarzy, „handlarzy trucizną", jak ich nazywa, to nie pomija jednak żadnej okazji, by podkreślić, jak wielka jest potęga prasy. W swej „Monografii prasy paryskiej", mówiąc o znaczeniu rekiamy dla spopularyzowania książki, cytuje dla przykładu jedną z książek Chateaubrianda; cały jej nakład, który leżał na półkach księgarskich „w stanie spoczynku"; został wyprzedany w ciągu jednego tygodnia, gdy w „Journal des Débats" ukazał się odpowiednio spreparowany artykuł pewnego młodego człowieka

I tu nasuwa się pytanie: czy nie przemawia przez Balzaka gorycz autora, który brak należnej mu popularności przypisuje właśnie niedostatecznej reklamie w prasie i niefortunnym krytykom?

Przewertujmy korespondencję Balzaka. W liście do matki, która pod nieobecność syna miała konferować z redaktorem „Revue des deux Mondes", Bulozem, Balzak nalega by Bulcz „zobowiązał się, że w swoim piśmie nie zamieści niczego, co mogłoby być dla niego niekorzystne". Musi on również zagwarantować „piękny artykuł o IV tomie „Contes philosophiques".

W innym liście Balzak poleca matce, by zażądała od Pichota, redaktora „Revue de Paris", własnoręcznego listu z zapewnieniem, że jak długo będzie kierował pismem, nie zamieści w nim nic nieprzyjemnego o Balzaku.

Małżeństwo Balzaka **(Karykatura współczesna)**

W roku 1831 Balzak zapewnia swego wydawcę Gosselina, że dobrze przygotował powodzenie „Jaszczura", przy czym czytanie fragmentów powieści w salonie pani de Recamier jest zapewne tylko jedną stroną tego „przygotowania", którego nie mniej ważnym momentem było odpowiednie urobienie prasy. Znajdujemy jeszcze list pisany w r. 1832 do redaktora „Avenir", Montalamberta, gdzie autor „Kobiety trzydziestoletniej" wyraża nadzieje, że pismo nie pominie milczeniem jego książki.

Nie ograniczał się Balzak do inspirowania pochlebnych artykułów w prasie, do starań, by mu redaktorzy pism — że się tak wyrazimy — gwarantowali nietykalność. Potrafił w mistrzowski sposób dobierać przedmowy do kolejnych powieści i ich kolejnych wydań, przedmowy, w których usłużni przyjaciele nie skąpili mu pochwał, najdroższych jego sercu, podnosząc jego zasługi jako moralisty i filozofa, spadkobiercy Rabelais'ego i Sterna. I trudno się nie uśmiechnąć, gdy się czyta, z jakim zapałem poleca Balzak pięknej markizie de Castries przeczytanie przedmowy swego przyjaciela Philareta Chasles do „Contes Philosophiques", w której uważny czytelnik znajdzie bez trudu wyrażenia właściwe tylko autorowi „Komedii ludzkiej". Tak samo w niektórych ustępach Feliksa Davin do „Etudes de moeurs au XIX siècle" (pierwotna nazwa Komedii Ludzkiej) łatwo rozpoznać pióro Balzaka.

Jakże daleko odbiegliśmy od gautierowskiego Balzaka, który „nie przykłada ręki do zdobycia popularności"! Ale to nie wszystko. Przyglądając się bliżej bogatej kolekcji rękopisów Balzaka w paryskiej Bibliotece Narodowej i słynnej bibliotece Lovenjoul w Chantilly, znajdujemy — pisane niewątpliwie pismem Balzaka z charakterystycznymi poprawkami i przekreśleniami, gdzieniegdzie z plamą czarnej kawy, którą się zapijał po nocach — całe artykuły „Balzaka o Balzaku" i to jakie! Pod pseudonimem Alexandre de B., Balzak przedstawia swego „Jaszczura" czytelnikom pisma „Caricature". Cały artykuł to tylko długie wyliczenie zalet tej książki: ma ona „głęboki sens moralny i filozoficzny", życie jest w niej przedstawione tak „jak je rozumieją kobiety kochające i nie kochające", zaś styl uznany jest za „olśniewający" (jak wiadomo właśnie styl Balzaka wywoływał zawsze najwięcej zastrzeżeń). Najzabawniejsze jest jednak zakończenie: „Polecamy to dzieło miłośnikom literatury — kończy autor artykułu, no i powieści — ponieważ nasza przyjaźń dla pana de Balzac równa jest naszemu podziwowi. Jeżeli przyznanie się do tej przyjaźni jest niezręczne to jest ono przynajmniej szczere, co jest rzadkością w dziennikarstwie" Podobny chwyt przy drugim wydaniu „Jaszczura". W artykule, tym razem anonimowym, autor — Balzak — rozpływając się nad wyczerpaniem pierwszego nakładu powieści konstatuje, że „taki sukces mieści w sobie wszystkie pochwały, jakich nie ośmieliliśmy się udzielić powieści przyjaciela". Podziwiajmy skrupuły tej przyjaźni!

W związku z fragmentami „Jaszczura", opublikowanymi z początku anonimowo, Balzak pisał w artykule, który znaleźliśmy tylko w rękopisie: „Pikantna oryginalność zdradzała tę prawdziwą skromność talentu, który się ukrywa". Gdy mu to było wygodne (w przedmowie do „Les Chouans"), Balzak nie wahał się przed wychwalaniem skromności wręcz innego rodzaju, „polegającej na podpisywaniu swych utworów, gdy tylu ludzi uczyniło z pseudonimu i anonimu spekulację pychy".

Wśród rękopisów Balzaka znajduje się jego artykuł o zbiorku „Contes Bruns", zawierającym nowele Balzaka, Philareta Chasles i Karola Raboux. W artykule tym, umieszczonym później jako anonimowy w piśmie „Caricature", Balzak po wyrazach zachwytu nad całą książką, poświęca szczególną uwagę nowelce „Grand d'Espagne", której był autorem. Nowelka ta „spędzi sen z powiek tym, którzy czytać ją będą w łóżku". Najwyższa widać pochwała w oczach Balzaka, gdyż kilkakrotnie powtarza ją w różnych wariantach. Jego „Księżna de Langeais", jak pisze — „nie pozwala zasnąć kobietom", zaś jego „Contes Philosophiques" — „powodują bezsenność w pałacu bogacza i w mansardzie poety".

A oto zakończenie wspomnianego artykułu o „Contes Bruns": „Czytałem gdzieś, że Bóg stworzył Adama mówiąc: oto jesteś, Człowieku. Można powiedzieć, że Bóg stworzył Balzaka mówiąc: oto jesteś, Pisarzu".

Te dytyramby nie pozostawiają już chyba żadnej wątpliwości. Wbrew własnym zapewnieniom, wbrew opinii wielu krytyków, Honoriusz Balzak, wiecznie zadłużony, goniący za urojonymi milionami, bolejący nad zbyt powolną sprzedażą swych książek, rozczarowany wreszcie nieudałymi próbami wydawania własnych dzienników — nie gardził niczym, by uzyskać upragnioną popularność w znienawidzonej prasie.

✣

Balzak, głęboki i wnikliwy, choć często „mimowolny" krytyk Francji okresu Restauracji i Monarchii lipcowej, był niewątpliwie nieodrodnym synem swego środowiska. Nic też dziwnego, że nie był on wolny od próżności, ambicyjek i „arywizmu" swych ulubionych bohaterów, Rastignaca i Rubempré.

Jeżeli jednak pogoń za popularnością, a może jeszcze w większym stopniu żądza pieniędzy, pchały go do inspirowania i pisania entuzjastycznych artykułów o sobie, to nic nie mogło go powstrzymać od wielokrotnego przerabiania swych utworów wbrew własnym interesom materialnym. Wiadomo, że robotnicy drukarscy bali się jego przerabianych i zakreślanych rękopisów i odrabiali jak pańszczyznę „godzinę Balzaka" dziennie. Wydawcy i redaktorzy pism obarczali go kosztami w związku z niezliczonymi poprawkami, robionymi częstokroć na gotowych odbitkach. Balzak zżymał się i oburzał, ale dalej robił swoje.

„Imperatyw kategoryczny talentu Balzaka", by użyć Boyowskiego określenia — silniejszy był widać niż słabostki i namiętności jego przebogatej natury.

Irena Gefon

Czy jesteś już członkiem Klubu Literackiego „ODRODZENIA"?

ADOLF NOWACZYŃSKI

rysunki MARII HISZPAŃSKIEJ

„Na klubie"

WIOSNA NARODÓW

Amfiteatr Bartłomieja Nowodworskiego, Kawalera Maltańskiego, przy Gimnazjum Świętej Anny w Krakowie.

HRABIA: Rozum tedy stanu, sławetni obywatele, oraz ciężkie sprzed dwóch lat eksperiencje dyktują nam, w danych cyrkumstancjach nie co innego, jak li tylko w ramach konstytucyjnych cierpliwe wytrwanie, danych koncesjów całkowite wyzyskanie! nici, które jeszcze mocne... nierwanie... z procą na Goliata porywów unikanie, mostów jeszcze stojących za sobą niepalenie.

GŁOS Z GALERII: Brandmajstry!

PROFESOR *(głośno)*: Straż pożarna, jeśli łaska!

HRABIA *(poważnie)*: ...czyli ...czyli ...mierzenie sił na zamiary, a nie na opak panowie!

THOMAIN *(nieco przedrzeźniająco)*: Czyli: kompromisslerei...

EKIELSKI: Jak zawsze: „Nej bude jak buwało".

HRABIA *(odważnie)*: Przybywam tedy z Krzysztoforów tym końcem, aby Sławetne Zgromadzenie przekonaniem napoić...

GŁOS Z GALERII *(kpiąco)*: I nakarmić!

HRABIA: ...że stanowisko, jakie zajął Komitet Obywatelski...

GŁOSY: Narodowy do diabła!

HRABIA: Niech będzie Narodowy! jedynie stateczne, przewidujące roztropne i rozumnie jest i będzie...

PAPA LOUIS: Czy „będzie" jeszcze kwestia!

HRABIA *(głośno)*: ...oraz, że rozumu stanu i poczucia praworządności naszej i wiekopomny dowód dajemy i damy *(odważnie)* zapraszając na nasze nadchodzące Święcone, staropolską gościnnością kierowani *(szybko)* cały skład Cesarskiego Gubernium oraz Korpus Oficerski w Krakowie konsystujący!

Huragan protestów się zerwał. W całym amfiteatrze tupią nogami. Podnieśli ręce do góry i machają nimi. Ogólne oburzenie.

PROFESOR: My nie chcemy Święconego z Austriakami.

GIZELA *(równocześnie)*: Ale się hrabia wyrwał!

THOMAIN: Święcone dla Emigracji nie dla Biurokracji!

PAPA LOUIS: Nie przyjdziemy, jak oni przyjdą!

GŁOS Z GALERII: Odebrać mu głos!

MELANIA: Na pohybel Kompromisslerom!

PAPA LOUIS: Nie siądziemy do jednego stołu z mordercami!

MALWINA: Obejdziemy się bez Kriega!

EKIELSKI: Jużeście panowie zapomnieli o rabacji chłopskiej i o rzezi galicyjskiej?

GAUDENTY: To był Metternich!

EKIELSKI *(ostro)*: Austria chłopów do rzezi szlachty podmówiła, czy nie Austria?

PREZES: Metternich, to nie Austria!

PROFESOR: My chcemy być sami ze sobą i kwita!

THOMAIN: To już całkiem „Barani" pomysł!

GŁOSY Z GALERII: Odebrać im głos! Precz z Krzysztoforami. Abcug Barany! Barany Abcug!

HRABIA: Panowie! Obywatele! Na Boga! zreflektujmyż się! Rozważcie, do czego to wiedzie. Gdzie rewolty się zaczynają, to wiemy, ale do czego wiodą, przewidzieć nie jest możliwe nigdy! Przecież dynastię mamy rzymsko-katolicką nad nami. Toć arcyksiążę Ferdynand d'Este z nami jest! Po polsku mówi.

SENATOR, GAUDENTY: Słuchać, słuchać!

HRABIA: Arcyksiążę Johann mnie osobiście zwierzenie czynił, jako że demembrement Polski trzyma za generalny błąd i lapsus swojej ciotki, jak to zresztą i ona sama tak trzymała.

EKIELSKI: Płakała, ale pierwsza kradła!

GAUDENTY *(z pasią)*: Cicho!

HRABIA: Na członków dynastii Lotaryńskiej liczyć możemy jak na Zawiszę.

PROFESOR: A wyjdziemy jak Zabłocki na mydle...

HRABIA: Arcyksiężna Zofia i jej syn François Joseph nam sprzyjają...

PROFESOR: Wśród serdecznych przyjaciół...

PAPA LOUIS: Śmiałków psy gryzą.

HRABIA: Archiduc Ludwik u nas na zawsze zasiąść zamierza... w Lariszów w pałacu na Wolskiej rezydencję zakłada.

THOMAIN: Obejdzie się!

HRABIA: A pora tu przydać co najważniejsze, że z drugiej strony, o rodacy! Moskal despota czyha tylko i już kosmatą rękę wyciąga po Galicję.

EKIELSKI *(kpiąco)*: I Głodomerię!

HRABIA *(ostro)*: W tej konfiguracji europejskiej z Widniem i z Centralą zrywać... do czego by nas zawiodło?

EKIELSKI: Do Niepodległości!

Oklaski. Hałas.

Jest już całkowity półmrok. Wszystko ginie w cieniach. Na estradzie przed stołem prezydialnym pojawia się postać młodego człowieka, wychudzonego na szkielet, z siwawą brodą, omal w łachmany odzianego. Dookoła stojący, oświetlają widmo latarkami. Cisza dokoła. Szmer zdumienia. Słychać bijące zegary krakowskie, a po nich hejnał na Mariackiej wieży.

EKIELSKI *(suchym, groźnym głosem)*: Poznajecie go, czy nie poznajecie?

Szmery: Kto to? kto to?

EKIELSKI: Znaliście go wszyscy! Dzisiaj o świcie wrócił piechotą z twierdzy Spielbergu

Szmery: Kto to? kto to?

EKIELSKI: Siedem lat w niej przebył. Na dwanaście lat był skazan. Młodzieńcem szesnastoletnim poszedł. Cała jego wina była w tym, że do narodowców, do demokratów należał, w towarzystwo patriotyczne się wpisał.

THOMAIN: Poznajecie, czy nie poznajecie? Jest różnica między Spielbergiem a Szlisselburgiem, Kuffsteinem a Cytadelą Warszawską?... Nie ma! To i tamto Niemcy budowali!

EKIELSKI: Oto kochani krakowianie jest Austria... *(wskazuje na widmo)*. A to jest pan Dunajewski *(gdy szmer się wszczął)*. Tak, tak! Albin Dunajewski z Ukrainy!

Wrażenie olbrzymie. Wszystko ruszyło z miejsca i zmierza do estrady. Pan Bochenek dzwoni i dzwoni.

Pomruk: Szkandał! Szkandał! To Dunajewski! Zgroza! Zgroza!... Wstyd... Hańba Austrii! Precz z Austrią!

ROSENSTOSS *(wpatrzony w postać, w podnieceniu najwyższym)*: Panowie! Panowie! Jeżeli tak się obchodzą z politycznymi więźniami w Spielbergu, to ja pluję na Austrię! Słowo honoru daję: pluję na Austrię!

NEDOSTAL *(surowo)*: Teto słowo w mojej pritomnosti se mi ne libi.

BOCHENEK *(dzwoniąc)*: Wzywam pana do porządku, panie Rosenstoss. Pan musi to odwołać.

ROSENSTOSS: Jak ja mogę odwołać, kiedy ja już naplułem?

BOCHENEK: To pan musi cofnąć!

ROSENSTOSS: No to ja cofam. Ja nie naplułem jeszcze na Austrię!

SENATOR *(mocno)*: Wobec zapadającej szarówki, stawiam formalny antrag na szluss der Debatte.

Ze wszystkich stron głosy: Fajeramt! Fajeramt! Na galerii ktoś zanucił: Ne pójdeme do domu aż rano...

GŁOS Z GALERII: Jest szluss!

INNE GŁOSY: Nie ma szlussu! Nie rozchodzić się!

INNE GŁOSY: Jest szluss!

BOCHENEK *(dzwoniąc lewą ręką, a prawą bijąc w stół)*: Panowie! Panowie! Spokój! Spokój! Zaraz kończymy! Proszę na miejsca! Jeszcze nie rozwiązane.

HRABIA *(stoi odosobniony na na krześle)*: A wszelakoż panowie, ja jeszcze raz muszę wam zwrócić uwagę na smutne i złowrogie następliwości zbyt rewolucyjnych zamierzeń!... Rozchodzi się o to, aby tegoroczna Rezurekcja nie zmieniła się na Insurekcję... aby tegoroczna Rękawka nie przeszła w nową ruchawkę, aby do krwi rozlewu nie doszło! Panowie bracia! Dziś Wielki Czwartek! Z Pismem świętym godzi się nam być w zgodzie... Co jest cesarskiego, oddajmy cesarzowi, a co...

THOMAIN *(z kąta komenderując)*: Malwina! Teraz Ty!

Na estradę wskakuje Malwina Liedermeyer. Stanęła na krześle. Teraz latarki kierują się w jej stronę. Ogólne zdumienie, raczej wesołe! Melania z książką suflerujе siostrze. Malwina rozpoczyna z ogniem i patetycznie:

„Żadnych układów! Żadnego
przymierza!
Bo przyszła chwila, że wstanie
obrońca
Pod Orleanem wróg kresu
domu
Dzień chwały jego chylił się
do końca".

ROSENSTOSS *(półgłosem do otaczających)*: To jest Jungirau von Wilhelm Tell! Cymes!

NEDOSTAL *(również półgłosem, poprawia)*: „Orleańska Sieczinka" od pana Szyllera.

MALWINA *(z ogniem)*:

Dojrzał na zgubę, jako plenna
niwa.
I już żniwiarka z krwawym
sierpem w ręce
Zbliża się, przyjdzie i z wzgardy
pozrywa
Z gwiazd dumy jego
rozwieszone wieńce
Nabierzcie serca! Ludzie małej
wiary!
Bo nim ten księżyc dojdzie
pełni swojej,
Żaden angielski koń murtow
Loary,
Żaden krwią naszą wróg się nie
napoi,
Oto rodacy przyszedł już czas
cudu
I orzeł biały wzleci wielkim
lotem
Spadnie na sępów chciwych
na krew ludu
Skruszy nam wrogów, położy
pokotem
Bluźnierców Nieba i z tymi
wszystkimi
Najezdnikami naszej pięknej
ziemi
Łamać się będzie i wszystkich
wyżenie
Jako lew trzody, lub tygrys
jelenie,
Bo Pan z nią będzie, bo jak
wiatr palący
Duch jego przed nią, bo on
jej prawicy
Da siłę gromu i w słabej
dziewicy —
Okaże światu, że on
wszechmogący
Kraj by nasz upadł. Kraj
zwycięstw i chwały
Raj krajów świata wybrany
od Boga
Dzieci by jego wiecznie dźwigać
miały
Hańbiące więzy przemocnego
wroga?
Czyliż król, obcej wychowaniec
ziemi,
Którego przodków nie tu prochy
leżą,
Co dzieckiem z dziećmi
nie igrał naszemi,
Młodzieńcem z naszą nie kochał
młodzieżą,
Któremu słowa naszej pięknej
mowy,
Czczym tylko dźwiękiem,
pamięć wielkich czynów
Przeszłości naszej chwały
narodowej
Nie zabrzmi w duszy
jak pieśń cherubinów!
Będzież on ojcem swej
ojczyzny nowej
Lub czyż w niej dla się znajdzie
miłość synów?
Żadnych układów! Żadnego
przymierza,
Bo przyszła chwila, że wstanie
obrońca,
Bo pod Wawelem wróg kresu
domierza,
Dzień chwały jego chylił się
do końca!"

Oklaski. Owacje.

THOMAIN *(do młodzieży, komenderująco)*: Teraz chór!

Młodzież rozpoczyna pieśń uniwersytecką „Gaudeamus igitur". Drzwi amfiteatru na ganki otwierają. Zwolna zaczynają się wszyscy wysupywać. Prezydium bezradnie schodzi z estrady. Jedni z drugimi gaworzą.

GAUDENTY: *(do Prezesa)*: No i powiedzże teraz panie Janie Kanty! Czy to rewolucja czy to jakaś komedia po prostu?!

PREZES: Poczekajmy, panie Gaudenty, co będzie dalej i jaki tej komedii akt następny...

SENATOR: Byle nie smutny! Byle nie smutny!

Kurtyna wolno spada.

Adolf Nowaczyński

STANISŁAW JERZY LEC

FRASZKI LIRYCZNE

Nr 1

Dlaczego ciągle skowyczę
Jak pod liryczną hipnozą?
Chwilo!
Daj mi być panem Jourdain
I odkryć, że mówię prozą.

Nr 2

Ocean drga mi w oczach
Elektryczną linią,
A dla Ciebie nieznany Boże
Jest zupą wielorybną
W głębokim, glinianym naczyniu.

STANISŁAW PIĘTAK

PEJZAŻ

Igranie zwierząt, upał barw, niebo błękitne —
świerszcz wyszedł z traw, zanucił piosnkę o barwinku.
Nasturcje, tulipan wzdycha w blask róża, kwitnie,
a z maków kule muszek słońc płyną — tam kraj kminku...
Lecz pora żegnać to, pora wracać do ludzi.
Ten piasku blask, co mnie raduje, stopy parzy
staruszce, jak słabej... Idzie śpi i się budzi.
Koń padłszy tuż obok, na cieniu swym się waży.

Myślę, że błahość opiewam, przelotną chwilę,
nagle jednak wóz z sianem wjechał na ulicę.
I przyleciały wilgi, kukułki, motyle,
obłok... Bocian z radości spadł na kalenicę.
Właściwie i ja już sennym jest w grząskim upale
i pójdę siano zrzucać na sierp złoty, co wschodzi
Starowinko, uśnij tu, uśnij w ciszy chwale.
Za czas snu jabłoń dla ciebie głodnej obrodzi.

FESTYN LUDOWY

Na skraju lasu w łączce cieni gra orkiestra.
Głos trąbki prowadzi w zmierzch pary roztańczone.
Wstaje z wód, pląsa też księżyca twarz czerstwa.
Ktoś śmieje się, bo ma oczy z szczęścia zmienione.

Dalej chłopcy! bierzcie panny, czeka las błękitny.
Kto tak snopy wyrzucał, wart jest czarki wódki.
Młoda, nie smuć się, że chłopiec twój niemajętny.
Nie będziesz musiała zamykać drzwi na kłódki

A to co, gdy z miłości porodzisz dziecinę.
Rząd da pole, na furze ruszycie nad Odrę.
Nie odwracaj się, patrz w obłoków miłą minę
Może Mały za to będzie mieć oczy modre.

Ach, bo na co tyle skarg, tyle niepokoju.
Udacie się, jak ja, nocą w podróż podniebną.
Rankiem, gdy zorza przyjdzie grzmieć do wodopoju,
powitamy uśmiechem jaskółkę, królewnę.

DO ŻONY

Tu kiedyś młoda myśl moja marzyła.
Tu gwiazda błękitna w polu się wiła.
Słońce pszczoły budziło u jabłoni
i promień płakał u dziewczęcej skroni.

Chodź, chodź, nie bój się, nie kryj się w uśmiechu.
Drży głos nienarodzony w tym oddechu.
więc — pochyl się, upadnij na kolana.
Ptak, motyl, promień jest — nie jesteś sama.

SMUTNE POZDROWIENIE*)

O, ty, która prowadziłaś mię do okienka,
by ukazać mi światło obłoków na niebie.
O ty, która nauczyłaś mię rozróżniać kwiaty,
wodę i łzy twoje skamieniałe w chlebie!...
Biedę razem przeżyliśmy, rozpacz i szczęście.
Karmiłaś się moim śmiechem, jak ja kroplą słowa.
Ach, krzyk twój słyszę wśród nocy kamienowany,
widzę jak słania się przed kolbą starcza głowa...
Wywlekli jedno dziecko przed twoje oblicze,
drugiemu rzucili śmierć, śmiech i przekleństwo.
Nawet wspomnieć nie mogłaś już o mnie szczęśliwie
i w śnie gnał cię strach, widziałaś wyrok i męczeństwo!...

Od tych nocy oplwanych przez ryk i wzgardę wioski
są twoje siwe włosy i oczy o barwie
zmarłego motyla. Dłoń żegnającą twoją
widzę nad wsią. Ile żałoby ona narwie
do końca dni mego pamiętania? O matko
odchodząca w mrok pól krwawych skrzywdznoym cieniem,
unikająca śladu mrowisk, by nie zdławić
i owadów życia, przyjm rozpaczy pozdrowienie...

*) Wiersz dotyczy napadu jednej z band w r. 1945 na mój dom rodzinny.

Książki • Książki • Książki • Książki • Książki • Książki

Kartki z dziennika lektury

„Wiry" Sienkiewicza

Jest w pierwszym tomie „Wirów" scena następująca: stary rejent Dzwonkowski, pan Groński oraz doktór Szremski rozmawiają o aktualnych wypadkach politycznych. Akcja „Wirów" rozgrywa się, jak wiadomo, w roku 1905. Tematem zatem rozmowy trzech panów jest ruch rewolucyjny. Właśnie po okolicznych dworach zaczęły się pierwsze strajki rolne. Czerwone niebezpieczeństwo spędza wielu ludziom sen z powiek. „Ale zapytuję — powiada zatroskany rejent — co z nami będzie, jeśli za nimi pójdzie cały lud?" Doktór Szremski optymistyczniej patrzy na te sprawy:

„Doktór począł wymachiwać rękoma i zaprzeczył stanowczo. Ani cały lud, ani jego połowa, ani setna część. A i ci nawet, którzy powiadają, że należą do socjalistów, mówią tak pod terrorem, lub przez nieporozumienie.

— Dam panom dwa następujące przykłady — mówił. — Ja mieszkam na dole, a pode mną, w suterenie, jest warsztat ślusarski. Otóż dziś rano słyszałem urywek takiej rozmowy pomiędzy moim famulusem a ślusarzem. Ślusarz powiada: „Ja jestem socjalistą, to tam nie ma gadania!" — „Jak to nie ma gadania, mówi mój służący, to pan w Boga nie wierzy i Polski pan nie kocha?" — „A dlaczego ja mam nie wierzyć w Boga i Polski nie kochać?" — „Bo socjaliści nie wierzą w Boga i Polski nie kochają". — A ślusarz na to: „Tak, a to niech ich choroba wytłucze!"..."

Ironia? Owszem, lecz pod adresem ówczesnych socjalistów. Doktór Szremski nie znajduje się w owej dwuznacznej sytuacji, w jaką Weyssenhoff uwikłał pana Zygmunta Podfilipskiego. Sienkiewicz nie pragnął swego poczciwego lekarza skompromitować. Przeciwnie, traktuje go bardzo poważnie. A Polsce, zdaniem doktora Szremskiego, nie grożą żadne radykalne przemiany społeczne, ponieważ Polacy kochają Boga i Polskę. „Wiry" wyszły w roku 1910. Żeromski był już podówczas u szczytu sławy. Na jego „Ludziach bezdomnych", „Słowie o bandosie" i „Róży" ogromna część młodego pokolenia kształciła umysły i uczucia. Pisali Daniłowski i Strug. Ale w swoim szczególnym rozumowaniu doktór Szremski nie był ani wtedy, ani później odosobniony. Przez lat lat antyradykalne stanowisko tzw. narodowej prasy wspierało się na podobnych argumentach? Ustami doktora Szremskiego wypowiedział Sienkiewicz jedną z podstawowych i najpopularniejszych prawd polskiego wstecznictwa. Bóg i Polska! Ba, dzisiaj jeszcze doktór Szremski znalazłby wśród wielu rodaków zrozumienie. Co najwyżej słowo: socjaliści musiałby zastąpić słowem: komuniści. Czas, jak wiadomo, nie stoi w miejscu.

„Wiry" na nowo przeczytane po wielu latach wydały mi się lekturą niezwykle interesującą. Nie bardzo pojmuję, dlaczego z całej twórczości Sienkiewicza tę właśnie powieść zwykło się zbywać lekceważącym milczeniem. Przeglądałem ostatnio naszą prasę literacką sprzed dwóch lat. W związku z setną rocznicą urodzin Sienkiewicza ukazało się wówczas szereg artykułów i rozpraw o twórcy Trylogii. O „Wirach" ani słowa! Tylko w „Tygodniku Powszechnym" znalazłem w jednym z artykułów zdanie, że współczesne powieści Sienkiewicza przestały już dla nas mieć znaczenie. Nie jestem tego pewien i nie zrezygnowałbym tak pośpiesznie ani z „Rodziny Połanieckich", ani z „Wirów". Zbyt to ciekawe i charakterystyczne dokumenty. Cóż z tego, że „Wiry" są artystycznie słabsze od Trylogii i „Krzyżaków"? Nie są zresztą aż tak słabe, za jakie się je zwykło uważać. Mistrzostwo Sienkiewicza odnaleźć można w wielu partiach książki, a co najmniej kilka fragmentów opisowych „Wirów" należy, moim zdaniem, do najpiękniejszych w naszej prozie. Taka np. scena, gdy panna Anney z Marynią Zbyłtowską jadą łódką po jeziorze, albo króciutka scena pogrzebu wiejskiego w drugim rozdziale — cóż to za znakomita i jak nowoczesna proza! Nie wydaje mi się, aby skazy artystyczne „Wirów" wynikały z twórczego osłabienia Sienkiewicza. Przecież natychmiast po „Wirach" pisze Sienkiewicz „W pustyni i puszczy". Nie, „Wiry" nie są książką starczą. Są powieścią namiętną, gwałtowną i właśnie w jej dalekich od obiektywizmu założeniach myślowych, w niesprawiedliwej i krótkowzrocznej ocenie rzeczywistości szukać by należało zmącenia równowagi artystycznej. Jeśli bowiem czemukolwiek sprzeniewierzył się w „Wirach" Sienkiewicz, to tej pisarskiej zasadzie, którą Conrad nazwał „oddaniem wymiaru sprawiedliwości widzialnemu światu". Za to w jakże ostrym zwierciadle ukazuje się w tychże „Wirach" sam Sienkiewicz! Sienkiewicz tym razem bez baśniowych dekoracji historycznych, bez patosu wielkich wydarzeń i bez romantycznych, porywających uroków niezwykłych przygód. Po prostu Sienkiewicz, jakby Francuzi powiedzieli: w pantoflach, pan Henryk, jak go zwykli byli bliscy nazywać, starszy pan z bródką, wielki pisarz, który bez osłonek i z zawstydzającą cokolwiek otwartością począł mówić, co myśli o współczesności. Ale w związku z tym wrócić jeszcze musimy na chwilę do doktora Szremskiego.

Otóż stwierdzić wypada, że w postać doktora włożył Sienkiewicz wiele serca. Jest to w jego zamierzeniu jedyny bodaj (pomijając jeszcze jedno w „Wirach" wcielenie mdłego i wyidealizowanego sienkiewiczowskiego „słodkiego dziewczątka") pełnowartościowy człowiek w całej powieści. Trzeba bowiem stwierdzić, że ślepo nienawidząc socjalistów i przedstawiając ich w świetle dalekim od prawdy, umiał się przecież Sienkiewicz zdobyć na dość surową krytykę tych społecznych warstw, z którymi łączyła go wspólnota poglądów i interesów klasowych. Zarówno reprezentanci ziemiaństwa, jak i ludzie ze świata intelektualnego ukazani w „Wirach" nie są tymi, na których budować można jutro. Są albo zbyt prostaccy w swojej poczciwej wsiowości, jak młody ziemianin Krzycki, zbyt przerafinowani estetycznie, jak Groński, lub przeżarci moralnym nihilizmem, jak Świdwicki. Na tle tego ponurego, ginącego świata, niezdolnego skutecznie przeciwstawić się rewolucyjnym „wirom", prawdziwą wiarę pokłada Sienkiewicz w takich jedynie ludzi, jak Szremski. Szremski potrafi i chce pracować. W wypowiedziach tego rówieśnika doktora Judyma na tematy oświaty czy higieny wyraźnie pobrzmiewają echa niezbyt odległej epoki pozytywizmu. Lecz od czasów, kiedy Sienkiewicz pisał był „Szkice węglem", wiele się zmieniło w układzie politycznych sił w kraju. Program narodowej demokracji nie był jeszcze wówczas sformułowany. Natomiast w roku 1910 endecja jest poważną siłą. A doktór Szremski jest właśnie endekiem. Jakie zaś z tego niewinnego skądinąd faktu wyniknęły dla powieści skutki — szerzej nieco za tydzień.

Jerzy Andrzejewski

POWIEŚĆ

„OCZEKIWANIE"

Jerzego Broszkiewicza

Powieść. Warszawa, „Wiedza", 1948; str. 295 i 3 nl.

Ulica Źródlana we Lwowie nie była jedynym miejscem, gdzie oczekiwanie stało się ogólną postawą, dojmującą i prawie wyczerpującą całą treść życia naszego za okupacji niemieckiej. Jerzy Broszkiewicz, autor powieści pod tym tytułem, skupił jednak uwagę na tej właśnie ulicy. Zamieszkiwała tu ongiś zamożna, spolonizowana, wrośnięta w miasto rodzina Bergmanów. Ojciec Bergman został aresztowany przez Niemców. Stefan, Romek — synowie, oraz pani Bergmanowa, matka, szukali sposobów, by przyjść mu z pomocą. Pamiętamy, jak się te sprawy załatwiało. Nieuczciwi pośrednicy żerowali wtedy na nieszczęściu ludzkim. Bergmanowej — matce nie udało się nic zrobić dla męża, choć poświęciła wiele ze swoich zasobów. Równocześnie z tym wydarzeniem autor maluje nam stosunki, jakie wytworzyły się na punkcie opatrunkowym, będącym zresztą pogotowiem lekarskim. Stefan Bergman, młody lekarz, pracuje tu wraz z kilkoma jeszcze lekarzami. I oni też oczekują, łudzą się jak wszyscy ludzie, że Niemcy jednak posiadają jakieś hamulce moralne. Niestety, przewrotność ich była nie do ogarnięcia dla zwykłego, normalnego człowieka.

Jerzy Broszkiewicz nie szuka jakichś nadzwyczajnych, makabrycznych wydarzeń. Daje on niemal powszednią, codzienną rzeczywistość. I to właśnie wstrząsa. Powieść jego jest obrazem z życia nie tylko ghetta, ale całego Lwowa pod okupacją niemiecką. Kilka dobrze zarysowanych postaci, jak Stefan, Grossmajer, Lena, Hescheles czynią z tej powieści utwór przekonywający swoim realizmem i prawdą. Dużo scen pełnych ekspresji, a nie — pisanych na pokaz, ma dokumentarną wartość. Do takich epizodów należy rozmowa Stefana z niemieckim oficerem, gdy zbolały lekarz szuka swojej aresztowanej matki. Powieść Jerzego Broszkiewicza jest utworem wartościowym literacko. Zakończenie jej jest też bardzo prawdziwe. Stefan Bergman, wyczerpany pobytem w obozie, ukrywa się w szpitalu, mieszka u zaprzyjaźnionej rodziny polskiej, wreszcie idzie do lasu.

„Oczekiwanie" Jerzego Broszkiewicza jest udałym debiutem powieściowym.

F. Kowalski

PROZA TŁUMACZONA

„LOTNISKO"

Rexa Warnera

Powieść. Katowice, „Awir", 1947; str. 216 i 8 nl.

Powieść Rexa Warnera jest książką dosyć dziwną. W każdym razie — nie mającą nic wspólnego ani z wojną (dzieje się w bliżej nieokreślonej przyszłości, w trudnym do sprecyzowania kraju), ani nawet z lotnictwem. Jest to opowiadanie o małej wiosce, nie opodal której wybudowane zostało lotnisko. Między pracownikami i oficerami lotniska a wsią trwa cicha walka, która doprowadza do przejściowego opanowania całej wioski przez lotnictwo, zabójstwa pastora, wydziedziczenia z gruntów dziedzica, wciągnięcia mieszkańców wsi do „lotnictwa", — w końcu jednak kończy się katastrofą dla całego „lotnictwa", zapowiadającą wyzwolenie się wioski spod lotniczej tyranii. W ramach tego schematu, niejako ideologicznego, rozgrywa się nader skomplikowany dramat rodziny, gdzie aż do ostatnich stron nikt nie wie, kto jest czyim ojcem, synem, bratem, kochankiem — a w istocie kilkoro ludzi nie wiedząc o tym — związanych jest bliskim i okrutnym węzłem rodzinnym. Sensacja obyczajowa — nic wspólnego nie mająca z kryminalnymi historiami — jest okazją do prześwietlenia bardzo ciekawego i istotnego zjawiska społeczno - politycznego. Krótko mówiąc, powieść Warnera jest bardzo wnikliwie i inteligentnie, przeprowadzoną próbą zdemaskowania antyludzkiej postawy i ideologii organizacji typu faszystowskiego. Sensacyjna fabuła obyczajowa udostępnia jej lekturę nawet najszerszym kołom czytelników.

Dobrze się stało, że tę właśnie książkę dano polskiemu czytelnikowi. Niestety — w tłumaczeniu zupełnie fatalnym

„ZAGUBIONE DNI"

Jamesa Hiltona

Powieść. Katowice, Awir, 1947; str 336.

Ciekawe, jak angielskie powieści popularne — do takich wypada zaliczyć „Zagubione dni" — nie stronią od aktualnych tematów politycznych.

„Zagubione dni" zaczynają się w okopach we Francji, gdzieś pod koniec wielkiej wojny, a kończą w pierwszych dniach września 1939 roku. Lektura ich sensacyjnej fabuły mimo woli nasuwa czytelnikowi dość szaleńcze przypuszczenia, czy powieść nie kryje w sobie jakiejś symboliki, czy nie jest jakąś wielką przenośnią. Czy jest tak czy nie jest, ostatecznie obojętne. Dość, że są to dzieje człowieka, który stracił na trzy czy cztery lata pamięć wskutek kontuzji na polu bitwy. Po odzyskaniu jej — nie może sobie przypomnieć dziejów owych lat między wypadkiem pozbawiającym go pamięci a katastrofą samochodową, która pamięć mu przywróciła. Z pomocą swego przyjaciela próbuje ustalić owe zdarzenia — i udaje mu się to wreszcie właśnie w dniu wybuchu drugiej wojny światowej. Dowiaduje się o sobie samym spraw zgoła niezwykłych, jak choćby i tej, że dwakroć poślubił tę samą kobietę.

Zbyt domyślny czytelnik może sobie podstawić na miejsce bohatera np. całą Wielką Brytanię, która w tak bolesny sposób straciła po tamtej wojnie pamięć polityczną, by odzyskać ją właśnie 3 września...

W każdym razie powieść Hiltona jest nadzwyczaj interesująca. Dobrze napisana. Gładko przetłumaczona.

Kazimierz Koźniewski

REPORTAŻ

„ŻYCIORYS WYKUTY KILOFEM"

Jerzego Piórkowskiego

Warszawa, „Prasa wojskowa", 1948; str 61 i 3 nl.

Długa i ciężka była droga syna proletariatu do ojczyzny. Autentyzm prozy Piórkowskiego ukazuje ją w uczciwy i przekonywający sposób. Dzieje rębacza Pstrowskiego, głośnego dzisiaj w całej Polsce rekordzisty oskarda—to „Życiorys wykuty kilofem" — książeczka wydana niedawno przez zakłady graficzne Prasy Wojskowej.

Urodzony we wsi zawszonej nędzą i krzywdą ludzką, młody Pstrowski w służbie u dziedzica poznaje tylko uderzenia kijem poniewierkę i głód. Uciekając spod ekonomskiego bata, podąża ku kominom hut i kopalni Górnego Śląska. Tam fabryczna hala „uczy go elementarza braterstwa i solidarności klasy". Wyzyskiwany przez ustrój kapitalistyczny, po strajku w „Montimerze", w lęku przed strzałami strażników kopalnianych, nędzą, więzieniem i grozą Berezy — emigruje do Belgii. Tam spotyka go koniec wojny. Nad Wisłą tymczasem, powstaje ojczyzna o jakiej przez całe życie marzył sterany walką człowiek pracy. Pstrowski wraca do kraju, na Śląsk, do fabryk. Dziś, jego twarda i uparta postawa rekordzisty, wyrąbującego ponad normę 286%, jest symbolem świadomego zrozumienia pracy dla ojczyzny.

Piórkowski dzieje tego „Żywotu wykutego kilofem" ujął w formę literackiego reportażu. Uczciwa obserwacja, ostro i sugestywnie rysująca obiektywem, bogaty, plastyczny język (choć miejscami zbyt patetyczny, co stwarza sugestie nieszczerości), historyczny obiektywizm — tworzą całość wartościową, i dokumentarnie i artystycznie.

Krzysztof Cywiński

APOLLINAIRIANA

O niewydanych poematach Apollinaire'a wciąż jeszcze głośno. Entuzjastyczne przyjęcie, jakie spotkało „Ombre de mon amour", ustąpiło miejsca chłodniejszym ocenom. Kilku krytyków wysunęło zarzuty i zastrzeżenia, jeśli idzie o poprawność wydania genewskiego, a nawet zwróciło uwagę na pewne łatwizny w poezji Apollinaire'a. W związku z tym zabrał głos autor najlepszej monografii o Kostrowickim, André Rouveyre, który rękopis utworu miał w ręku. Twierdzi on, że wydawca samowolnie manuskrypt okaleczył i obciął.

„Autentyczny charakter całości poematów — pisze on — polega na tym, że są one na przemian erotyczne, pełne pasji, bólu, goryczy, ironii... W książce, która przyszła do nas ze Szwajcarii, nie zamieszczono w ogóle pięciu poematów o erotyzmie rozpętanym i okrutnym. Nie można ich było zamieścić. Ale fakt ich istnienia jest ważny. Nie wolno go pominąć milczeniem. Cóż powiedzieć dalej o licznych fragmentach — tu dwadzieścia pięć wierszy, tam trzydzieści etc. — wyrwanych na zimno z samego ciała najlepszych utworów. Wreszcie brak jednego wiersza w całości. Nie mówmy już o pomyłkach, błędach, niedokładnościach: są one liczne. Wśród skreślonych wierszy niektóre są może najbardziej wyjątkowe, oryginalne i wzruszające z całego rękopisu. Wszystko wypada zrobić na nowo po dziwacznej edycji genewskiej. Braki jej są tak krzyczące, że przez to samo jest mniej szkodliwa dla cieniów poety".

Gdzie indziej pisze Rouveyre o losach, jakie przechodził rękopis, zanim został wydany. W styczniu 1915 pisał Apollinaire do Lou, skoligaconej podobno z jedną z rodzin królewskich: „Przedwczoraj otrzymałaś wiersze. Będę je wysyłał zawsze, kiedy tylko znajdę czas na pisanie. Nie zagub ich, ponieważ najlepsze zbiorę w tomy, a nie posiadam kopii, piszę wprost". Kiedy jednak poeta zażądał ich zwrotu, nie otrzymał odpowiedzi. Nie mógł ich zatem wykończyć, wygładzić, poprawić i dokonać wyboru. Nie włożył w nie ostatecznej, decydującej pracy cyzelatorskiej. Po śmierci poety wdowa i spadkobierczyni zwróciła się do Lou z prośbą o wiersze zmarłego, ale spotkała się z odmową.

Wkrótce jednak Lou zrozumiała, że popełniła błąd. W październiku 1920 pisze do Rouveyre'a: „Nie wiedziałam, że znałeś tak blisko Wilhelma po nieporozumieniu, które nas rozdzieliło. Znasz na pewno wiele szczegółów o nim, o których nie wiem i o które cię zapytam, gdy tylko się zobaczymy. Śmierć, która raz na zawsze uniemożliwia pojednanie przyjaciół, jest czymś strasznie smutnym. Mówił ci o niestałości mojej przyjaźni. Sprawiłam mu ból, bo go nie zrozumiałam. Między jego umysłowością a tą, w której dotychczas żyłam, była zbyt wielka przepaść. Później, jestem tego pewna, większe doświadczenie życiowe mogło nas zbliżyć". Żal Lou, naturalny zresztą po czterdziestce, przyszedł jednak za późno.

Jeszcze jedna sprawa nigdy nie przestawała zajmować biografów Kostrowickiego: zagadka jego urodzenia, której nie chciał wyświetlić sam poeta. Nikt nie wie, kto był ojcem Apollinaire'a. Przypuszczano tylko, że był synem naturalnym jednego z dostojników kościoła. Obecnie Marcel Adema wysuwa nową i popartą rzeczowymi dowodami tezę, że ojcem Wilhelma — tak bowiem nazywano go zawsze w rodzinie — był oficer włoski, spokrewniony z rodziną królewską, który wkrótce po urodzeniu poety wyjechał z włoskim korpusem ekspedycyjnym do Erytrei.

Matka Wilhelma, Aniela Kostrowicka, pochodziła ze starej polskiej rodziny szlacheckiej z kresów wschodnich. Jeden z jej przodków był w 1680 roku sędzią w Mińsku, inny posłem na sejm warszawski w 1773 r. Ignacy Kostrowicki pełnił funkcję adiutanta króla Stanisława Poniatowskiego i był kawalerem orderu św. Stanisława. Kostrowiccy brali udział w obu powstaniach przeciw Rosji carskiej. Po roku 1863 dziadek poety, Michał Apolinary, ożeniony z Włoszką Julią Floriani, musiał uchodzić z kraju i osiadł w Rzymie, gdzie zajmował stanowisko na dworze papieskim.

stg

Szkoła krytyków

Czerep, ereb i szczeżuja

Pewien znajomy uniwersytecki opowiadał mi, że w pewnym dostojnym mieście na ćwiczeniach z poetyki, kiedy mowa przyszła na rym dziwny i egzotyczny, podyktował słuchaczom takie oto wiersze z „Rymu" Langego:

Prawda, rym jest dla pieśni, czym dla mózgu czerep,
Co myśl ludzką okrywa jak perłę szczeżuja,
Rym to niebo i słońce, to piekło i ereb:
W nim melodia istnienia jakby echem buja.

Na to jeden ze słuchaczy, łysy już był i nie najpierwszej młodości, powstał i zapytał: „Co to jest ereb?" Mój znajomy zdziwił się i uznał pytanie za dobry kawał. O naiwny! Odwołał się do sali, ażeby gremialnie objaśniła pytka, co to jest ereb. Odpowiedziało milczenie. Wobec tego wolał czerepu nie tykać, a że słusznie uczynił, pouczyło go następne pytanie: „A co to jest szczeżuja?" Ten małż również był nieznany. „Ba, niechbyś zapytał, co to jest małż" — dorzuciłem. „Masz słuszność" — zasmęcił się nad małżem.

Ktoś inny, także ze sfer uniwersyteckich, przeprowadzając przy zapisach do pewnej szkoły — wymagana matura! — test ze znajomości pojęć ogólnych wśród wielu innych nieoczekiwanie nabytych z tej okazji wiadomości dowiedział się, że humanizmu od humanitaryzmu nikt nie odróżnia. A gdybym notatkami użyczonymi mi przez innego znajomego, który w roku ubiegłym zasiadał przy egzaminach wstępnych w tym samym dostojnym mieście, chciał się posłużyć — camera obscura w niniejszym numerze „Odrodzenia" mogłaby otrzymać tygodniowy urlop świąteczny.

Tylko w formie przykładu jedna z notatek: „Podkreślić należy również pisarza Marcina Lutra, o którym można powiedzieć, że jest ojcem rewolucji francuskiej. Luter wprowadza naturalizm, podziwia piękno przyrody, nakazuje, aby człowiek kierował się raczej sercem a nie rozumem". Prawdziwość zapisu stwierdzona notarialnie.

Wszystkie te fakty i ozdoby, czerepy i szczeżuje, nie mają służyć jako zapowiedź otwarcia jakiegoś muzeum umysłowych okropności, ale po prostu jako wprowadzenie do dyskusji nad postawionym niedawno na łamach „Odrodzenia" problemem języka obecnej krytyki i polemiki. Od dołu, od ludu z matura — ustęp o Lutrze. Od góry, od pisarzy dla ludu z maturą i bez matury — „maniacka perseweracja ambiwalencji niekongruentnych epifenomenów". A pomiędzy tymi dwiema skrajnościami ma się nawiązać kontakt współczesnej dyskusji i publicystyki literackiej z niefachowym odbiorcą i czytelnikiem.

Sprawa jest diablo skomplikowana i posiada kilka — przepraszam, chciałem napisać — aspektów. Powiedzmy, że napiszę kilka wyglądów. Ale nie w każdym kontekście zdołam słowo aspekt zastąpić jakimś bliskoznacznikiem o polskim rdzeniu. Znów! Chciałem się poprawić, wyszło słówko kontekst. Tego zaś terminu, chociażby go nie znał żaden chłopak w Polsce, opatrzony świadectwem dojrzałości, innym nie zastąpię. Kontekst jest kontekst, tak jak parabola jest parabola.

Mam wrażenie, że niby to błądząc między aspektem a kontekstem, jesteśmy już przy pierwszym wyglądzie zagadnienia. Dotyczy on prawa poszczególnych dyscyplin naukowych, poszczególnych dziedzin twórczości artystycznej do właściwego im języka fachowego. Zanim szkoła krytyków spróbuje zająć własne stanowisko w rozpoczynającej się dyskusji, musi najpierw zastanowić się nad tym prawem w ogóle, a w stosunku do literatury w szczególności. Obraz zapowiada się rozległy, trzeba najpierw zagruntować płótno.

Poszczególne dyscypliny naukowe, zwłaszcza nauki ścisłe, medycyna czy astronomia, posiadają przez nikogo niezaczepiane prawo do swego fachowego języka. Obowiązuje on nie tylko już wprowadzonych w daną dziedzinę, wiedzy, ale i tych, co zaczynają jej nabywać. Młodemu chemikowi nie upraszcza się nazwy związku amid kwasu benzoesowego lub tetraacthylammontiumhydrat, ale tak mu się wdraża umysł, że nie dostrzega już nie tylko rzeczowej, ale nawet słownej trudności owego tworu.

Dyscypliny te posiadają równocześnie swój drugi język. Niczym dorośli, między sobą rozmawiający normalnie, ale do dzieci zwracający się w gwarze m l i - m l i. (Dopisek naukowy na ten temat patrz na końcu). Taką gwarą m l i - m l i przemawiają popularyzatorzy wiedzy, kiedy zwracają się do niewtajemniczonych prostaczków. Zasadnicza rozprawa Einsteina o teorii względności obejmuje kilkanaście stroniczek wzorów matematycznych, a komentarze dla maluczkich na pewno już złożyłyby się na dobrą bibliotekę. Niestety, piszę z dala od własnej biblioteki, jak to Gałczyński powiada — piszę z miejsca postoju i być może z tymi stronicami Einsteina będzie wsypa. Niech żyją sprostowania!

Rola tych dwóch języków w naukach ścisłych jest wyraźnie określona. Uczeni z przekąsem powiadają — to zdolny popularyzator. Wśród wielu innych powodów przekąs prawdopodobnie i stąd pochodzi, że język uproszczeń popularyzacyjnych, chociaż bywa nieraz konieczny celem udostępnienia laikom zdobyczy nauki, nie współpracuje w osiąganiu tych zdobyczy, w ich dokładnej klasyfikacji, w ścisłym rozgraniczeniu nowych pól badania i nowych teorii.

Co wreszcie najważniejsze, w umyśle przeciętnego człowieka dzisiaj, to prawo nauk ścisłych do własnego języka nie budzi sprzeciwów. W księgarniach miejsca postoju, jako też innych miast Polski, od miesięcy na wystawach widnieje dzieło o tajemniczym a zwięzłym tytule — E n d o k r y n o l o g i a. Dopóki owe dzieło nie zaczęło straszyć swoim tytułem, przyznam się, że nie wiedziałem co to takiego. Nauka o wydzielaniu wewnętrznym, czyli o hormonach, tarczycy i czymś tam jeszcze. Nie wiedziałem, ale z należytą pokorą zaglądnąłem pod okładkę, by się dowiedzieć. Każdy z was uczyniłby podobnie.

A jak w naukach humanistycznych, a w szczególności w literaturze? Grunt pod malowidło założony, malować będziemy za tydzień.

DOPISEK NAUKOWY

Drogi redaktorze! Chociaż ten dopisek nie całkiem jest na temat, proszę go nie wrzucać do kosza. Chodzi o „Mli-mli" Wojciecha Żukrowskiego. To opowiadanie bardzo się w Krakowie podobało. Nareszcie ktoś napisał, że w tym mieście również konspirowano, wykonywano wyroki i zamachy, bo jak dotąd, gdyby pamięć ludzka zaginęła, a pozostała tylko literatura, powiedzieliby potomni, że zamachy były tylko w Warszawie, a w Krakowie nic, jedynie Frank i Bühler. Tymczasem w Krakowie, naprzeciwko klasztoru Norbertanek, przez całą okupację mieszkał również Wojciech Żukrowski i bardzo teraz ładnie opisał, jak się trawa wygniata na wiślanym wale i bardzo słusznie, choć szpetnie, przyganał magistratowi stołecznego królewskiego miasta, że kurz wapienny na drodze do Pychowic jest ohydny, tj. że kiedy człowiek wraca latem wzdłuż Wisły z Tyńca, tyle na miejsce świeżego powietrza pod samym miastem naładuje w siebie kurzu, że cały wysiłek zdobycia świeżego powietrza przestaje się opłacać.

kjw

PUBLICYSTYKA

„CZWARTA RZESZA ROŚNIE"

Mariana Podkowińskiego

Warszawa, „Wiedza", 1948; str. 192.

Korespondencje z okupowanych, rozgromionych Niemiec pióra Mariana Podkowińskiego zwracają uwagę naszego czytelnictwa. Dziennikarz ten ma bystrość oka, łatwość pióra, stać go i na obserwacje ogólniejsze o charakterze politycznym. Marian Podkowiński zdobył sobie duży zastęp wiernych odbiorców, posługujących się jego informacjami w rozmowach, a nawet wśród polityków korespondencje jego mają poważanie.

Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza" rzuciła na rynek jego książkę pt. „IV Rzesza rośnie" Marian Podkowiński skomponował ją z korespondencji, które były drukowane w różnych dziennikach i tygodnikach. Ujął je w rozdziały, zatytułowane: Na peryferiach Norymbergi, Prawem mimikry, Fiasko denacyfikacji, Auf den Strassen des Sieges, Amerykanin w Niemczech, Lampa Diogenesa, Przed ofensywą gospodarczą, Walka o nowe Niemcy. Szeroki ogół polski w książce tej odnajdzie wiele ciekawego materiału porównawczego. Szczególnie rozdziały „Przed ofensywą gospodarczą" i „O nowe Niemcy" uprzytamniają nam Marshallowskie plany polityczne. Autor w przedmowie robi uwagę: „Niemcy nie przespali sprawy. Powoli, bez wielkich słów i przesady zorganizowali sobie życie partyjne. Na pozór kłócili się między sobą, ale na tajnych zebraniach układali wspólny plan działania. Obecnie stają się już partnerami gry politycznej".

Książka Mariana Podkowińskiego uprzytamnia nam drogę, przez jaką przeszli Niemcy od rozgromu do chwili obecnej. Ważne jest, byśmy uświadamiali sobie, czym się mogą stać w niedalekiej przyszłości jako narzędzie imperializmu angloamerykańskiego. Dlatego książka ta może oddać duże usługi informacyjne szerokim masom czytających dzienników, którzy choć nawet już te korespondencje czytali, nie posiadają wycinków.

Zenon Stawicki

JAN BR ZECHWA

Pisarz wśród dzieci

Jedziemy podstarzałym „Willysem" — inspektor kulturalno-oświatowy „Czytelnika", panna Ela i ja. Wczoraj jeszcze oddychałem łódzką słotą i mgłą. Tutaj, zaraz po wyjeździe z Katowic, pierwsze spotkanie z zimą. Zbliżamy się do Wisły. Pokryte śniegiem zbocza, ścieżki i kotliny roją się od narciarzy. Nowicjusze, pokonywując zmęczenie i zażenowanie, człapią na deskach brzegiem szosy. Pięknie wijącą się drogą „Willys" wdrapuje się w górę, potem zjeżdża w dół i zatrzymuje się przed kompleksem nowoczesnych budynków. Jest to Wojewódzki Zakład Leczniczo-Wychowawczy w Istebnej. Przyjmuje nas dyrektor Zakładu dr Dadlec w otoczeniu personelu. Wkładamy na siebie lekarskie białe kitle i zwiedzamy Zakład. Tu właśnie dzieci dotknięte gruźlicą leczą swe płuca, a jednocześnie prowadzą codzienne, normalne życie. Dla najmłodszych czynne jest przedszkole. W dużych słonecznych salach, wypełnionych miniaturowymi mebelkami, małe brzdące z zapałem oddają się grom, rysunkom i lekturze. Mają swoje książki i swoją dziecięcą prasę. Starsze dzieci w kilku salach szkolnych pobierają nauki stosownie do ich wieku. Dr Dadlec uskarża się na brak sił nauczycielskich i pomocy szkolnych, ale wygląda na człowieka, który potrafi przełamywać trudności. Przecież kieruje tym zakładem niemal od jego powstania. Mijamy wielką salę rekreacyjną, która posiada własną kabinę projekcyjną i ekran. Co pewien czas wyświetlane są filmy. Wszystkie te urządzenia wyglądałyby niezmiernie idyllicznie, gdyby nie to, że położone na innym piętrze sale chirurgiczne i opatrunkowe, sale do odmy i rozlicznych zabiegów — przypominają o właściwym przeznaczeniu Zakładu i przyczynie, która sprowadziła tu małych pensjonariuszy. Skoro mowa już o tym, wśród gór położonym Zakładzie, nie sposób przemilczeć tego, co bije w oczy przypadkowego gościa: to czystość. Schody, korytarze, zakamarki i kąty lśnią niepokalaną czystością, tak zapewne potrzebną chorym płucom. Najmniejszy, zdawałoby się, pyłek nie zakłóca tutaj przezroczystości balsamicznego powietrza. Po wyjściu z Zakładu dzieci, które powrócą do gorszych warunków życia, wyniosą ze sobą trwałe zamiłowanie do higieny i czystości.

Po zwiedzeniu Zakładu wchodzimy do sali wypełnionej dziećmi. I to jest pierwsze nasze spotkanie. Jestem wdzięczny „Czytelnikowi", że zorganizował mój objazd autorski i umożliwił mi tak bliskie zetknięcie się z małymi czytelnikami. Pisarze na ogół uskarżają się, że piszą w próżnię, że nie wiedzą, jakie jest oddziaływanie ich utworów. Oddźwięk w prasie jest nikły, krytyka zupełnie przypadkowa, pozostają więc nieliczne listy czytelników, docierające do autora. Tutaj autor może schwytać na gorącym uczynku reakcję czytelnika, może stwierdzić naocznie, co w twórczości jego zajmuje i pasjonuje odbiorcę. Są to dla pisarza punkty kontrolne, którymi kierować się będzie w pracy swojej na przyszłość. A jednocześnie spotkania takie, w takiej organizowane skali, pozwalają mu przemówić do wielu tysięcy słuchaczy, pozwalają mu dotrzeć do mas, co przecież stanowi największe pragnienie każdego twórcy i prawdziwy sens jego istnienia.

Recytowałem swoje utwory dzieciom blisko godzinę. Panna Ela, należąca do Zespołu Pionierów „Czytelnika", odśpiewała kilka dziecięcych piosenek. Potem dano nam po jeszcze jednym kitlu i udaliśmy się do innej sali, gdzie dzieci z otwartą gruźlicą są izolowane od świata. Widoczne było, że w ich smutnym życiu, w wielu wypadkach obliczonym, być może, na miesiące, zjawienie się pisarza jest wielką atrakcją. Tutaj także czytałem swoje utwory, a mikrofon ustawiony na stole, odprowadzał głos na werandy, wypełnione chorymi na leżakach. Podczas obu tych audycji dzieci słuchały z natężoną uwagą. Reagowały w sposób mniej więcej jednolity i niezmiernie trafny na każdy żart i każdą pointę. Szczególnie chętnie wysłuchiwały utworów, które znały już przedtem, wtórując półgłosem i podpowiadając rymujące się końcówki zdań. Mogłem wyraźnie stwierdzić, które spośród recytowanych wierszy są wadliwie skomponowane, które trafiają w zmysł humoru dziecka, jaka tematyka jest dla niego interesująca i jak należy utwór budować, aby dziecko nadążyć mogło za jego akcją. Stwierdziłem też, że utwór opisowy, nie posiadający wyraźnej fabuły, nie może przyciągnąć uwagi słuchacza, podczas gdy w utworze o znacznej i zmiennej akcji dziecko bierze żywy udział głosem, mimiką a nawet gestem. Wypowiadam tu spostrzeżenia znane zapewne wychowawcom, jednak własne doświadczenie pisarza, posiada dla niego inny zupełnie walor.

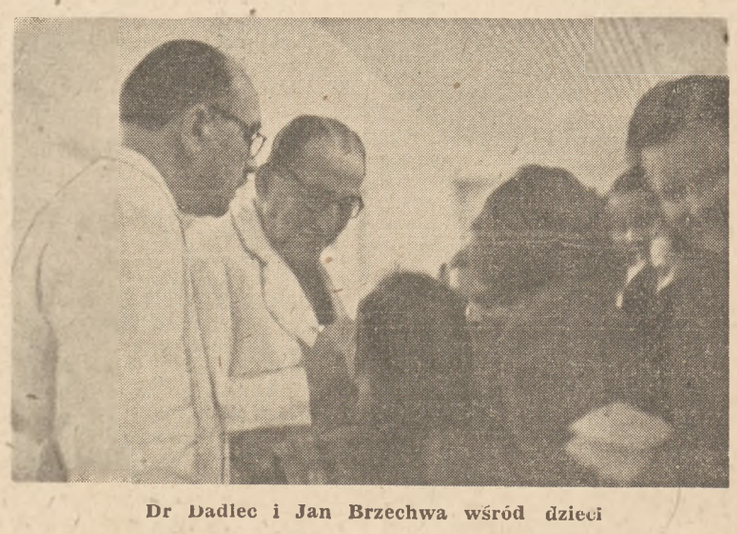

Dr Dadlec i Jan Brzechwa wśród dzieci

Po audycji dzieci zażądały autografów. Ale tylko dziewczynki. Okazało się, że większość z nich ma sztambuchy. Pod tym względem nic się nie zmieniło od czasów naszych prababek.

Gdy odjeżdżaliśmy z Istebnej widzieliśmy za szybami twarze dzieci, posyłających nam swoje spojrzenia. Dzieci izolowanych od świata. Spojrzenia te czuję dotąd na sobie. Alarmują mnie rozpaczliwym słowem: gruźlica. Ale jestem bezradny. Jak to dobrze, że istnieją tacy ludzie jak dr Dadlec i jego współpracownicy. W bezradności zawsze to pewna pociecha.

W Skoczowie, nad samą niemal Wisłą, stoi domek Gustawa Morcinka, niemianowanego wojewodzkiej ziemi. Przyjmuje nas nad wyraz gościnnie, a potem, wieczorem, w Domu Kultury, prezentuje mnie swoim Ślązakom. Wieczór autorski dla dorosłych nie zaznacza się niczym szczególnym. Ale zaraz po mojej audycji produkuje się Zespół Pionierów „Czytelnika", zasługujący na specjalną wzmiankę. Ta wędrowna, czteroosobowa trupa przez godzinę bawi licznie zgromadzoną publiczność, przemycając pomiędzy recytacjami i piosenkami wiadomości o poważnych książkach, a także fragmenty tych książek. Zgrabnie skomponowana całość, na dobrym poziomie, spełnia doskonale swoje zadanie kulturalne w terenie.

Nazajutrz rano, odprowadzeni przez Morcinka i jego wilczycę Azę ruszyliśmy w dalszą drogę. Tym razem „Czytelnik" poskąpił nam swego „Willysa". Tłuczemy się pociągami, tracąc cały prawie dzień. Następny nasz etap, to Bielsko. Dla warszawianina zamieszkałego w Łodzi — miasto godne zazdrości. Żałuję w duchu, że nie osiedliłem się raczej tutaj. Niewiele mam jednak czasu na medytacje, gdyż poranek autorski wyznaczony jest na dwunastą. Dowiaduję się, że mam wystąpić w wielkiej sali „Strzelnicy" wobec 2000 dzieci ze szkół powszechnych Bielska i okolicy. Ogarnia mnie przerażenie. Już nieraz brałem udział w porankach urządzanych dla szkół, ale ta zawrotna cyfra napełnia mnie trwogą. Jak zapanować niewprawnym organem głosu nad takim tłumem dzieci? Jak utrzymać przez godzinę w napięciu uwagę audytorium, tak różnorodnego pod względem wieku, rozwoju, środowiska? Inspektor „Czytelnika", p. Bielanowicz, zaczyna się podzielać mój niepokój. Ale odwrotu już nie ma. Wypełniona po brzegi sala huczy wesołym dziecięcym zgiełkiem. Postanawiamy najmłodsze dzieci wciągnąć i usadowić na estradzie. Reszta stoi w sali opróżnionej z krzeseł. Zaczynam czytać. Towarzystwo ucisza się i słucha z wielką uwagą. Jestem tym zupełnie zaskoczony. Czytam utwór po utworze i tak bez przerwy, przez całą godzinę. Reakcje słuchaczy są szybkie i bezpośrednie. Proponuję dzieciom, aby wraz ze mną powtarzały chórem refreny. Cała sala zgodnie i chętnie wtóruje mi podczas recytacji. Wytwarza się wesoły nastrój, ale żadne uboczne rozmowy ani hałasy nie zakłócają audycji. Wszystkich najwidoczniej bawią czytane przeze mnie utwory i są prawdopodobnie zrozumiałe, skoro utrzymują w napięciu uwagę tak wielkiej ilości słuchaczy, na — bądź co bądź — znacznej przestrzeni czasu. Spotykałem się niejednokrotnie z twierdzeniem, że książki moje przeznaczone są wyłącznie dla dzieci inteligenckich. Poranek w Bielsku przekonał mnie o niesłuszności tej tezy: miałem przed sobą dzieci, przeważnie robotnicze i twierdzę, że po raz pierwszy spotkałem tak czujne i pojętne audytorium. Może wcześniejsze poznanie surowych praw życia wpływa na wcześniejszy rozwój dzieci ze sfer robotniczych? Nie wiem. Nie znam się na tym. Ale to, co widziałem w Bielsku, nauczyło mnie wielu rzeczy o moich czytelnikach.

Pod koniec poranku zbliżyła się do mnie mała dziewczynka i zapewniając, że umie całą książeczkę na pamięć, prosiła, abym pozwolił jej również wystąpić. Uniosłem ją w górę i postawiłem na stole. W zupełnej i niczym niezakłóconej ciszy wyrecytowała z przejęciem jeden z moich utworów. Sala nagrodziła ją burzą oklasków. Oboje, zarówno ona, jak i ja po raz pierwszy w życiu popisywaliśmy się wobec tak licznego audytorium. Na zapytanie, jak się nazywa, odpowiedziała z wielką powagą: — Grażyna Maria Haszczewska. — Ile lat? — Cztery. Nie wiem, czy dotrze do niej ten artykuł, korzystam jednak ze sposobności, aby maleńkiej Grażynie Marii przesłać całusa.

Następny występ w Katowicach wobec 1200 dzieci sprawił mi równie miłą niespodziankę. Wprawdzie dwaj zapalczywi berbecie odbyli krótki pojedynek na pięści, ale po chwili znów zapanowała cisza i dzieci na wyścigi podpowiadały mi wiersze, które umiały na pamięć.

Ogółem, na przestrzeni trzech dni wysłuchało mnie około 4000 dzieci. Też czasu musiałoby upłynąć, gdybym chciał dotrzeć do nich poprzez książki!

Toteż spotkania pisarzy z czytelnikami, zainicjowane przez „Czytelnika", powinniśmy przede wszystkim my, literaci, powitać z największym uznaniem. Czy zaś słuchacze nasi odnoszą w tym samym stopniu korzyść i zadowolenie, odpowiedzieć na to powinni organizatorzy spotkań.

Jan Brzechwa

PABLO PICASSO

Twórca nowych kierunków w plastyce, jeden z najwybitniejszych malarzy, przybędzie wkrótce do Polski.

Głowa dziewczyny

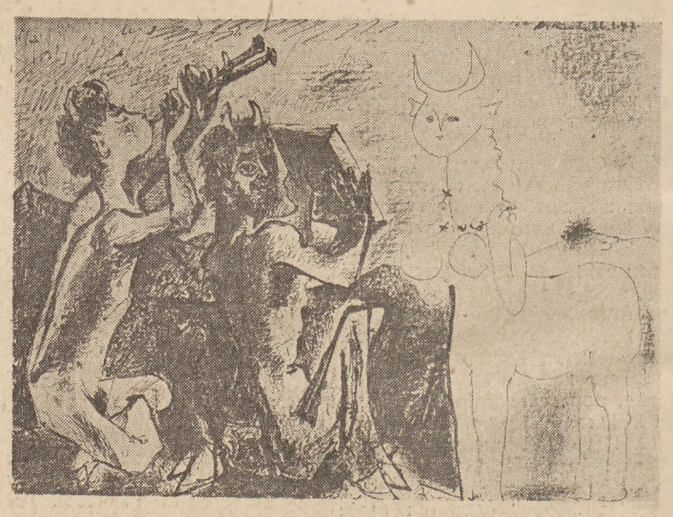

Rysunek

Kobiety

Akt

Notatnik muzyczny

O drugim zjeździe poetów i kompozytorów

Departament Muzyki Ministerstwa Kultury i Sztuki zorganizował drugi zjazd poetów i kompozytorów w Nieborowie. Poetów było dwunastu, kompozytorów i muzyków prawie drugie tyle. Apostolskie te liczby natchnęły uczestników zjazdu do ożywionych dyskusji pod przewodnictwem wiceministra Widy-Wirskiego. Przedmiotem obrad była realizacja „pieśni masowej". Akcji tej patronuje przede wszystkim dr Zofia Lissa, wicedyrektor departamentu muzyki. Dzięki jej wypowiedziom na łamach „Odrodzenia", „Nowych Dróg" i „Ruchu Muzycznego" każdy, kto się choć trochę interesuje sprawami muzyki, wie, co oznacza termin „pieśń masowa".

Upowszechnienie czy też udostępnienie muzyki szerokim masom ma się odbywać w pierwszym etapie przez stworzenie repertuaru pieśniarskiego i chóralnego, który by został przyjęty i wchłonięty przez wieś, świetlice, masy robotnicze i wojsko.

W październiku odbył się pierwszy, obecnie zaś drugi dwudniowy zjazd kompozytorów i poetów, mający jako rezultat przynieść ów nowy repertuar pieśniarsko-chóralny.

Znamy już na pamięć narzekanie i biadolenie nad zanikiem muzyki ludowej i autentycznego muzycznego folkloru. Aby, w miejsce wciskającej się szlagierowej lichoty wnieść coś wartościowego, należy mieć dobre nowe teksty i łatwą, przystępną i dobrą do tych tekstów muzykę.

Opanować te podstawowe zasady — przykazania pieśni masowej, opanować nawet pewne zasady, jak ma wyglądać ludowa piosenka i tekst do niej, jest bardzo łatwo. Wiadomo, że lud czy oddział wojskowy nie zaśpiewa ani toccaty Bacha, ani koncertu na 2 fortepiany Spisaka. Lecz, co już bardziej komplikuje sprawę, lud, który do niedawna śpiewał najpiękniejsze, tak doskonałe w swych liniach melodie kurpiowskie, podhalańskie czy trudne np. wielkopostne pieśni kościelne, nie będzie śpiewał, poza nielicznymi wyjątkami, pieśni Schuberta czy nawet Moniuszki.

Stoimy więc przed problemem bardzo zawiłym jakiejś doskonałej prostoty, tkwiącej w sztuce ludowej, której zastąpienie wymaga od twórcy największego wysiłku i ogromnie głębokiego przeżycia artystycznego, by — w rezultacie — dać coś, co rzeczywiście dać warto.

„Pieśń masowa" — łatwo to powiedzieć, łatwo coś na droższe czy tańsze zamówienie napisać. Łatwo się wykpić, lecz i łatwo pokpić sprawę: najtrudniej zaś stworzyć coś, co będzie godne, by było śpiewane, by zastąpiło i stanęło obok skarbów pieśni ludowej.

Myśląc o pieśni masowej myślę o dyskusjach i bojach nad „stylem zakopiańskim", które za czasów Stanisława Witkiewicza — ojca prowadzono. Fatalna jest droga prowadząca od starej chałupy, stawianej z wybieranych, ogromnych modrzewi, do pudełeczka w skośne wyrzynanego kanty.

Problem upowszechnienia sztuki jest podobny: tworząc nowe wartości należy baczyć, co „podajemy do wierzenia", jakie artystyczne wartości podajemy do konsumowania.

Z wyborem dawnych dzieł jest łatwa sprawa. Lecz tego, co nazywamy „pieśnią masową", nie znajdziemy w dawnej literaturze. Musimy stworzyć nową. W tym celu odbywają się zjazdy w Nieborowie i w tym celu zamawiamy, komponujemy, wybieramy i nagradzamy.

Zarysowują się już entuzjaści i sceptycy, gdy idzie o pieśń masową. Najgorsi są jednak ci, którzy uważają ją za coś łatwego, za coś „na odczepnego". Zjazd wykazał w każdym razie dwie rzeczy: że pieśń ta jest rzeczą do stworzenia bardzo trudną i że stworzenie jej, to zagadnienie bardzo ważne i poważne.

Dla poety problem nie polega na napisaniu dobrego wiersza. Tekst do muzyki musi, poza walorami poetyckimi, posiadać szczególne walory „dobrego tekstu", pod muzykę strofkową powracającą (z refrenem czy bez) kilka razy. Sądzę, że poeta musi tu wyobrazić sobie bardzo precyzyjnie, dla kogo pisze: dla maszerującego wojska czy dla chóru dzieci, dla dziewczyn czy dla chłopców na wsi, dla powracających z pracy czy jadących na wesele, dla świetlic górniczych czy dla metalowców. Kto i gdzie ma to śpiewać, czyli, jakie jest istotne przeznaczenie tekstu pieśni.

Kompozytorowi pozostaje wybrać tekst i męczyć się nad melodią prostą, łatwą a ponętną. Trzeba z siedmiu stopni gamy zrobić coś, co uwiedzie, jak uwodzi Marsylianka.

Związek Kompozytorów staje się centralą gromadzącą teksty i spodziewać się można, że w wyniku tej akcji i atmosfery, która się wytworzyła dokoła „pieśni masowej", posypie się wkrótce repertuar, godny masowego odbiorcy.

Wydany ostatnio przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne w nakładzie 8.000 egzemplarzy śpiewnik, zredagowany przez Bronisława Rutkowskiego, jest już na wyczerpaniu.

Wysoka ta cyfra najdobitniej świadczy o potrzebach i o rynku zbytu. Szkoły, świetlice, instruktorzy ciągle będą się mnożyć. Musimy dać im literaturę użytkową. W całej muzyce wokalnej konieczny jest tu ścisły kontakt kompozytorów z poetami. Nie wystarczą dorywczo napotkane teksty, do których kompozytor napisze pieśni artystyczne, „estradowe".

W drugim dniu zjazdu zapoznano się z kilku dziełami dotychczas skomponowanymi.

Cała ta akcja wyłoni z pewnością spośród poetów i kompozytorów prawdziwych t w ó r c ó w p o l s k i e j p i e ś n i m a s o w e j. Zadaniem zjazdów takich jak ostatni jest przyśpieszenie tego, stworzenie atmosfery twórczej, która z myślą o nowym wykonawcy i słuchaczu przyniesie obfity, nowy repertuar. Takie rezultaty nie dadzą się osiągnąć z dnia na dzień. Konieczna jest pewna doza cierpliwości. Pieśń masowa nie da się stworzyć jak produkcja butów. Lecz pierwsze osiągnięcia i coraz liczniejszy udział, kontakty i zainteresowanie twórców tą gałęzią sztuki świadczą, że powstanie już ona wkrótce.

Zygmunt Mycielski

Zamieszczone w nr nr 10 (171) i 12 (173) wspomnienia Bogusława Kuczyńskiego pt. „Pijąc wino z Rzymianami" i „Obrazki z Rzymu" są fragmentami rozdziału „Wiosna w Rzymie" z książki „Od Watykanu do Koloseum".

MIECZYSŁAW JASTRUN

MATECZNIK*)

Dnia 29 listopada Mickiewicz odczytał w kole towiańczyków list Chodźki do cara. Odczytał wśród grobowego milczenia obecnych na zgromadzeniu. Spośród członków koła tylko jeden Seweryn Pilchowski przyjął bez żadnych zastrzeżeń list do cara Mikołaja. Najgwałtowniej wystąpił przeciw tej żałosnej próbie nawrócenia cara pułkownik Kamieński i wypowiedział otwarcie swój pogląd na sprawę: „Spadliśmy aż do wielkiego monarchy Mikołaja i to w dzień 29 listopada, jakby naigrawając się z krwi polskiej". Juliusz Słowacki kładąc „veto z ducha polskiego przeciw dążności rosyjskiej" protestował gwałtownie „przeciw ugięciu ducha polskiego przed cesarzem Mikołajem".

Kiedy Mickiewicz, zmieniony nie do poznania, jakby rzeczywiście wstąpił w jego ciało duch Towiańskiego, krzyknął obcym, piskliwym głosem: „Bracia! Dziś ukazał mi się duch Aleksandra I i prosił, abyśmy zanieśli modły do Boga na jego intencję", odezwał się Słowacki, który zazwyczaj na zebraniach koła milczał. Mówił teraz spokojnie, ale widać było, że go ten spokój drogo kosztował:

„A mnie, bracia, ukazał się duch Stefana Batorego i prosił, abym przestrzegł, iżby bracia za żadnym nie modlili się moskalem".

„Mickiewicz na to — jak podaje pamiętnikarz — porywa silnie za ramię Juliusza Słowackiego, przywodzi do drzwi i wypędza go słowami: „Paszoł won durak!"

Widać jeszcze jego twarz bladą z gniewu, z siwymi włosami kontrastuje młodzieńcza gwałtowność ruchów. Bracia patrzą na niego ze zgorszeniem, siostra Xawera powstała z krzesła, jest wzburzona, chce coś powiedzieć, pasuje się ze sobą, i po krótkiej chwili wahania, siada znów uspokojona.

Nie to, że brat Adam wyrzucił za drzwi brata Juliusza dziwi i gorszy braci. Przywykli do takich scen w kole. Dziwi ich i gorszy mowa rosyjska w ustach Mickiewicza. Dlaczego odezwał się w tym języku? Myślałby kto, że jak w dramacie Słowackiego, w którym duchy obce wchodzą w ciała ludzi żywych, tak teraz wszedł w Adama duch obcy i opryskliwy.

Mickiewicz stał jeszcze chwilę przy drzwiach, po czym wrócił na miejsce swoje i odzyskał potrzebny do prowadzenia sesji spokój.

Prasa emigracyjna uderzyła na alarm, nie oszczędzając nikogo. Mickiewicz, osaczony przez mistrza Andrzeja, wierzący w jego dobrą wolę i jego posłannictwo, musiał czytać w tych ciężkich dniach oszczerstwa, rzucane bez wyboru i namysłu. Partie polityczne miały za złe Mickiewiczowi, że do żadnej nie przystał, dziennikarze nie mogli mu darować geniuszu, wszyscy nienawidzący poezji znaleźli okazję zemszczenia na poecie swoich żałosnych urazów, pretensyj do świata i ludzi. „Trzeci Maj" pisał: „Jeżeli Słowiańszczyzna pod opieką Mikołaja straci w panu Mickiewiczu Ojca, to Matka jego uzyszcze syna" „Demokrata Polski" nie szczędził również domysłów. Sytuacja Mickiewicza była trudna i wymagała niezwykłego hartu duszy. On, tak gwałtowny, tak nieznoszący sprzeciwu, nie powstał przeciw oszczercom. Milczał. Zawierzył Towiańskiemu i w jego ręce złożył honor swój i Polski. W niegodne ręce. Dzienniki emigracyjne niezależnie od barwy politycznej pisały bez żadnych osłonek prawdę o Towiańskim, wskazywały palcem na kontakty Mistrza z caratem. „Dziennik Narodowy" z 1 marca 1845 roku pisał, że towiańczycy są narzędziem „rozważnym czy obłąkanym" rządu rosyjskiego.

Łagodny zawsze i w sądach dość umiarkowany Bohdan Zaleski, który jedynie dla Słowackiego nie miał wyrozumienia, skarżył się: „Dużo złego urządził nam przybyły przed kilku laty Towiański". Skandalem zapachniało, gdy Seweryn Pilchowski, uczestnik koła, ów brat, do którego nóg rzucił się brat Adam na zebraniu z dnia 29 listopada, podjąwszy się sam dostarczenia listu carowi, dopuścił się jawnej zdrady: idee słowiańską i mistykę towiańczyków przetłumaczył sobie na język praktyczny, by dogadać się w końcu z ambasadą rosyjską i cerkwią prawosławną. Wtedy dopiero, powstawszy w obronie dobrego imienia Towiańskiego i jego uczniów, Mickiewicz opublikował deklarację zwróconą przeciw odszczepieńcom sprawy narodowej i apostatom.

Apostazja Pilchowskiego nie była czymś wyjątkowym w życiu emigracji. Z członków koła przed bratem Sewerynem odszedł brat Mirski. W kraju wypadki zdrady narodowej pod naciskiem wrogiej potęgi imperium Mikołaja lub na skutek zręcznej polityki powtarzały się raz po raz. Słynna stała się apostazja Józefa Szaniawskiego, filozofa, który z patrioty i żołnierza stał się jednym z gwałcicieli praw narodu polskiego w Królestwie Kongresowym.

Mickiewicz jest w tym czasie pod silnym naciskiem najżarliwszych wyznawców Towiańskiego. Anna i Ferdynand Guttowie, Alix Moilard, Xawera Deybel żądają bezwzględnego podporządkowania się rozkazom mistrza Andrzeja. Stosunki w „Kole" stają się coraz nieznośniejsze, nastrój panujący wśród towiańczyków przypomina coraz wyraźniej zbiorową histerię. I kiedy Wielki Opętany nie może wyzwolić się spod tyranii swego mocodawcy i mistrza, mały biedny Słowacki w tym czasie po proteście przeciw ugięciu ducha polskiego przed carem Mikołajem, który to protest ze wspaniałym gestem niby staropolskie v e t o ogłosił, pisze miażdżącą satyrę na towianizm i, żeby wątpliwości nie było, daje jej tytuł: „Matecznik". Aluzje są tu dość przejrzyste, kształt wiersza piekło Dantejskie przenosi w pantadeuszowski trzynastozgłoskowiec.

Oto, Bóg, który łona tajemnic odmyka,
Podniósł wreszcie zasłonę czarną z matecznika
I pokazał okropną umysłów ruinę,
Oczy, krwią zaszłe, twarze zielone i sine,
Dogasające oczy przy ofiarnej czarze.
Zabójstwa serc i skryte na trupy cmentarze,
Kijami, po moskiewsku, nasiekane grzbiety,
Żywe zwierzęce widma — włóczęgi — szkielety,
Chodzące ludzi szczątki, ciał ruchome ćwierci —
Pełny wężowisk ducha matecznik, gród śmierci...
Tamże jest tron, jako grób straszliwy i czarny,
Na którym się pokazał ów niedźwiedź polarny,
Figura z krwi i z ciała, wewnątrz chora, pusta,
Mocarz, zapowiedziany w proroctwie oszusta.
Przed jego, pożyczoną już od cara, mocą
Szkielety waryatów kładną się, gruchocą,
Podlą się i za podłość mu składają dzięki.
Słychać trzask czaszek, grzechot piszczeli i jęki.
Któż by powiedział wczora, że ta, ach, kotara
Kryje takie tam uczty straszne Baltazara —
Że ten, co miał serdeczne niegdyś w Polsce państwo
Dziś, osławiony, zapadł się w ducha piekło
I bachanalią kończy z uczuciem wieczności,
Nie wiedząc, że ma z trupów śmiejących się gości —
Że tam nieoświecony jest dom, bez miesiąca,
I ręka carska, ogniem po ścianach pisząca —
Że przy stole, okropne zbierając okruchy,
Siedzą ciała, nie swymi napełnione duchy,
Liczba jakaś szatanów, która ciał używa!
Ten mówi „ja" — a drugi duch się w nim odzywa —
Drugi, którego przeszłość w siebie zajrzeć znęci —
Spojrzy — i cudzą pamięć znajdzie w swej pamięci.
Inny, gdzieś pod Grochowem naznaczony blizną,
Zapomni się i Moskwę nazywa ojczyzną —
Tamten rozczochra włosy i podniesie pięście
I krzyknie, jak kobieta „Boże! O, nieszczęście!"...

Tymczasem afisz Collège de France zawiadomił słuchaczy wykładów słowiańskich o urlopie udzielonym profesorowi Mickiewiczowi przez ministra. Rząd Ludwika Filipa chciał za wszelką cenę pozbyć się niebezpiecznego profesora. Raporty składane w ministerstwie przez tajną policję były coraz bardziej niepokojące. Atak na profesora polskiego uderzał również w niektórych profesorów francuskich, w Quineta przede wszystkim. Quinet pozwolił sobie na jednym ze swych wykładów twierdzić, że gdyby papież Grzegorz VII żył dzisiaj, ująłby się za Polską i Irlandią, potępiłby Rosję, Anglię i Hiszpanię. Znamienne było wystąpienie margrabiego Barthélemy w Izbie. Nazywał on prelekcje profesorów w Kolegium Francuskim niedorzecznymi i skandalicznymi. Tak sfery rządowe jak i administracyjne patrzyły na tego, który marzył o wprowadzeniu zasad chrześcijaństwa do rządów i polityki, i wierząc w potęgę słowa i perswazji, gotów był poświęcić wszystko, siebie, dom, rodzinę, poezję i miłość dla tej jednej idei. W istocie wielu podówczas poetów i intelektualistów nosiło podobną do Mickiewiczowskiej Utopię w sercu. Quinet i Lamennais dawali jej pokrewny, choć bardziej zrównoważony wyraz, inni poprzestawali na poezji, której rządy nie brały tak serio, jak bezpośredniej agitacji z katedry Kollegium Francuskiego.

Półurzędowy dziennik „Revue de Paris" pisał po prostu: „Pan Mickiewicz wpadł w zdrożność najpospolitszą w naszej epoce, to jest w ten rodzaj mistycyzmu zarazem politycznego i filozoficznego, gdzie śmieszność tak blisko graniczy ze szczytnością".

Słowa te nie zastały już Mickiewicza w Paryżu. Wyjechał do Rychterschwylu, gdzie osiadł był Towiański, wygnany z Francji. Rychterschwyl leży nad jeziorem Zuryskim. Tutaj zatrzymują się pielgrzymi, zanim popłyną statkiem do Einsiedeln, gdzie stał klasztor słynący z cudów. Był tam obraz Naświętszej Panny Einsiedelskiej, przed którym wiele godzin miał spędzać przebywający tu na rekolekcjach Andrzej Towiański. Przed tym obrazem wyznacza Mickiewiczowi spotkanie. Prorok wie dobrze, jak oddziałać na wyobraźnię poety. Dąży stale i konsekwentnie do zniszczenia w nim poczucia dumy i wielkości. Karci go za „pychę", z której jakoby czerpał niczym ze źródła zatrutego swoją „poezję", narzuca mu ideał pokory, prostactwa duchowego, które rodzi nie poezję, lecz działanie. Tym słowem znów uderzał w najczulszy punkt wyobraźni Mickiewicza, wprowadzał go na wieże najwyższą po to, by ukazać leżącą w dole pustynię. Lata upłyną, zanim Mickiewicz zrozumie ostatecznie, że poglądy Mistrza na „działanie" nie mają nic wspólnego z jego prawdą o czynie, zawsze gotową do realnego działania. Przez całe lata Towiański wszelkimi sposobami stara się spętać wolę Mickiewicza, wykorzystuje w tym celu jego wyobraźnię poetycką, jego skłonność do egzaltacji, mobilizuje resztki zabobonu, które wyniósł poeta ze swej litewskiej ojczyzny, spod niskich stropów dworku szlacheckiego, z obyczaju swoich rodziców i sąsiadów.

W gruncie rzeczy Towiański gardzi Mickiewiczem, gardzi jego poezją, gardzi jego zdolnością do ofiary, jego wiernością dla spraw, które Mistrzowi służą, jak Ariel i Kaliban, gdyby dostali się pod władzę szarlatana.

Teraz żądał od niego znowu: „Zmalenia dla przyszłego zwiększenia się", polecał mu pielgrzymkę do Einsiedeln, w którą wybrać się musi „jak babula litewska, z czystym zarodem słowiańskim na odpust w wierze i bojaźni idąca"...

Jechał więc Mickiewicz do cudownego klasztoru Świętego Meinarda i do słynącego z cudów obrazu Naświętszej Panny Einsiedelskiej, jak babula litewska w bojaźni i wierze. Jechał statkiem, który posuwał się wolno w porannym słońcu, po gładkiej lazurowej powierzchni jeziora. Było ciepło, lecz wiatr na jeziorze dawał się odczuć chłodny i przejmujący. Pielgrzym otulał się w wyszarzały płaszcz z podniszczonym futerkiem, obcy tu, na pierwszy rzut oka zdradzający cudzoziemca z odległej prowincji. Twarz pielgrzyma, gdy patrzył na towarzyszące statkowi białe rybitwy, miała w tej chwili rzeczywiście podobieństwo do twarzy kobiety litewskiej z rozwianymi siwymi włosami. Odgadał jak myśl grzeszną i próżną strofy wiersza Novalisa, które teraz, gdy pielgrzymował do obrazu Naświętszej Panny Einsiedelskiej, zjawiły mu się w pamięci, natrętne i cudowne w dźwięku:

Ich sehe dich in tausend Bildern
Maria, lieblich ausgedrückt,
Doch keins von allen kann dich schildern
Wie meine Seele dich erblickt.

Ich weiss nur, dass der Velt Getümmel
Seitdem mir wie ein Traum verweht,
Und ein unnennbar süsser Himmel
Mir ewig im Gemüte steht.

Dźwięki te, ledwie wymawiane wstydliwymi wargami, mieszały się z otaczającą go mową podróżnych, z ową gwarą szwajcarskiej niemczyzny, Schwytz-deutsch, daleką od czystości mowy hrabiego von Hardenberg. Dźwięki tego wiersza skrywały starą tęsknotę ludzką do nadziemskiej miłości, do miłości, której dać nie może żadna z kobiet śmiertelnych. Cisza Szwajcarii, błękit jej wód, urok alei wiązów i platanów, tajemniczość małych zamków, które na poły widne były spośród wiosennej zieleni splecionych w uścisku gałęzi wysokich drzew, przydawały jeszcze temu wierszowi piękności ziemskiej i grzesznej. Myśl o Xawerze, lżejsza od mgły porannej, której resztki tułały się jeszcze w zakątkach gajów tej ziemi obiecanej, zjawiła się nagle i znikła, stłumiona twardym rozkazem.

Towiański patrzył na Mickiewicza przenikliwym i ironicznym wzrokiem zza niebieskich okularów. Był w długim surducie, zapiętym na jeden rząd, ze stojącym kołnierzem.

— Jak zostawiłeś Różyckiego?— zapytał Towiański. Głos jego w grubych murach kościoła brzmiał szorstko i obco. Uklękli przed obrazem Panny Einsiedelskiej.

✤

Wypadki roku 1846, rzeź galicyjska, zabór Krakowa, prześladowania i represje wstrząsnęły krajem i emigracją.

Gniew szlachty, spośród której wielu zginęło pod kłonicami zbuntowanego chłopstwa, wielu zostało zadźganych widłami, był powszechny. Oczywiście nawet najszlachetniejsi nie pamiętali w tych ciężkich dniach o winach i zbrodniach szlachty, dokonywanych na chłopach od wieków i za pozwoleniem prawa zarówno polskiego, jak i cesarsko-królewskiego.

Krew bliskich, którzy zginęli strasznie, krzyczała o swoje prawo. „A działo się to w zapusty" — śpiewał dziad wędrowny idąc wśród wsi galicyjskich, tonących w wiosennym rozmokłym krajobrazie. Opowiadano sobie o tym, co się działo w Smarzowej, w Jodłowej, w Pilznie pod Tarnowem. Żałoba w dworkach szlacheckich zawieszała w oknach zasłony. Nad świeżo pochowanymi ziemia jeszcze dobrze nie stężała. Młody poeta szlachecki w hymnie „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej" oskarżał „rękę, nie ślepy miecz".

Wszyscy jednak sądzili, że ów krwawy rok cofa Polskę w przeszłość, ku zapomnianym buntom chłopskim za Mieszka II.

Mickiewicz, gdy pytano go, co sądzi o wypadkach galicyjskich, odpowiedział: „W historii Słowian zawsze ten sam akt powtarza się. Chłopi długo znoszą ciemiężenie, cierpią, na koniec wyrzynają panów. Tak i za Rzymian było w Ilirii i Panonii i innych słowiańskich prowincjach. To, co historycy piszą o napadach, nie było nic innego, jak bunt chłopów słowiańskich tam osiadłych i zemsta dokonana nad szlachtą panującą".

Widmo odwetu klasowego powiewało na rozstajach dróg polskich krwawą chustą. Emisariusze Towarzystwa Demokratycznego kursujący między Paryżem i Polską widzieli je na wszystkich gościńcach, którymi przejeżdżali z fałszywymi paszportami. Mistycznym urojeniom, snowi szlacheckiego narodu przeciwstawali czyn i płomienne słowa manifestów. Powstanie zostało stłumione bezlitośnie, ale nadzieja żyła dalej.

Przechadzając się w czerwcu 1846 roku po lesie w Saint-Germain rozmyślał Mickiewicz o sprawach tych, żywych i bolesnych poprzez odległe, porównania historyczne. Rozmyślał o dziejach pierwszych Słowian, o „rzeczy rzymskiej", ale przygotowywał się do przyszłych wielkich wypadków, o których mówiono wszędzie z niepokojem i smutkiem.

Odpoczywając nieraz w cieniu starych dębów lub wiązów, leżąc z twarzą obróconą na przeświecające wśród gałęzi niebo, czuł jak powoli pogoda spływa mu do myśli, niedawno skłóconych. Lato chyliło się już ku końcowi, dni stawały się krótsze, ludzie polscy wracali do zajęć drobiazgowych, do małych zatargów, do plotek, do walki codziennej o jadło i napoje. Prasa emigracyjna zajmowała się dalej sprawą Pilchowskiego. „Demokrata Polski" w artykule „Zabiegi Moskiewskie i Towiańszczyzna" pisał o zdradzie Pilchowskiego: „Służebnik i poddany Towiańskiego już wykonał wolę swego pana i Mistrza: znikczemniony już doszedł do drugiego stopnia doskonałości, bo się poddał Moskwie i postanowił przejść na schyzmę grecką". Mimo jednak i wbrew tym głosom Mickiewicz nie stracił zaufania do Towiańskiego, choć pogłębiała się przepaść między nimi, w pojmowaniu nauki. Mistrz w tym czasie, który zdawał się być wstępem do wielkiego ruchu ludów, w czasie podziemnego wrzenia Europy, podkreślał coraz dobitniej swój absenteizm, odżegnywał się od jakiegokolwiek działania, głosił neutralność towiańczyków. Podobnie, jak możni świata, broniący swych przywilejów, jak Metternich, który czując nadchodzącą burzę, pełen odrazy i zdumienia przypatruje się rozwojowi wypadków, prorok nowej wiary popiera politykę gabinetów. Czy otrzymywał jakieś instrukcje od ambasady rosyjskiej, czy był z nią w stałym kontakcie?

Miało się pod koniec królestwu mieszczańskiemu Ludwika Filipa, lecz część wyznawców nowej religii, która pozostała wierna Prorokowi, trawiła nadal czas na drobnych sporach, na praktykach bezsensownych i okrutnych. Karol Różycki, który stał teraz na czele odłamu Koła wiernego Mistrzowi, utworzył rodzaj seminarium, na którym rozbierano i komentowano pisma Mistrza, ową osławioną „Biesiadę", żałosną parodię „Uczty" Platona.

Mickiewicz oczekuje z niecierpliwością i tęsknotą wybuchu rewolucji przygotowuje się do czynu, chce natchnąć myślą o zbrojnym czynie garstkę oddanych sobie uczniów. W marzeniach swoich o przyszłym powstaniu, Różyckiemu wyznacza rolę dowódcy wojska polskiego. Różyckiemu, który pełni w tej chwili urząd zastępcy Towiańskiego i krzywym okiem patrzy na niezgodne z wolą Mistrza zapędy Mickiewicza w sferę działania. Raz po raz różni szpicle, obserwujący każdy krok Mickiewicza, zdają raporty Mistrzowi, przebywającemu w Szwajcarii. On tymczasem, uwolniwszy się od bezpośredniej zależności od Mistrza, poczuł się znowu sobą, zapanował nad rozpaczą, która trawiła go tak długo. Ogarnęło go znów rzadkie i bezcenne uczucie, bez którego życie trudne jest do zniesienia. Obejmował jasnym spojrzeniem całość istnienia, widział je na wskroś, cierpienie nawet przyjmował jak powinność.

W czasie pogrzebu jednego z najszlachetniejszych wygnańców, wiernego mu Izydora Sobańskiego, kiedy do twardej ziemi styczniowej grabarze spuszczali trumnę ubogą z desek niedobrze ohebłowanych, Mickiewicz odlatywał myślą nie ku umarłym, lecz ku żywym, ku tym wszystkim, którzy w tej samej chwili, gdy zimny wiatr uderzał w drzewa Montmartre'u, cierpieli, pragnęli, zrywali się przeciw przemocy, zabiegali o jadło i napój, miotali przekleństwa i wyznawali miłość — w Francji, w Austrii, w Niemczech, w Rosji i w Polsce, zakopanych w śniegu po okna wsi i miasteczek. Jeden z uczestników pogrzebu zapamiętał łzy lejące się wtenczas grubą strugą z oczu Mickiewicza. W tych łzach było wyzwolenie.

Mieczysław Jastrun

*) Por. „Odrodzenie" nr 49 — 1947 r. i nr nr 5, 7, 9 — 1948 r.

·CZYTELNIK·
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
·OMNIBUS·
Biblioteczka Niepróżnującego Próżnowania

WITOLD TASZYCKI
1
JAK KOBIETA W NIEWIASTĘ SIĘ PRZEOBRAZIŁA
str 15 / zł 15

HENRYK SZARSKI
2
JAK ROŚNIE PAZNOKIEĆ
str 15 / zł 15

KAZIMIERZ GUMIŃSKI
3
JAK ZWAŻONO POWIETRZE
str 31 / zł 15

KAZIMIERZ GUMIŃSKI
4
CZY NATURA JEST PRZEKORNA
str 31 / zł 15

ADAM KULCZYCKI
5
TAJNIKI SERCA LUDZKIEGO
str 29 / zł 15

KAZIMIERZ GUMIŃSKI
6
ILE CZŁOWIEK ZJADA WĘGLA
str 30 / zł 15

BIBLIOTEKA ROMANSÓW I POWIEŚCI

TEODOR TOMASZ JEŻ
1
NARZECZONA HARAMBASZY
str 62 / zł 50

CZESŁAW J. CENTKIEWICZ
2
WŚRÓD LODÓW POŁNOCY
str 62 / zł 50

GUY DE MAUPASSANT
3
BARYŁECZKA I INNE OPOWIADANIA
str 62 / zł 50

BENEDYKT DĄBROWSKI
4
114-STA START!
str 63 / zł 50

WACŁAW SIEROSZEWSKI
5
BOKSER-KULISI DNO NĘDZY
str 63 / zł 50

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI
6
PAMIĘTNIK MROCZKA
str 64 / zł 50

JERZY ZARUBA

SZKOŁY LITERACKIE W POLSCE

Powszechna

Nauk politycznych

Klasyczna

Matriarchalna

Realna

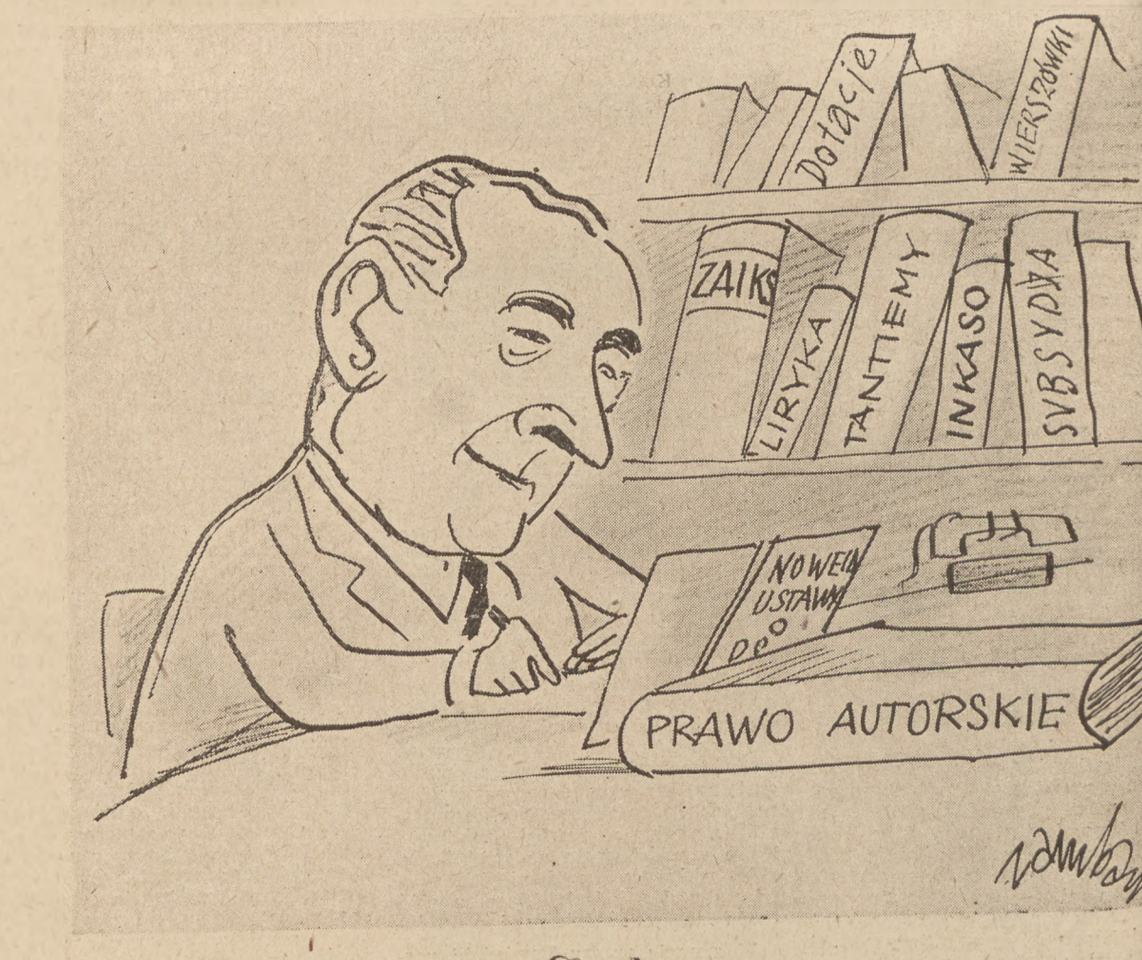

Cechowa

PRZED STU LATY

Początek rewolucji

GUSTAW FLAUBERT

Wyrwał go nagle ze snu huk strzelaniny. Pomimo próśb Rozanety Fryderyk chciał za wszelką cenę pójść zobaczyć, co się dzieje. Szedł Polami Elizejskimi, skąd rozległy się wystrzały. Na rogu ulicy Saint-Honoré spotkał ludzi w bluzach, którzy mu krzyknęli:

— Nie tam! Do Palais — Royal!

Fryderyk poszedł za nimi. Kraty przy kościele Wniebowzięcia były wyrwane. Dalej zauważył pośrodku drogi trzy kamienie, zapewne początek barykady, szkło od butelek i kłębki drutu w celu zatarasowania dostępu kawalerii. Nagle z uliczki wysunął się jakiś wysoki blady młodzieniec; na ramiona spadały mu czarne włosy, ujęte w chustę w kolorowe grochy. Trzymając długi karabin żołnierski biegł na palcach z miną somnambulika, zwinny, jak tygrys. Słychać było z przerwami odgłos strzałów....

Ludzie o porywającej wymowie agitowali tłumy na rogach ulic; z kościołów dzwoniono gwałtownie na alarm. Lano ołów, przygotowywano kulki. Wyrwano i przewrócono wszystko, co się dało: drzewa na bulwarach, pisuary, ławki, kraty, latarnie, rankiem Paryż pokryły barykady. Opór nie trwał długo; wszędzie interweniowała gwardia narodowa, tak że o godzinie ósmej lud miał w swych rękach — zdobyte siłą lub poddane — pięć gmachów koszarowych, wszystkie niemal merostwa, najważniejsze punkty strategiczne. Bez wstrząśnień, sama przez się, monarchia rozpadała się w szybkim rozkładzie; atakowano właśnie postrunek Château d'Eau, ażeby uwolnić pięćdziesięciu więźniów których tam nie było.

Obok Fryderyka jakiś człowiek w czapce i ładownicy przewieszonej przez trykotową kurtkę sprzeczał się z kobietą w chuście na głowie.

— Chodźże do domu! Chodź!

— Daj mi pokój! — odpowiedział mąż. — Możesz sama popilnować domu. Obywatelu, zapytuję, czy to jest słuszne. Spełniłem swój obowiązek w roku 1830, w 32, w 34, w 39! Dziś biją się! Muszę i ja się bić! Idź sobie!...

Zawarczały bębny. Rozległy się przenikliwe krzyki i tryumfalne „hura!" Tłum kołysał się w bezustannym ruchu. Fryderyk, ściśnięty z obu stron przez masy ludzkie, stał nieporuszony; był zresztą jakby zahipnotyzowany i zarazem niezwykle ubawiony. Ranni, padający wokół, leżące trupy, wszystko to nie wyglądało jak prawdziwe. Zdawało mu się, że jest przytomny jakiemuś widowisku.

Pośród ciżby, ponad głowami, zauważył starca w czarnym surducie na białym koniu, okrytym aksamitnym czaprakiem. W jednej ręce trzymał zieloną gałązkę, w drugiej papier, i potrząsał nimi z uporem. Wreszcie, zwątpiwszy, czy go ktokolwiek zechce słuchać, odjechał.

Wojska liniowe usunęły się z posterunku, którego broniła tylko gwardia miejska. Garść nieustraszonych zaatakowała ganek; legli pokotem; nadbiegli inni i brama jęczała pod uderzeniami żelaznych łomów. Gwardziści nie ustępowali. Strzelanina stawała się gwałtowniejsza. Winiarnie pozostały otwarte, wstępowano tam od czasu do czasu, aby wypalić fajkę wypić kufel, po czym wracano, aby się bić. Wył jakiś zbłąkany pies. Było to śmieszne...

W pobliżu Łuku Tryumfalnego leżał wyciągnięty trup koński. Za kratami gawędziły grupy złożone z kilku osób. Wejście do pałacu było otwarte; służba stojąca na progu, nie czyniła nikomu przeszkód.

Na dole, w małej sali, było nakryte do śniadania. Ten i ów z ciekawych zasiadł żartem do stołu; inni stali, a wśród nich jakiś stangret. Schwyciwszy oburącz cukiernicę pełną mączki, rzucił niespokojne spojrzenie na prawo i na lewo, i zaczął zajadać żarłocznie, wtykając nos do środka...

Nagle zabrzmiała M a r s y l i a n k a. Hussonnet wraz z Fryderykiem wychylił się z okna. Lud wtargnął na schody gwałtownym potokiem, a gołe głowy, hełmy, czerwone czapki, bagnety i ramiona poruszały się w tak zawrotny sposób, że ludzie ginęli w tej skłębionej masie, która wspinała się wciąż wyżej, w nieodpartym porywie, z przeciągłym pomrukiem, niby rzeka wzburzona falą w czas zrównania dnia z nocą. Na górze tłum się rozproszył, a śpiew przycichł.

Rozlegał się tylko tupot niezliczonego obuwia i rozgwar głosów. Tłum nieszkodliwy kontentował się patrzeniem. Lecz od czasu do czasu czyjś łokieć w ścisku, wypychał szybę, albo też wazon lub posążek spadał z konsoli. Trzeszczały nadeptane bibeloty. Wszyscy mieli czerwone twarze, spływał z nich obficie pot. Hussonnet zauważył:

— Bohaterowie pachną niezbyt pięknie!

— Ach, jest pan nieznośny — odparł Fryderyk.

Popychani pomimo woli, weszli do komnaty, przyozdobionej u pułapu baldachimem z czerwonego pluszu. Pod nim siedział na tronie proletariusz z czarną brodą, w rozchełstanej koszuli, z miną pogodną i bezmyślną, niby bałwan. Inni wdrapywali się na wzniesienie, żeby usiąść obok niego.

— Co za mit! — odezwał się Hussonnet. — Oto władztwo ludu!

Fotel, podniesiony w górę na ramionach, sunął chwiejąc się, przez całą salę.

— Do licha! Jak się kołysze! Nawa państwowa, miotana burzliwą falą! Ależ sobie podryguje! Ależ podryguje!

Tron skierowano ku jednemu z okien i, wśród gwizdów, rzucono na dół.

— Biedny starowina! — rzekł Hussonnet, widząc, jak spadł do ogrodu, skąd go zaraz podjęto, aby zanieść do Bastylii i tam spalić.

Wówczas buchnęła frenetyczna radość, jak gdyby na miejsce tronu zajaśniała zorza bezmiernej szczęśliwości, a lud raczej dla stwierdzenia swej władzy, niż przez zemstę, tłukł i niszczył lustra, żyrandole, portiery, świeczniki, stoły, krzesła, taburety wszystkie meble, nie przepuszczając nawet albumom z rysunkami i haftom. Skoro osiągnięto zwycięstwo, trzeba się było bawić. Kanalia przystroiła się ironicznie w koronki i kaszmiry. Złote chwasty ozdobiły rękawy bluz, stosowane kapelusze ze strusimi piórami znalazły się na głowach kowali, a wstęgi Legii honorowej opasały kibić ladacznic. Każdy zadowalał swój kaprys; jedni tańczyli inni pili W buduarze królowej jakaś kobieta namaszczała sobie pachnidłem włosy; za parawanem dwóch amatorów grało w karty. Hussonnet wskazał Fryderykowi jakiegoś osobnika, który oparty o balkon, ćmił fajeczkę. Szał potężniał wraz z nieustannym hałasem tłuczonej porcelany i kryształów, których odłamki podskakując dźwięczały, niby klawisze harmonijki.

Następnie wściekłość sposępniała. W obiesnej ciekawości przeszukano wszystkie pokoje, wszystkie zakamarki, otwierano wszystkie szuflady. Galernicy grzebali w łóżkach księżniczek, nie mogąc ich zgwałcić, tarzali się na poduszkach. Inni z miną złowrogą, błądzili w milczeniu, probując coś ukraść; lecz ciżba była zbyt wielka. Przez wyrwane drzwi widać było w amfiladzie pokojów, pośród złoceń, ciemną masę ludzi, otoczoną obłokiem kurzu. Wszyscy oddychali ciężko, gorąco stawało się coraz nieznośniejsze. Obaj przyjaciele wyszli, obawiając się zaduszenia.

W przedpokoju, na stosie odzieży stała dziewka uliczna, niby posąg Wolności, — nieruchoma, z szeroko rozwartymi oczyma, przerażająca.

Zaledwie uszli kilka kroków, gdy natknęli się na pluton gwardii miejskiej w płaszczach. Zdjąwszy swe czapki policyjne, pod którymi ukazały się łysiejące głowy, gwardziści powitali niskim ukłonem lud. Ten dowód czci napełnił pychą zwycięzców w łachmanach. Hussonnet i Fryderyk również odczuli z tego powodu pewną przyjemność.

— Chodźmy stąd — rzekł Hussonnet, — ten lud mnie mierzi.

Wzdłuż galerii ranni leżeli na siennikach, przykryci purpurowymi portierami, a mieszczki z sąsiedztwa przynosiły im bulion i bandaże.

— Co tam! — rzekł Fryderyk.— Ja jednak uważam, że lud jest wzniosły...

Uwagę Fryderyka i Hussonneta zwrócił jakiś tęgi zuch, idący szybko pod drzewami, z fuzją na ramieniu. Ładownica obciskała mu w pasie czerwoną kurkę, spod czapki zwisała chustka. Odwrócił głowę: był to Dussardier. Rzucając się w ich objęcia zawołał:

— Ach, co za szczęście, drogie moje chłopy! — nie mogąc powiedzieć nic więcej, ledwo dysząc z radości i zmęczenia.

Od czterdziestu ośmiu godzin był na nogach. Pracował na barykadach w dzielnicy Łacińskiej, bił się przy ulicy Rambuteau, ocalił trzech dragonów, wkroczył do Tuileriów z kolumną Dunoyera, następnie udał się do Izby, wreszcie na Ratusz.

— Wracam stamtąd! Wszystko idzie jak najlepiej! Lud tryumfuje! Robotnicy i mieszczanie obejmują się! Ach, gdybyście wiedzieli, na co ja patrzyłem! Co za poczciwi ludzie! Jakie to piękne!

Z policzka spływała mu kropla krwi; a na pytania obu przyjaciół, rzekł:

— O, to nic! Zadraśnięcie bagnetem!

— Trzeba by jednak więcej dbać o siebie

— E, jestem mocny! Cóż mi to szkodzi! Ogłoszono Republikę! Teraz będziemy szczęśliwi! Dziennikarze, którzy dopiero co rozmawiali obok mnie, twierdzą, że uwolni się Polskę oraz Italię. Nie ma już królów! Rozumiecie? Cały świat wolny! Cały świat wolny!

I ogarniając jednym spojrzeniem widnokrąg rozwarł ramiona w pozie tryumfatora. — Na tarasie, nad wodą, biegł długi sznur ludzi.

— Ach, do krocset! Zapomniałem! Forty są zajęte! Muszę, tam iść! Bywajcie!

Odwrócił się ku nim, aby krzyknąć potrząsając fuzją:

— Niech żyje Republika!

Z kominów pałacowych wydobywały się olbrzymie kłęby czarnego dymu, sypiące iskrami. Alarmy dzwonów podobne były z dala do przerażonych porykiwań. Na prawo i na lewo, wszędzie w ogóle, zwycięzcy wciąż strzelali. Fryderyk, choć nie był żołnierzem, czuł, że gra w nim krew galijska. Udzielił mu się magnetyzm rozentuzjazmowanych tłumów. Wciągał z rozkoszą burzliwą atmosferę, pełną dymu prochowego. A jednak drżał od fluidów olbrzymiej miłości, tkliwości niezmiernej i powszechnej, jak gdyby w jego piersi biło serce całej ludzkości.

Hussonnet rzekł, ziewając:

— Czas już może pójść uświadomić ludność!...

Plac Panteonu był pełen żołnierzy leżących na słomie. Zaczynało świtać. Gasły ognie na biwaku.

Pobiegł co prędzej na quai Voltaire. W otwartym oknie jakiś starzec bez surduta płakał, wznosząc ku górze oczy. Sekwana płynęła spokojnie. Niebo było zupełnie błękitne; na drzewach w Tuileriach śpiewały ptaki.

Wreszcie o godzinie dziewiątej, w chwili, gdy huczały działa przy zdobywaniu przedmieścia Saint-Antoine, Fryderyk przybył do Dussardiera. Zastał go w mansardzie, leżącego na wznak i śpiącego. Z sąsiedniego pokoju wyszła bezszmernie na palcach jakaś kobieta: była to panna Vatnaz.

Odprowadziwszy Fryderyka na bok, opowiedziała mu, w jaki sposób Dussardier został ranny.

W sobotę, na barykadzie przy ulicy Lafayette jakiś wyrostek, owinąwszy się w trójkolorową chorągiew, krzyczał do gwardzistów narodowych: „Czy będziecie strzelali do swych braci!" Ponieważ ruszyli naprzód, Dussardier rzucił swą fuzję i odsunąwszy innych skoczył na barykadę, a potem jednym ciosem obalił powstańca, wyrywając mu chorągiew. Dussardiera znaleziono przygniecionego szczątkami barykady; miał udo przebite odłamkiem miedzi.. Trzeba było wyjąć pocisk, oczyścić ranę.

Panna Vatnaz otaczała go wszelkimi względami i przyniosła mu nawet dzienniki, w których wychwalano jego piękny czyn. Te hołdy, jak gdyby sprawiały Dussardierowi przykrość. Przyznał się Fryderykowi, że ma niespokojne sumienie.

Może winien był stanąć po tamtej stronie, razem z bluzami, gdyż, koniec końców, obiecano im mnóstwo rzeczy, których nie dotrzymano. Ich zwycięzcy nienawidzili Republiki, a przy tym postąpiono z nimi bardzo surowo. Zapewne, zawinili, ale niezupełnie. I poczciwego chłopca dręczyła myśl, że może zwalczał sprawiedliwość.

Senecal, uwięziony w Tuileriach pod tarasem obok sadzawki, nie doznawał bynajmniej niepokojów.

Było ich tam dziewięciuset, rzuconych byle jak pośród nieczystości czarnych od prochu i zakrzepłej krwi, drżących z gorączki, krzyczących z wściekłości. Nie zabierano stąd tych, którzy tymczasem zmarli. Chwilami, słysząc nagły odgłos strzelaniny, myśleli, że to śpieszy ku nim pluton egzekucyjny. Przywierali do muru, a potem padali znów na swój barłóg, tak stępiali z bólu, że żyli zda się w jakimś koszmarze i ponurej halucynacji. Lampa, zawieszona u sklepienia, wyglądała jak krwawa plama; pełgały zielone i żółte płomyki, spowodowane piwnicznymi wyziewami. W obawie przed wybuchem epidemii naznaczono komisję. Przewodniczący zeszedłszy kilka stopni cofnął się natychmiast, tak go przeraziła woń ekskrementów i trupów. Gdy więźniowie zbliżali się do wentylatorów, gwardziści narodowi, trzymający straż, aby im przeszkodzić nadwerężać kraty, kłuli bagnetami w tłum gdzie popadło. Przeważnie byli bezlitośni. Ci którzy się nie bili, pragnęli się odznaczyć. Znajdował tu ujście przeżyty strach. Mszczono się za dzienniki, kluby, zbiegowiska, doktryny, za wszystko, co ich nękało od trzech miesięcy. I mimo zwycięstwa równość (jak gdyby dla ukarania jej obrońców i na pośmiewisko dla wrogów) ujawniała się tryumfalnie, równość dzikich bestyj, ten sam poziom krwawej ohydy fanatyzm bowiem interesu zrównoważył szał nędzy, arystokracja okazała wściekłość hołoty, a bawełniana szlafmyca była nie mniej szkaradna od czerwonej mycki. Powszechny rozsądek uległ zakłóceniu jakby po wielkich kataklizmach przyrodniczych. Ludzie mądrzy zostali już na całe życie idiotami...

Jeden z więźniów, młodzieniec o długich blond włosach, przysunął do kraty twarz, prosząc o chleb. P. Roque rozkazał mu milczeć. Lecz chłopiec powtarzał żałosnym głosem:

— Chleba!

— A czyż ja go mam!

Inni więźniowie ukazali się w otworze; mieli powichrzone brody, pałające źrenice, a wszyscy popychając się ryczeli:

— Chleba!

Ojca Roque oburzyła niesubordynacja wobec jego władzy Dla postrachu wziął ich na cel. A kiedy młodzieniec, uniesiony aż pod samo sklepienie przez napierający nań tłum, krzyknął raz jeszcze przechyliwszy w tył głowę: — Chleba!

— Naści! Masz! — odparł ojciec Roque, pociągając za kurek.

Rozległo się okropne wycie, potem cisza. Obok cebrzyka zostało coś białego.

P. Roque wrócił następnie do siebie; miał bowiem przy ulicy Saint-Martin dom, w którym zarezerwował sobie pied-à-terre. Szkody zaś, jakie rozruchy sprawiły w fasadzie nieruchomości, niemało przyczyniły się do jego wściekłości. Oglądając obecnie swój dom pomyślał, że nieszczęście nie było znów tak wielkie. Niedawny postępek w Tuileriach przyniósł mu spokój, niby zainkasowane odszkodowanie.

Otworzyła mu drzwi córka. Powiedziała zaraz, że zaniepokojona zbyt długą jego nieobecnością, obawiała się jakiegoś wypadku, rany.

Ten dowód miłości roztkliwił ojca Roque.

W korytarzu rozległy się czyjeś kroki.

— Ach, przepraszam... — znikła.

Katarzyna nie odnalazła Fryderyka. Był od jakiegoś czasu nieobecny.

Ludwika wróciła, drżąc cała, niezdolna nic przemówić. Opierała się o meble.

— Co ci? Co ci to? — krzyknął ojciec. Uczyniła znak, że nic i opanowała się wysiłkiem woli.

Restaurator z przeciwka przyniósł zupę. Ale ojciec Roque przeżył zbyt silne wzruszenie. „To nie mogło tak przejść", i podczas deseru uległ omdleniu. Posłano żywo po lekarza, który zapisał krople. Po czym znalazłszy się w łóżku p. Roque zażądał możliwie dużo kołder dla potów. Wzdychał i pojękiwał.

— Pocałuj swego biednego ojca, moje kurczątko! Ach, te rewolucje!

A gdy córka robiła mu wymówki, że niepotrzebnie się przejął z jej powodu, odparł:

— Tak, masz rację! Ale to jest silniejsze ode mnie! Jestem zanadto wrażliwy!

Gustaw Flaubert. Szkoła serca. Przekład Jakubowicza. Rój, Warszawa, 1931

TRZY TEKSTY O 1848 R. OPRACOWAŁ I KOMENTARZEM OPATRZYŁ
Aleksander Wat

Rzeczy widziane

WIKTOR HUGO

Dni czerwcowe

...Powstanie czerwcowe przedstawiało od pierwszej chwili widok szczególny[1]). Okazało ono nagle przerażonemu społeczeństwu postać potworną i nieznaną.

Pierwszą barykadę wzniesiono w piątek rano, 23-go, pod bramą Saint-Denis. Zaatakowano ją tegoż dnia. Gwardia Narodowa ruszyła przeciw niej odważnie Gdy się zbliżyła na odległość strzału, salwa buchnęła z barykady, pokrywając bruk gwardzistami. Wówczas gwardia, podjudzona raczej niż nastraszona, rzuca się w pełnym biegu na barykadę.

W tej chwili na szczycie barykady ukazuje się postać kobiety, młodej, pięknej, rozczochranej, strasznej. Była to dziewczyna publiczna. Podnosi suknię aż do pasa wrzeszcząc ku gwardzistom:

— Podli! strzelajcie, jeśli się ośmielicie, w brzuch kobiety!

Walka zaczęła być straszna. Gwardia nie zawahała się. Salwa zwaliła nieszczęśliwą. Padła wydając przeraźliwy krzyk.

Nastała chwila ogłuszenia, zarówno na barykadzie, jak i wśród napastujących.

Naraz ukazuje się druga kobieta. Ta była i młodsza i piękniejsza; prawie dziecko, co najwyżej lat siedemnastu Co zą straszna nędza! I ta była dziewczyną publiczną! Postąpiła jak jej poprzedniczka wołając:

— Strzelajcie, rozbójnicy!

Strzelono. Padła podziurawiona kulami, na zwłoki pierwszej. I tak się zaczęła ta wojna.

Trudno o coś smutniejszego i bardziej mrożącego serca. Jest coś ohydnego w tym heroizmie obrzydliwości, w którym wybucha cała siła, jaką tylko słabość rozporządzać mogła; w tej cywilizacji, napastowanej przez cynizm, a bronionej przez barbarzyństwo. Z jednej strony rozpacz ludu, z drugiej rozpacz społeczeństwa...

O jedenastej zająłem moje zwykłe miejsce w Zgromadzeniu Narodowym. Jeden z posłów usiadł przy mnie i rzekł:

— Panie Hugo, podłożono ogień pod pański dom...

— A rodzina moja?...

— Rodzina pańska schroniła się najprzód do merostwa. Byłem tam i ja. Widząc, że niebezpieczeństwo minęło, poprosiłem panią Wiktorową Hugo, ażeby poszukała innego schronienia. Znalazła je dla siebie i dla dzieci u zduna, nazwiskiem Martignon, mieszkającego obok waszego domu, pod arkadami.

Znałem tę zacną rodzinę Martignonów. To mnie uspokoiło.

— A gdzie jest w tej chwili ruchawka? — spytałem pana Belley.

— To nie ruchawka, to rewolucja. Paryż jest już obecnie w jej mocy.

Pożegnałem Belleya i przebiegłem szybko kilka sal, dzielących miejsce naszych posiedzeń od gabinetu, w którym przebywała Komisja Wykonawcza...

Podbiegłem do Lamartine'a, który postąpił parę kroków na moje przywitanie. Był blady, pomieszany, z zapuszczoną brodą, w ubraniu zapylonym.

I oto zawiązał się między nami dialog, którego każde słowo mam jeszcze żywo w pamięci:

— Jakże stoją rzeczy? — pytam.

— Jesteśmy skończeni.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że za kwadrans lud wtargnie do Zgromadzenia.

(W samej rzeczy kolumna powstańców zbliżała się już przez ulicę Lille. Szarża konnicy, w porę wykonana, rozpędziła ją).

— Jak to! a wojsko?

— Już go nie ma.

— Ależ mówił mi pan w środę i powtórzył wczoraj, że masz sześćdziesiąt tysięcy ludzi!

— Tak sądziłem.

— Cóż u diabła! Przecież tak się poddawać nie można. Nie tylko pan wchodzi tu w grę, ale i Zgromadzenie, i nie tylko Zgromadzenie, ale i Francja, i nie tylko Francja, ale i cywilizacja w ogóle. Czemużeście nie wysłali wczoraj rozkazów, ściągających wojska z miast prowincjonalnych, przynajmniej w promieniu jakich czterdziestu mil? To by wam dało od razu trzydzieści tysięcy ludzi.

— Wydaliśmy rozkazy.

— I cóż?

— Wojsko nie przychodzi!

Lamartine wziął mnie za rękę i rzekł:

— Nie ja jestem ministrem wojny!

W tej chwili kilku posłów weszło z hałasem. Zgromadzenie uchwaliło stan oblężenia.

Lamartine zwrócił się przez pół ku nim, mówiąc przyciszonym głosem:

— Stan oblężenia! Stan oblężenia!... Dobrze, zróbcie, jeśli myślicie, że jest to konieczne. Ja nie mówię nic!

Rzucił się w fotel, powtarzając:

— Nie mam nic do powiedzenia, ani tak, ani nie. Róbcie!...

Tymczasem generał Negrier podszedł ku mnie i rzekł:

— Panie Hugo, rodzina pańska jest ocalona...

— Dziękuję, tak, powiedziano mi to przed chwilą.

— Ale pański dom jest spalony.

— To najmniejsza.

Negrier z żywością uścisnął mi rękę:

— Rozumiem pana. Powinniśmy teraz myśleć o jednej tylko rzeczy, o ocaleniu kraju.

Gdy miałem wychodzić, Lamartine wystąpił z jednej z grup i podszedł ku mnie:

— Bądź zdrów Ale nie zapomnij tego, co ci powiem: nie sądźcie mnie zbyt skwapliwie; nie jestem ministrem wojny...

Dni lutowe

Wyszedłem razem z innymi posłami i wracałem brzegiem rzeki. Na placu Zgody ciągle jeszcze szarżowała konnica. Próbowano w dwóch miejscach zabarykadować ulicę św. Honoriusza. Na sąsiednim targu powyrywano bruki. Wojsko podnosiło omnibusy, które poprzewracano na barykady. Na ulicy św. Honoriusza tłum przepuścił gwardię miejską, a potem obrzucił ją z tyłu kamieniami.

Na bulwarze nad brzegiem roiło się ludzi jak mrowia, gniewny szmer dolatywał od tłumu. Widziałem bardzo ładną kobietę w zielonym aksamitnym kapeluszu, z wielkim szalem, idącą wśród gromady bluz i gołych ramion. Starannie unosiła swoją suknię z powodu błota, i była bardzo zaszargana, padało bowiem co chwila.

Wieczorem Paryż był pełen radości; ludność wyległa na ulice; zewsząd dolatywał odgłos popularnej zwrotki: „Des lampions! Des lampions!" W jednej chwili w całym mieście zajaśniała iluminacja, jakby w wielkie święto.

Na placu Królewskim przed merostwem, o dwa kroki od mego domu, gromadził się tłum, coraz to gęściejszy, coraz to głośniejszy.

Oficerowie i gwardziści narodowi, aby osłonić merostwo, wołali:

— Do Bastylii!

I trzymając się pod ręce, stanąwszy na czele kolumny pomaszerowali. A tłum za nimi, deklamując wesoło:

— Do Bastylii! Do Bastylii!

Orszak ten okrążył kolumnę lipcową z okrzykiem: „Niech żyje Reforma!" pozdrowił wojsko, stojące na placu nieruchomo, wołając: „Niech żyje armia!" i sunął ku przedmieściu św. Antoniego.

W godzinę potem tłum wracał znacznie większy, już z pochodniami i sztandarami i cisnął się ku Wielkim Bulwarom z zamiarem okrążenia wybrzeży, roznosząc po całym mieście radość ze zwycięstwa.

W tej chwili bije północ. Wygląd ulic zmienił się. Ulica Marais ponura, przechadzałem się po niej i wróciłem. Na bulwarze Bourdon latarnie powywracane i pogaszone. Sklepy tego wieczoru otwarte były tylko na ulicy św. Antoniego.

Przy ulicy św. Ludwika, w ciemności, poznajesz przyparty do murów milczący batalion piechoty.

W tej chwili, gdy północ wybiła, wyszliśmy na balkon nasłuchując. Rozległ się dzwon alarmowy. Nie mógłbym zasnąć w łóżku. Spędziłem noc w moim salonie, pisząc, rozmyślając, nasłuchując.

Od czasu do czasu wyglądałem na balkon, potem chodziłem po pokoju, lub rzucałem się na fotel i drzemałem, niepokojony gorączkowym marzeniem. Śniło mi się, że słyszę gniewny pomruk tłumu, daleki ogień rotowy; że w kościołach biją na alarm we wszystkie dzwony. Obudziłem się i rzeczywiście po raz drugi usłyszałem dzwon alarmowy.

✦

Rzeczywistość przewyższyła w okropności marzenie senne.

Tłum, który widziałem upojony na bulwarach, przez jakiś czas posuwał się w spokoju śpiewając. Pułki piechoty, artylerii, konnicy rozstępowały się przed nim. Lecz na bulwarze des Capucines masa wojska, piechoty i kawalerii, skupiona na obu chodnikach i pośrodku ulicy, strzegła ministerium spraw zagranicznych razem z niepopularną osobą ministra, pana Guizot.

Wobec tej nieprzebytej przeszkody, czoło kolumny ludowej chce się zatrzymać i zawrócić; lecz niepowściągliwy napór dalszych tłumów ciśnie na pierwsze szeregi. W tej chwili pada strzał nie wiadomo skąd i jakim sposobem. Dość, że naraz powstaje panika i zamieszanie. Wojsko, w przekonaniu napadu, daje ognia. Osiemdziesiąt trupów i rannych zalega ulicę. Podnosi się straszny, ogólny okrzyk: zemsty! Trupy ofiar nakładają na wóz pogrzebowy, oświetlony pochodniami. Tłum zawraca w przeciwną stronę, teraz już ponury i wściekły, roznosząc przekleństwa.

W kilka godzin potem cały Paryż pokryty barykadami...

Masa ludu jest zbyt gęsta, żeby można było przemawiać do niej z placu. Wychodzę więc z merem, kilku oficerami gwardii narodowej i dwoma uczniami Szkoły Politechnicznej na balkon merostwa. Podnoszę rękę, robi się cisza, jak na zaklęcie, i zaczynam mówić:

— Moi przyjaciele, czekacie na nowiny. Oto co możemy wam powiedzieć: pan Thiers nie jest już ministrem, marszałek Bugeaud nie jest komendantem (Oklaski). Zastąpieni są przez marszałka Gérarda i przez Odilona Barrot (Oklaski, ale rzadsze). Izba jest rozwiązana. Król abdykował (Aklamacja powszechna). Księżna Orleanu jest regentką (kilka odosobnionych oklasków wśród głuchych pomruków).

Jest rzeczą oczywistą, że tłum pozostał w niepewności i że nie jest zadowolony.

— Trzeba teraz — mówię do p. Moreau — iść na plac Bastylii, powtórzyć ogłoszenie.

Tam znaleźliśmy tłum gorąco usposobiony, w którym panowali rzemieślnicy. Wielu uzbrojonych w karabiny, zabrane wojsku z koszar. Krzyki i śpiew Żyrondy: Mourir pour la patrie! Liczne grupy dysputujących i kłócących się zawzięcie. Zwracają się ku nam, przypatrują, pytają: A co tam nowego? I idą za nami. Słyszę moje nazwisko, wymawiane w różnym nastroju: Wiktor Hugo! To Wiktor Hugo! Niektórzy kłaniają mi się.

Gdyśmy stanęli u stóp kolumny lipcowej, otaczał nas już orszak zbity. Ażeby mnie lepiej słyszano włażę na podstawę kolumny. Była to nie tyle mowa, ile rozmowa, albo raczej utarczka jednego głosu z dziesięcioma, dwudziestoma, stoma, mniej lub więcej nieprzychylnie usposobionymi...

(Dokończenie na stronie piętnastej)

[1]) W końcu czerwca, w cztery miesiące po ogłoszeniu Republiki, prawidłowa praca ustała i warsztaty, znane pod nazwą Pracowni Narodowych (Ateliers Nationaux), zostały zamknięte postanowieniem Zgromadzenia Narodowego. Wówczas nędza wywołała jedno z najstraszniejszych powstań, jakie notowała historia. (Przyp. aut.)

W. Hugo. Rzeczy widziane 1848—1849, z niewydanych rękopisów. W przekładzie J. Ochorowicza. Biblioteka Dzieł Wyborowych 1899.

W OCZACH WSPÓŁCZESNYCH

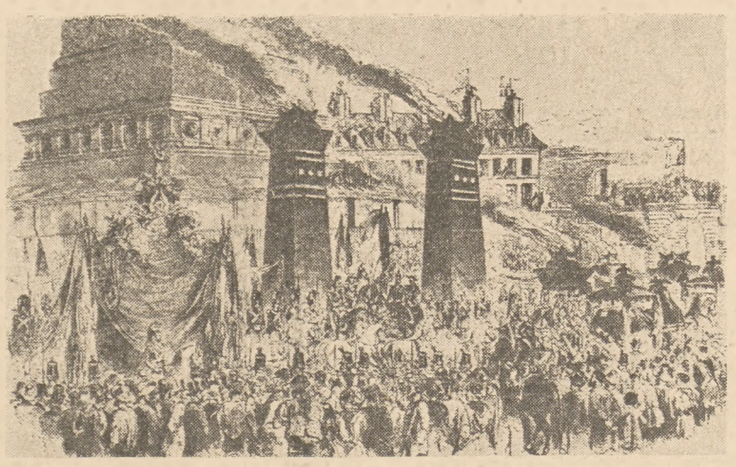

Paryż czci żałobą zmarłych

PO BURZY

ALEKSANDER HERCEN

Wspólnie z wami przecierpieliśmy straszne, nikczemne dni czerwca. Ofiaruję wam pierwszy po nich płacz, który wyrwał mi się z duszy. Tak jest, płacz, ja nie wstydzę się łez! Czy pamiętacie Marsylianke Rcheli?[1]) Dopiero teraz nastał czas, kiedy można ją ocenić. Cały Paryż śpiewał Marsylankę — ślepi, żebracy i Julia Grisi, malcy i żołnierze; Marsylianka, jak powiedział pewien dziennikarz, stała się czymś jak ojcze nasz po 24 lutym... Teraz dopiero umilkła — dźwiękom jej niezdrowo v. état de siège. Marsylianka po 24 lutym była zawołaniem radości, zwycięstwa, siły, groźby, była zawołaniem mocy i tryumfu...

Ale oto Rachel odśpiewała Marsyliankę... Śpiew jej przerażał tłum wyszedł przygnębiony Czy pamiętacie? Był to dzwon pogrzebowy pośr weselnej radości, była to wymówka, groźna wieszczba, jęk rozpaczy pośród nadziei. Marsylianka Racheli wzywała na ucztę krwi, zemsty... tam, gdzie rozrzucano kwiaty, ona rzucała jałowiec. Poczciwi Francuzi mówili: to nie jest owa świetlista Marsylianka 1948 roku, ale posępna, ta z czasów terroru... Mylili się: w 93 roku nie było takiej pieśni; taka pieśń mogła się zrodzić w piersi artysty jedynie pr. zbrodnią czerwcowych dni, jedynie po oszukaństwie 24 lutego.

Przypomnijcie sobie, jak ta kobieta, szczupła, zamyślona, pojawiała sie bez żadnych ozdób, w białej bluzce, opierając głowę na ręce; szła wolno, patrzyła mrocznie i zaczynała nucić półgłosem... nękająca boleść tych dźwięków dochodziła do rozpaczy. Wzywała do boju, chociaż nie było w niej wiary, że ktokolwiek pójdzie... To prośba, to — wyrzut sumienia. I nagle z tej słabej piersi wyrywa się jęk, krzyk, pełen wściekłości, upojenia:

„Aux armes citoyens!..
Qu'un sang impur abreuve
nos sillons...

dorzuca z okrucieństwem kata. Sama zdziwiona zachwyceniem, któremu dała się porwać, jeszcze ciszej, jeszcze bardziej beznadziejnie intonuje drugą zwrotkę... i znowu wezwanie do boju i krwi... Przez chwilę kobieta bierze górę, pada na klęczki, krwawe wezwanie staje się modlitwą, zwycięża miłość, Rachel płacze, przyciska do piersi sztandar... Amour sacré de la patrie!.. Ale już wstydzi się tego, skoczyła i ucieka, wymachując sztandarem, z okrzykiem „Aux armes, citoyens!"... Ani razu tłum nie ośmielił się jej zawrócić.

Artykuł, który wam ofiarowuję, to moja Marsylianka. — Żegnajcie! Przeczytajcie przyjaciołom te wiersze. Bądźcie nie nieszczęśliwi. Żegnajcie! Nie śmiem ani was nazwać, ani nazwać siebie: tam, dokąd wy jedziecie, nawet płacz to przestępstwo, i słuchać go — to grzech.

Paryż, 1 sierpnia 1848.

*

Kobiety płaczą, aby ulżyć duszy; my nie umiemy płakać. Zamiast łez, chcę pisać! — nie po to, żeby opisywać, żeby tłumaczyć krwawe wydarzenia, lecz po prostu, żeby mówić o nich, dać wolę mowie, łzom, myśli, żółci. Gdzież tu opisywać, zbierać informacje, debatować! W uszach jeszcze **rozlegają** się wystrzały, tupot pędzącej kawalerii, ciężki dudniący odgłos kół armatnich w wymarłych ulicach; w pamięci migają oddzielne szczegóły: ranny na noszach przyciska rękę do boku i kilka kropel krwi cieknie po nich; omnibusy, napełnione trupami, jeńcy wojenni ze skrępowanymi rękoma, armaty na place de la Bastille, obóz przy Porte St Denis, na polach Elizejskich i ponure nocne „Sentinelle — prenez garde à vous..." Co mi tam opisy! mózg zbyt jest rozpalony, krew zbyt ostra.

Siedzieć swoim pokoju, z założonymi rękoma, nie mieć możliwości wyjść za bramę — i słyszeć tuż koło siebie, wokoło, w pobliżu, w oddali strzały, kanonadę, krzyki, werbel, i wiedzieć, że w pobliżu leje się krew, narzynają, zabijają, że w pobliżu umierają — od tego można umrzeć, zwariować. Nie umarłem, ale zestarzałem się, przychodzę do siebie po czerwcowych dniach, jak po ciężkiej chorobie.

A zaczęły się tak uroczyście! Dwudziestego trzeciego, koło czwartej przed obiadem, szedłem brzegiem Sekwany w stronę Hôtel de Ville: zamykano sklepy, oddziały gwardii narodowej ze złowróżbnymi twarzami przemagały w różnych kierunkach; niebo było zachmurzone; padał deszczyk. Zatrzymałem się na Pont Neuf. Wielka błyskawica błysnęła spoza chmur, pioruny biły jeden po drugim, i nagle śród tych odgłosów rozległ się miarowy, przeciągły dźwięk alarmu z dzwonnicy św. Sulpicjusza, którym proletariusz, oszukany raz jeszcze wzywał swoich braci do broni. Kościół i wszystkie budynki wzdłuż brzegu były jakoś niezwykle oświetlone kilkoma promieniami słońca, które jaskrawie wynykały się spoza chmur; z różnych stron słychać było bębny; artyleria ciągnęła z placu du Carousel.

Słuchałem piorunów, alarmu i nie mogłem napatrzyć się dość panoramie Paryża — jak gdybym się z nią żegnał na zawsze. Owej chwili namiętnie kochałem Paryż; był to ostatni hołd dla wielkiego miasta: w czerwcowych dniach obrzydł mi.

Po drugiej stronie rzeki we wszystkich zaułkach i ulicach stawiano barykady. Widzę, jakby się to stało teraz, owe chmurne twarze ludzi, dźwigających kamienie; pomagały im dzieci, kobiety. Na jedną z barykad, prawdopodobnie ukończoną, wdrapał się młody politechnik, wzniósł sztandar i zaśpiewał cichym, smutnie uroczystym głosem Marsyliankę; wszyscy pracujący zaśpiewali, i chór tej wielkiej pieśni, rozlegający się spoza kamieni barykad, porywał duszę... Wciąż rozbrzmiewał dzwon alarmowy. W tym czasie przez most przejechała artyleria, i generał Bedeau oglądał z mostu przez lornetę **nieprzyjacielskie** pozycje.

Wtedy jeszcze można było wszystkiemu zapobiec, wtedy można było jeszcze ocalić republikę, wolność całej Europy, wtedy można się jeszcze było pogodzić. Tępy i niezręczny rząd nie umiał tego zrobić. zgromadzenie nie chciało, reakcjoniści pragnęli zemsty krwi, zadośćuczynienia za 24 lutego; zakamarki „Nationalu" dostarczyły wykonawców.

No i co pan powie, łaskawy książę Radetzky i jaśnieoświecony hrabio Paskiewicz-Eriwański? Nie nadajecie się na pomocników Cavaignaca, Metternich i pracownicy Trzeciego oddziału carskiej kancelarii, to dzieci łagodności, de bons enfants w porównaniu ze zbiorem rozwścieczonych sklepikarzy.

Wieczorem 26 czerwca usłyszeliśmy, po zwycięstwie „Nationalu" nad Paryżem, regularne salwy w krótkich odstępach czasu... Popatrzyliśmy jeden na drugiego, wszyscy mieliśmy zielone twarze... „Przecież to rozstrzeliwują" — powiedzieliśmy jednocześnie i odwrócili się od siebie. Przycisnąłem czoło do szyby okiennej. Za takie chwile nienawidzi się w ciągu dziesiątka lat, a mści się przez całe życie. *Biada tym, którzy przebaczają takie chwile!*

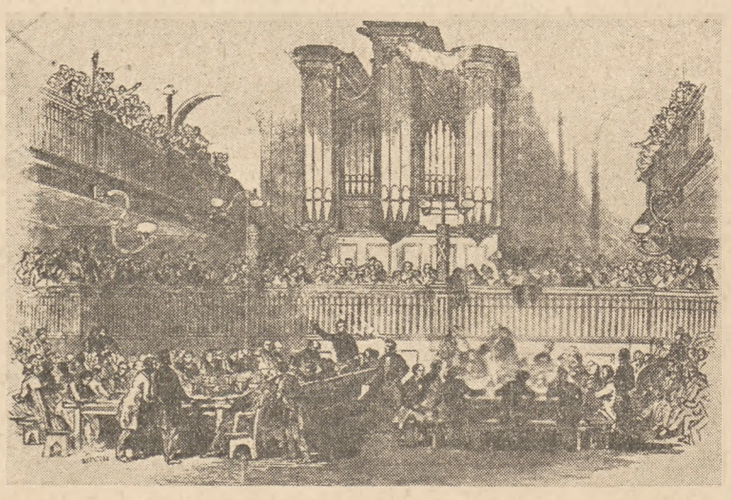

Układ chartystów na Fitzroy Square w Londynie

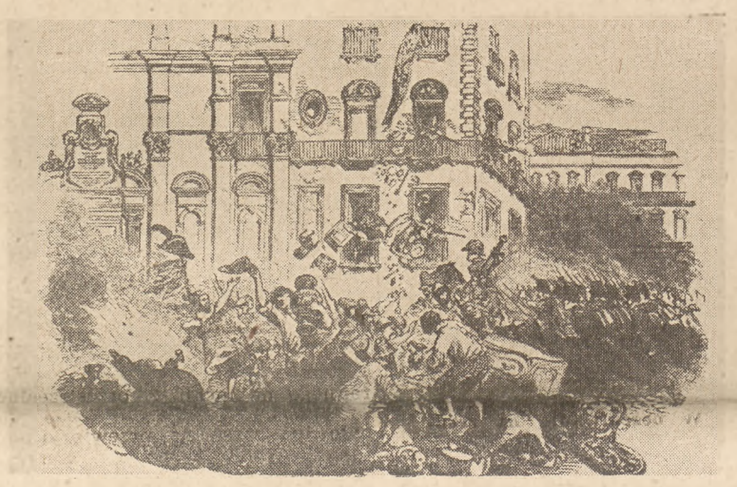

Łupienie Neapolu przez nędzarzy

Po rzezi, która trwała cztery doby, nastąpiła cisza i pokój znamienny dla stanu oblężenia; ulice były jeszcze okrążone, rzadko, bardzo rzadko, gdzieniegdzie pojawiał się powóz; wyniosła gwardia narodowa, z wściekłością i tępą złością na twarzy, strzegła swoich sklepików, grożąc bagnetem i kolbą; pijane, rozwesołone tłumy gwardii ruchomej włóczyły sie po bulwarach wyśpiewując „Mourir pour la patrie" chłopcy 16—17 letni chwalili się krwią swoich braci, która przyschła do ich ręki; mieszczki wybiegały zza lad, by obrzucać kwiatami zwycięzców. Cavaignac sam obwoził w swoim ekwipażu jakiegoś potwora, który zabił dziesiątki Francuzów. Burżuazja tryumfowała. A domy na przedmieściu św. Antoniego jeszcze dymiły; mury zburzone pociskami rozpadały się, obnażone wnętrza pokoi ukazywały rany; połamane meble tliły się, kawałki potłuczonych luster błyszczały... Lecz gdzież są gospodarze, mieszkańcy? O nich nikt już nie myślał... gdzieniegdzie zasypano piaskiem, ale krew mimo to występowała... Nie dopuszczano do Panteonu, rozbitego pociskami, na bulwarach stały namioty, konie ogryzały pielęgnowane drzewa na Polach Elizejskich; na place de la Concorde walało się siano, kirasjerskie łaty, siodła; w ogrodzie Tuileriów żołnierze gotowali pod sztachetami zupę. Paryż nie widział tego jeszcze, nawet w 1814 r.

Przeszło jeszcze kilka dni, i Paryż zaczął nabierać zwykłego wyglądu: tłumy świątecznych gapiów znowu pojawiły się na bulwarach; wystrojone damy wyjeżdżały w powozach i kabrioletach **oglądać** ruiny domów i ślady rozpaczliwych bojów... Tylko częste patrole i partie prowadzonych aresztantów, przypominały straszne dni. Wtedy dopiero jak gdyby zaczynano rozumieć co się przeżyło... U Byrona jest taki opis nocnego pobojowiska. Krwawe szczegóły ukryte w ciemnościach; o świcie, kiedy bitwa dawno się skończyła, widać jej ślady: klinga, pokrwawiona odzież. Ten oto świt nastawał teraz w duszy; oświecił straszne spustoszenie. Połowa nadziei, połowa wierzeń była zabita, myśli zaprzeczenia, rozpaczy chodziły po głowie, uszczały korzenie. Nie podobna było przypuszczać, żeby w duszy naszej, która przeszła przez tyle doświadczeń, przeżarta współczesnym sceptycyzmem — ażeby jeszcze było w niej tyle do wyniszczenia.

Po takich wstrząsach żywy człowiek nie jest już ten sam. Dusza jego staje się wtedy albo bardziej religijna, chwyta się z rozpaczą i uporem swoich wierzeń, w samej beznadziejności znajduje pocieszenie — i wtedy człowiek znowu zakwita, osmalony burzą, ze śmiercią w piersi. Albo z męstwem, zacinając się w sercu, pozbywa się ostatnich nadziei, staje się bardziej trzeźwy i nie zatrzymuje nawet ostatnich słabych liści, które unosi ostry jesienny wiatr.

Co jest lepsze? Domyśl się tu.

Jedno prowadzi do błogostanu szaleństwa, drugie — do nieszczęścia wiedzy.

Wybierajcie sami. Jedno jest niezwykle trwałe, ponieważ odbiera wszystko, drugie niczym nie jest zabezpieczone, za to dużo daje. Ja wybieram wiedzę, i niech mnie ona pozbawi ostatnich pocieszeń, pójdę jako nędzarz moralny w świat — lecz wyrwę z korzeniem dziecinne nadzieje, złudzenia młodzieńcze! Wszystko niech idzie pod sąd nieprzedajnego rozumu!

W człowieku tkwi nieustający rewolucyjny trybunał, tkwi bezwzględny Fouquet — Tinville i, co najważniejsze jest i gilotyna. Niebieski sędzia zasypia, gilotyna rdzewieje, to co kłamliwe, byłe, romantyczne, słabe podnosi głowę, zadomawia się i nagle jakiś dziki cios budzi zagapiony sąd, drzemiącego kata — wtedy rozpoczyna się okrutna rozprawa, najmniejsze ustępstwo, litość, współczucie ciągną z powrotem ku przeszłości ku łańcuchom! Nie ma wyboru: albo zabić i iść naprzód, albo ułaskawić i potknąć się na połowie drogi.

Kto z nas nie pamięta romansu swojej logiki, kto nie pamięta, jak w duszę po raz pierwszy wkradło się zwątpienie, pierwsza odwaga dociekania, jak ogarniała go coraz bardziej i docierała do najświętszych wartości duszy? To jest właśnie ów straszny sąd rozumu. Uśmiercać swoje wierzenia nie jest zaiste łatwo; trudno jest rozstawać się z myślami, z którymi się wyrosło, żyło, które nas upajały i pocieszały; złożyć z nich ofiarę — to wydaje się niewdzięcznością. Tak, ale tam, gdzie stoi trybunał, tam nie ma wdzięczności, tam nie zna się świętokradztwa i, jeżeli rewolucja jak Saturn zjada swoje dzieci, to zaprzeczenie jak Neron zabija swoją matkę, żeby odżegnać się od przeszłości. Ludzie boją się swojej logiki i porywczo wywoławszy przed jej sąd kościół i państwo, rodzinę i moralność, dobro i zło, pragną uratować strzępy, odpadki starego. Wyrzekając się chrześcijaństwa, zachować chcą nieśmiertelność duszy, idealizm, opatrzność. Ludzie, którzy dotąd szli razem, tutaj się rozstają: jedni idą na prawo, drudzy na lewo; jedni zamierają na półdrodze, jak bluny drogowe, wskazując ile się przeszło, drudzy porzucają ostatnie brzemię przeszłości i odważnie idą naprzód. Gdy się przechodzi ze starego świata do nowego, niczego z sobą wziąć nie można.

Rozum jest bezlitosny jak Konwent, nieprzyjemny i surowy; nie zatrzymuje się nigdzie i ciągnie na ławę podsądnych najwyższe istnienia—dla dobrego króla teologii nastaje dzień 21 stycznia[2]). Proces ten, jak proces Ludwika XVI — jest próbnym kamieniem dla żyrondystów: wszystko co słabe, połowiczne, albo ucieka albo kłamie, nie głosuje albo głosuje bez wiary. A tymczasem ludzie, którzy ferowali wyrok, myślą, że po straceniu króla nie ma już co uśmiercać, że od 22 stycznia mają republikę gotową i szczęśliwą. Jak gdyby dość było ateizmu, żeby nie mieć religii, jak gdyby dość było zabić Ludwika XVI, żeby nie było monarchii. Zadziwiające podobieństwo fenomenologii terroru i logiki. Terror właśnie się zaczął po straceniu króla, w ślad za nim stanęli na pomoście szlachetni młodziankowie rewolucji, świetni, wymowni, słabi. Szkoda ich, ale uratować nie można i potoczyły się ich głowy, a po nich głowa Dantona i głowa ulubieńca rewolucji Kamila Desmoulin. Ale teraz, teraz ostatecznie to chyba już koniec? Nie, teraz kolej na nieprzedajnych oprawców, straceni będą i oni za to, że wierzyli w możliwość demokracji we Francji, za to, że uśmiercali w imię równości, straceni jak Anarchis Kloots marzący o braterstwie narodów w przededniu epoki napoleońskiej, niewiele lat przed Kongresem wiedeńskim.

Nie będzie dla świata wolności, póki wszystko co religijne polityczne nie zamieni się w ludzkie, proste, podlegające krytyce i zaprzeczeniu. Zmężniała logika nienawidzi kanonizowanej prawdy, ze stanu anielskiego przenosi ją w ludzki, ze świętych tajemnic czyni prawdy oczywiste, nic dla niej nie jest nietykalne, i jeżeli republika przyswaja sobie te same prawa co monarchia — pogardza nią, jak monarchią, ależ nie, pogardza nią o wiele bardziej. Monarchia nie ma sensu, trzyma się jedynie przemocą, zaś przy nazwie „republika" serce bije mocniej: monarchia jest sama w sobie religią, republika nie ma mistycznych pretekstów, nie ma prawa boskiego, stoi na równi z nami na jednym poziomie. To za mało nienawidzieć korony, trzeba też przestać czcić i frygijską czapkę: to za mało nie uważać za przestępstwo obrazę majestatu, trzeba móc uznawać za przestępstwo i salus populi. Już czas, aby człowiek zawezwał przed sąd republikę, ustawodawstwo, parlamentaryzm, wszystkie pojęcia o obywatelu i o jego stosunku do współobywateli i do państwa. Cała Francja, cała Europa powinna zasiąść na ławie oskarżonych. Wyroków będzie dużo: trzeba dzie złożyć ofiarę bliskich i drogich — niewielkaż to zasługa poświęcać to, czego nienawidzimy! W tym rzecz, żeby oddać to, co nam drogie, jeśli się przekonywujemy, że nie jest prawdziwe. I to jest nasza najistotniejsza sprawa. Nie jesteśmy powołani, żeby zbierać owoce, lecz aby być katami przeszłości, karać, prześladować, poznawać ją we wszystkich przebraniach i składać jako ofiarę dla przyszłości. Ona w istocie tryumfuje, zgubimy ją w idei, w przekonaniu, w imię ludzkiej myśli. Nie ma co robić ustępstw; trójkolorowy sztandar ustępstw za bardzo jest zabrukany — długo nie obeschnie z krwi czerwcowej. I kogo, w rzeczy samej, oszczędzać? Wszystkie elementy zachwianej równowagi ukazują się w swej żałosnej niedorzeczności, w całym odpychającym swoim szaleństwie. Co mamy szanować? Czyżby Rząd Narodowy? Czego wam szkoda? Może Paryża?

Przez trzy miesiące ludzie wybrani w powszechnym głosowaniu, wybrańcy całej ziemi francuskiej, nic nie robili i nagle wyprostowali się, żeby dać światu widowisko niebywałe — ośmiuset mężów, działających jako jeden zbrodniarz, jako jeden potwór. Krew lała się rzeką, a oni nie znaleźli słowa miłości, pojednania; wszystko co wspaniałomyślne, ludzkie tonęło w wyciu pomsty i nienawiści, głos konającego biskupa Affre nie potrafił wzruszyć tego wielogłowego Kaligulę, Bourbona, rozmienionego na miedziaki. Przycisnęli do serca gwardię narodową, która rozstrzeliwała nieuzbrojonych. Błogosławili Cavaignaca, i Cavaignac płakał z rozrzewnienia, wykonawszy wszystkie zbrodnie, wskazane mu adwokackim palcem deputatowanych. A groźna mniejszość przyczaiła się; Góra ukryła się za obłokami, rada, że jej nie rozstrzelali, nie wytracili w lochach; milcząc patrzała, jak rozbraja się obywateli, jak uchwala się deportacje, jak wtrąca się ludzi do więzień za byle co — za to, że nie strzelali do swoich braci.

Morderstwo w tych strasznych dniach stało się powinnością: człowiek, który nie umyczał sobie rąk w krwi proletariackiej, był podejrzany w oczach mieszczucha. Przynajmniej tamta większość miała odwagę stać się mordercą. Ale ci żałośni przyjaciele narodu, oratorzy, puste serca!... Jeden tylko jedyny męski płacz, jedno wielkie oburzenie odezwało się, ale i to spoza Izby. Mroczne przekleństwo starca Lamennais zawisło nad głowami bezdusznych kanibalów i wystąpił na czołach małodusznych, którzy wypowiedziawszy słowo „republika" przelękli się jej sensu.

Paryż! Jak długo imię to było gwiazdą przewodnią narodów; kto go nie kochał, kto mu nie składał hołdu? Lecz czas jego przeminął, niechże zejdzie ze sceny. W tych czerwcowych dniach zawiązał on wielką walkę, której już nie zdoła rozwiązać. Paryż zestarzał się, i marzenia młodzieńcze już nie dla niego, żeby się ożywił, na to trzeba silnych wstrząsów, nocy św. Bartłomieja, dni wrześniowych[3]). Ale czerwcowe okropności nie ożywiły go. Skądże zgrzybiały wampir zdobędzie znowu krwi, krwi sprawiedliwych, tej krwi, która 26 czerwca odbijała blaski płomyków, zapalonych przez tryumfujących mieszczan. Paryż lubił zabawę w żołnierzy: kreował cesarza z żołnierza udałego; bił brawo morderstwom, które nazywał zwycięstwem, wznosił pomniki; mieszczańską figurę małego kaprala postawił na kolumnie; z pietyzmem sprowadzał prochy krzewiciela niewolnictwa. A i teraz pragnął znaleźć w żołnierzach kotwicę ocalenia przed wolnością i równością: zawezwał dzikie hordy zdziczałych Afrykanów przeciwko braci swojej, żeby się tylko z nimi nie dzielić, i pozarzynał ich bezduszną ręką morderców z rzemiosła. Niechże dźwiga na sobie następstwa swoich spraw, swoich pomyłek... Paryż rozstrzeliwał bez sądu... Co wyniknie z jej krwi? — Kto może wiedzieć! Ale cokolwiek wyniknie, wystarczy, że w tym wybuchu wściekłości, pomsty, skłócenia, odwetu zginie świat, uciskający nowego człowieka, przeszkadzający mu żyć, przeszkadzający przyszłości — ano i dobrze tak, a przeto: niech żyje chaos i zniszczenie!

Vive la mort!

I niech zatryumfuje przyszłość!

Paryż, 27 lipca 1848.

Zdobywanie arsenału w Berlinie

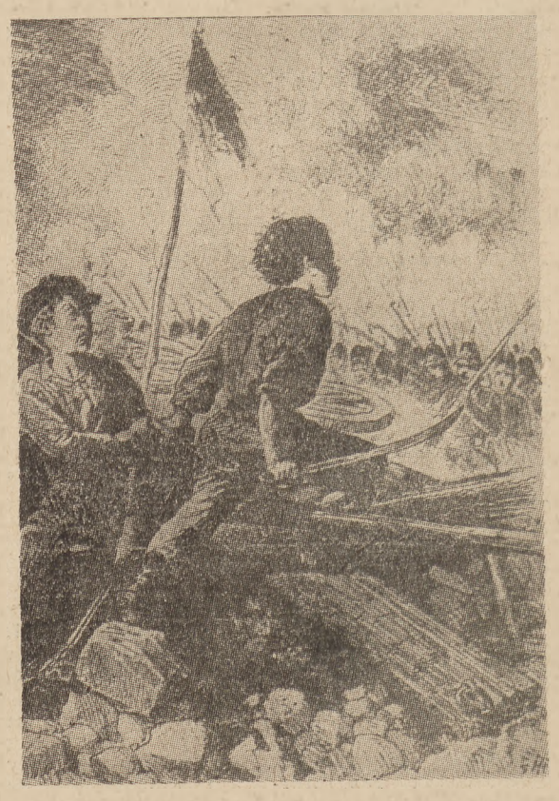

Młodzież proletariacka na barykadach

---

*)A. I. Hercen: Izbrannyje fiłosofskije proizwedienia. Szkic „Po burzy" tłumaczyła O. W.

[1]) Rachel — znakomita artystka dramatyczna (1811 — 1858).

[2]) 21 stycznia 1793 został stracony Ludwik XVI.

[3]) Wrzesień 1792, kiedy tłum paryski rozprawił się z więźniami rojalistami.

Już wyszła z druku książka: K 20-1

JULJUSZ KOLIPIŃSKI

GRANICA POKOJU

Cena 400.— złotych

do nabycia we wszystkich księgarniach

Wydawnictwo Zachodnie, Poznań, Chełmońskiego 1

KOMENTARZ

ALEKSANDER WAT

Błahy komentarz do rzeczy wielkich

Jest z tym komentarzem trochę jak w znanej anegdocie: „Słoń a Polska".

❖

Był rok 1848 i wiosna — tego roku wyjątkowo wczesna — była „wiosną ludów". Był wstrząs, który szarpnął Europą od brzegu do brzegu, niby ogromne zjawisko przyrodnicze. Był czerwony sztandar wzniesiony 23 lutego na barykadach Paryża, pierwszy sygnał, początek europejskiego trzęsienia ziemi które zachwiało tronami i tyraniami, rzuciło mrowie wydziedziczonych na place Mediolanu i Berlina, Wiednia i Zagrzebia, Neapolu i Pragi, miast i miasteczek Polski i Węgier. Już „widmo krążyło po Europie — widmo komunizmu". Było powstanie czerwcowe w Paryżu, „pierwsza wielka bitwa proletariatu z burżuazją" — ta jak gdyby generalna próba wielkich przemian, które miały nastąpić z kilkudziesięcioletnim opóźnieniem, tym razem już zwycięskie, z rewolucją październikową po pierwszej wojnie światowej, z „zarazą" demokracyj ludowych po drugiej. Była wreszcie porażka i rzeź czerwcowa w Paryżu i w ślad za nią pacyfikacja Węgier, Polski i Włoch, represje, reakcja, hańba frankfurckich Niemiec, i właśnie rozpoczynał się długotrwały okres niepodzielnego panowania, bogacenia się i tryumfu burżuazji, z tak znamienną apoteozą — festynami pierwszej Wystawy Powszechnej w Londynie w r. 1851.

I w tym to roku 1848, przełomowym, tragicznym, prekursorskim[1].) szukać tylko argumentów do dyskusji na temat problematyki literackiej?! Historyk, polityk, nawet byle dziennikarz wertuje księgę wypadków, aby odtworzyć ich treść w autentycznym jej kształcie i barwie, aby wyśledzić jej rytmy i zwroty, ciągłość i skoki, aby wykryć prawa jej ruchu, aby zmierzyć rozpiętość i siłę jej falowania, ustalić miejsce, punkt wyjścia, kierunek i metę, aby badać jak geolog przesunięcia i przekształcenia tektoniczne społeczeństw, aby wyciągnąć podobieństwa i różnice i przymierzyć do czasów obecnych. A literat będzie szukał w niej klucza do zrozumienia stosunku opisu literackiego do rzeczywistości!... Co za uprzykrzony fach!

❖

Są w historii okresy zgęszczenia, kiedy magma[2]) historyczna kotłuje, piętrzy się, jak Pelion na Ossę. Okresy zadyszki, nagłych przyśpieszeń, gwałtownego rozruchu. Odnajdziesz je w faktach i skutkach, w pamięci pokoleń, w dokumentach i gazetach, w odmianach obyczajowości, ba! nawet w żurnalach mód. I stwierdzasz czasem ze zdziwieniem, że ten czy ów z intensywnych krwistych okresów dziejowych znajduje w literaturze pięknej najsłabsze zaledwie odbicie. Zgęszczeniu historii odpowiada wtedy rozrzedzenie materii literackiej.

Co w istocie sprawia, że epoka historycznie nasycona raz wywołuje gwałtowne poruszenie w literaturze, innym razem ledwo ją muśnie? Gdyby literatura była zwierciadłem życia, niezawodnie istniałby tu jakiś konsonans[3]), zgodność bezpośrednia i prosta. Ale daremnie szukasz prawidłowości. Często zawodzi nawet popularna reguła: „inter arma silent musae", cóż dopiero teoria „ucukrzonej figi", lub twierdzenie Wiktora Hugo, poręczone przykładem Wergiliusza, Dantego Miltona, Corneille'a, Chateaubrianda, że wielcy poeci przychodzą po wielkich klęskach publicznych. Jakie w istocie są przyczyny, że np. epopeja napoleońska wywołała wstrząs w literaturze bezprzykładny, że wciągnęła w orbitę swego wpływu największych: Stendhala i Balzaka, Schillera i Heinego, Goethego i Beethovena, Mickiewicza i młodego Puszkina i tylu późniejszych — aż po nasze dni, gdy natomiast rok 1848, krótkotrwały, lecz wstrząsający w swej tragicznej wymowie, przełomowy, otwierający nowe perspektywy, wprowadzający na scenę dziejową nowego, potężnego protagonistę[4]), na razie widmo jeszcze, ale które już walczy i krwawi, stopniowo materializuje się i wywalcza sobie przyszłość — gdy dramatyczny rok ów zaledwie kreśli się w pośrednich lirykach Sandora Petöfi i Freiligratha, na kilku dziesięciu stronicach Flauberta, w publicystyce pisarzy polskich i Hercena, w prywatnej korespondencji Mériméego, w pośmiertnie wydanym pamiętniku Wiktora Hugo — i niewiele zapewne więcej? Nawet Heine tak obszernie rozpisujący się o rewolucji lipcowej, tak szczegółowo i przenikliwie relacjonujący wszystko, co się w Paryżu dzieje, wybory i debaty parlamentarne, plotki salonowe i polityczne salony malarskie, koszary, gryzetki, machinacje polityczne, pierwsze koleje żelazne, posiedzenia Akademii, filozofię Cousina oraz profil i uda Georges Sand, koncerty Chopina i Kątskiego, reformę więziennictwa, wpływ sytuacji politycznej na twórczość dramatyczną itd., itd.; nawet ten jasnowidzący Heine, który tak wymownie maluje strach burżuazji przed komunizmem i rewolucją światową (w roku 1842, na pięć lat przed „Manifestem Komunistycznym") — on, tak uroczo przewidujący i proroczy — („wojna zniszczy Francję i Niemcy; to byłby pierwszy akt; drugi—to europejska rewolucja światowa, w której traci wszelkie znaczenie narodowość i wyznanie:... twarde nastaną czasy, i prorok, który chciałby napisać nową Apokalipsę, musiałby wymyślić nowe bestie, wobec których symbole św. Jana będą jak łagodne gołębice i amoretki. Przyszłość cuchnie juchtą, krwią, bezbożnictwem i wielu plagami. Radzę naszym wnukom, aby się urodzili z bardzo twardą skórą na grzbiecie — („Französische Zustände") — nawet diabelnie mądry Heine poświęca rewolucji lutowej dwie zaledwie stroniczki, aby poskarżyć się na zgiełk, który przyprawia go o migrenę, puścić kilka dowcipów i zaświadczyć, że motłoch paryski niszczył, ale nie rabował.

Więc może jednak działa tu w istocie dobór klasowy? I on to może sprawia, że gdy widmo „nowej klasy" nabrało krwi i ciała, gdy upomniało się groźnie o swoje prawa, wtedy milczą, jeśli nie złorzeczą, pisarze klas zagrożonych?

❖

Trzy teksty, które zostały tu czytelnikowi przedstawione, zgodne w temacie, różnią się w gatunku literackim, a także metodą i stylem.

Wiktora Hugo fragmenty z „Choses vues" to kartki z pamiętnika, ogłoszonego kilkanaście lat po śmierci, notatki z dnia na dzień, o tyle prawdziwe i szczere, o ile mogą być szczere pośmiertne wyznania genialnego kabotyna — romantyka.

Tekst drugi, okaleczony wymaganymi w tygodniku skrótami, to fragment z „l'Education sentimentale" Gustawa Flauberta, wielkiego realisty, ojca historycznej szkoły realizmu powieściowego. Jest to chyba jedno ze szczytowych osiągnięć realistycznego obiektywizmu i choć pisane w 20 lat po wypadkach, odtwarza je z najwyższą zapewne wiernością wobec pamięci własnej i wiarogodnych świadectw.

Wreszcie trzeci tekst „Po burzy" Aleksandra Hercena, rosyjskiego emigranta, rewolucjonisty, to artykuł pisany na gorąco — nie artykuł, lecz „płacz", amorficzna[5]) jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, mieszanina impresyj i refleksyj, publicystyka z gorącym ładunkiem uczuć.

Przeczytajcie uważnie te trzy teksty, zestawcie je, porównajcie ich styl, obrazy, wrażenie, jakie wywierają.

Przyjrzyjcie się przede wszystkim, jak wielki romantyczny epik notuje dla siebie wielkie wydarzenia historyczne: ile razy występuje jego własne „ja", jak dessynuje[6].) się on szlachetnie i mądrze, jak wypadki historyczne stają się nieomal tłem dla jego szlachetności i mądrości, jak rezolutnie przemawia i perswaduje, i jak go — wielkiego człowieka — czci i szanuje poczciwy lud. To Henryk Heine mówi o nim: „Hugo jest egoistą, a raczej, żeby powiedzieć rzecz najgorszą — jest *hugoistą*". Przyjrzyjcie się, jaki jest na razie — w dniach lutowych — umiarkowany i obiektywny, zatroskany o przyszłość, wierny wobec złożonej przysięgi, wobec konstytucyjnej monarchii, choć wierzy, że „rzeczpospolita uniwersalna będzie ostatnim słowem postępu" — ale nie teraz, jeszcze nie prędko! Jak jest litościwy i wspaniałomyślny dla kochanego ludu, ale uchyla się od wszelkiego uczestnictwa. I zwróćcie uwagę na nagłą utratę temperamentu, na rozpaczną utratę owej pobłażliwej stateczności w dniach czerwcowych proletariackiego buntu. Dowiaduje się że mu dom spalili, śpieszy do Lamartine'a traci kontenans[7]), domaga się nerwowo natychmiastowej akcji wojska, jak najwięcej wojska, bo Francja i „nie tylko Francja, ale i cywilizacja w ogóle" zagrożona jest przez bunt plebsu. Jak złośliwie podgląda teraz słabość i nicość Lamartine'a, jeszcze niedawno „geniusza", kolegi po piórze. Gdy mu powtórnie oznajmiają, że rodzina ocalała, ale dom spłonął, — „to najmniejsza" — odpowiada, aby otrzymać za to uścisk dłoni i sentencję: „Rozumiem pana. Powinniśmy teraz myśleć o jednej tylko rzeczy, o ocaleniu ojczyzny".

Zresztą cały ten opis jest świetny, szeroki, pełen życia i ruchu, bez ornamentyki i patetyki jego utworów powieściowych. Nie jest to jeszcze autor „Ostatniego dnia skazańca" czy „Nędzników", z melodramatem, odegranym na barykadach — w guście romansów wyciskających łzy z czułych oczu — gdzie ginie bohaterski urwis Gavroche i biedna zakochana Eponina, gdzie szlachetny nawrócony Jean Valjean daruje życie swemu wieloletniemu prześladowcy. Melodramat — zauważmy to sobie — rozgrywa się nie na tragicznych barykadach 1848, byłoby to rozdrapywanie zbyt świeżych — po 14 latach — ran, podrażniłoby mieszczanina panującego we Francji Drugiego Cesarstwa, owych poczciwych „bri-mri"[8]) i sentymentalnych „ma biche"[9]), których w obfitości ogromnej dostrzegł w ówczesnym Paryżu ponury przybysz ze Wschodu, Fedor Dostojewski. Rozmieszcza więc Hugo swoje obserwacje z 1848 na barykadach stosunkowo błahej i nieszkodliwej ruchawki w czerwcu 1832.

Ale nie jest to też autor zbiorku „Ody", gdzie w kolejnych przedmowach z roku 1822 i 1824 pisze o swoich współczesnych: „Społeczeństwo, które jeszcze chwiejąc się na nogach, ledwo wychodzi z saturnaliów ateizmu i anarchii"; „społeczeństwo, zrodzone z rewolucji, miało swoją szkaradną literaturę— teraz już martwą. Porządek zapanował już w instytucjach, odrodzi się i w literaturze". Ciekawy to zresztą — nawiasem mówiąc — dokument, te przedmowy i smutnie świadczą o omylności sądów wielkich pisarzy. Pisze na przykład Hugo o współczesnej sobie generacji pisarskiej: „Podobnie jak sofiści i déréglés (amorficzni!), Voltaire, Diderot i Helvetius wyrażali późniejsze innowacje społeczne, tak obecna literatura (romantyczna) jest antycypacją[10]) i wyrazem religijnego i monarchicznego społeczeństwa, które niewątpliwie wyjrzy spośród tylu starych rumowisk i tylu świeżych ruin". I dalej: „Powołaniem poetów jest naprawa zła, sprawionego przez *sofistów*".

W roku 1848 Hugo ma lat 46, od trzech lat jest parem Francji. Oto jak go w owym czasie charakteryzuje bystry i złośliwy obserwator Henryk Heine: „...jest zakłamany, w tym samym wierszu pierwsza połowa usiłuje okłamać drugą. Jest na wskroś zimny... zimny nawet w swoich najbardziej namiętnych wybuchach; jego natchnienia są tylko fantasmagorią[11]), kalkułem[12]) bez miłości — owszem on kocha, ale tylko siebie samego... Ktoś powiedział o nim „c'est un beau bossu" — w duszy jest garbaty". Heine dowiedział się zresztą od jego wydawcy (nie ma się tajemnic przed wydawcą), że w rzeczy samej Hugo jest ułomny: ma pono krzywy bok.

Aby skończyć z tym tekstem, przypomnijmy sobie jeszcze jeden obraz — jeden z „centralnych" — i spinającą go jak klamra sentencję: te dwie dziewczyny uliczne, które zginęły na barykadzie. Czy są prawdziwe, wzięte z życia? — być może! Wydaje się jednak nieco podejrzane podobieństwo do znanej historii o którejś — jeśli mnie pamięć nie myli — z Malatestów, która podczas oblężenia, gdy nieprzyjaciel groził, że zgładzi jej dwu wziętych do niewoli synów, krzyknęła z murów miejskich, unosząc do góry spódnicę: „Zabijcie ich, oto forma, w której odleję nowych bohaterów". Przypowieść o dwóch dziewczynach publicznych kończy się sentencją, streszczającą małą filozofię wielkiego mieszczucha: „Jest coś ohydnego w tym heroizmie obrzydliwości, w tej cywilizacji, napastowanej przez cynizm a bronionej przez barbarzyństwo".

❖

Dziewczyna uliczna jako jeden z „centralnych obrazów" — znajdziemy ją również i w drugim tekście, wziętym z powieści „l'Éducation sentimentale" Gustawa Flauberta. Mieczennik realizmu, jak go nazywa Parandowski, doprowadzający opis i obiektywizm do ejdetycznego[13]) jasnowidzenia, po całodziennym żmudnym trudzie znajdujący czasem zaledwie dwa — trzy zdania, zasiedziały w swojej pracy: „On ne peut penser et écrire qu'assis" — tę maksymę wymawiał mu zgryźliwie Fryderyk Nietzsche — rozczarowany aż do szpiku, zgorzkniały bez reszty, katastrofista avant la lettre, jadowity łowca komunałów, złośliwy amator „peinture des imbéciles", które pod schyłek życia rozszerzy w szatański pamflet na kulturę w „Buvard i Pécuchet" — i on tutaj, w tej napoły autobiograficznej powieści, nie unikał symbolicznych obrazów i syntetycznych sentencyj. Przypomnijcie sobie młodzieńca, który biegnie z miną somnambulika, lub absurdalnego starca w czarnym surducie na białym koniu, z gałązką w jednej i papierem w drugiej ręce.

I chyba najważniejszy obraz: owego proletariusza na tronie, z czarną brodą, z rozchełstaną koszulą, „z miną pogodną i bezmyślną, niby bałwan" („Co za mit, oto władztwo ludu"). I zaraz obok dziewka uliczna na stosie odzieży „niby posąg Wolności — nieruchoma, z szeroko otwartymi oczyma przerażająca". Absurdalność, biologiczne przyczyny zapału Fryderyka, przypadkowość roli, jaka przypada jednostce w wydarzeniach masowych, przypadkowa przeplatanka spraw i popędów osobistych i wydarzeń publicznych: oto subiekt Dussardier dokazuje cudów waleczności raz na barykadzie, drugi raz przeciw barykadzie, sam nie wiedząc dlaczego. W jednym tylko miejscu znajdujemy liryczny akcent, działający jak wstawka muzyczna: „W otwartym oknie jakiś starzec, bez surduta, płakał wznosząc ku górze oczy". I gdzieniegdzie tak rzadki u Flauberta osobisty komentarz (ni to Fryderyka, ni to autora): „Stanowiło to ruchliwe widowisko, niezmiernie *ucieszne*", „wył jakiś zbłąkany pies. Było to *śmieszne*" — jakże szyderczo brzmi on w tym kontekście!

Zatrzymajmy się jeszcze przy końcowym fragmencie — aby dać miarę pogardy autora, jego odrazy, spójrzmy na tryumfującą kanalię, na tego ciułacza z prowincji, który spokojnie zabija umęczonego więźnia, proszącego o chleb, a niedługo potem na widok strapionej miłosnym zawodem córki mdleje — z nadmiaru wrażliwości.

❖

Nie dziewka uliczna, jak u tamtych mistrzów, ale Marsylianka, śpiewana przez wielką aktorkę Rachel, jest „centralnym obrazem" artykułu Aleksandra Hercena, emigranta, kosmopolity, rewolucjonisty, jednego z najpiękniejszych umysłów i charakterów owych czasów — umysłu wykształconego w sceptycyzmie, charakteru zapalczywego w szlachetności. Nie artykuł to — płacz najgłębszego bólu, krzyk gniewu, nienawiści i pomsty, myśli gorące w chwili, gdy się rodzą z najgłębszej namiętności, złorzeczenia, które przejmują dreszczem, słowa nieostygające.

❖

Przyjrzyjmy się uważnie tym trzem różnym tekstom o jednej rzeczywistości: kartkom z pośmiertnego pamiętnika wielkiego romantyka, powieściowemu opisowi wielkiego realisty i impresyjnemu artykułowi rewolucjonisty.

Błahe i małoważne wydają się w tym zestawieniu różnice rodzajów literackich (pamiętnik, powieść, publicystyka), różnice szkół i metod literackich. Co innego decyduje niemal wyłącznie: osobisty stosunek autora, stopień jego „zaangażowania", jak to dzisiaj nazywamy, ładunek myśli i uczuć ich kierunek, sam autor w swojej osobowości i dążeniach. Jeżeli styl to człowiek — a mądrą tę prawdę odkrył nie krytyk, lecz naturalista Buffon — to normą dla pisarza jest nie taki czy inny przepis realizmu czy psychologizmu, lecz po prostu: być człowiekiem, to znaczy żyć, angażować się, do czegoś dążyć, czegoś chcieć, o coś walczyć, z powodu czegoś radować się i cierpieć.

Tak się zdarzyło, że w ostatnich czasach przeglądałem szereg powieści dziś zapomnianych i wydaje mi się, że natrafiłem na jeden — zapewne nie najważniejszy — z sekretów długotrwałości, ściślej mówiąc, trwałej czytelności książek. Jest nią, jak mi się zdaje, wbrew propagowanej przez szkoły realistyczne obiektywizacji, właśnie zdecydowany subiektywizm, gdy pod taką czy inną, najczęściej zwietrzałą, czasem uprzykrzoną formą wyczuwa się gwałtowną pulsację, osobisty temperament, osobowość autora. Bo człowiek i jego zmagania zawsze nas będą interesować. Chłód, obiektywizacja mogą panować trwale i naturaliter na najwyższych szczytach sztuki, ale już poniżej wszystko, co z chłodu, podlega odmianie pór, przemija szybko.

I jeżeli literatura to świat oglądany „przez pryzmat temperamentu", to rodzaj literacki i forma są ważne tylko dla autora, i to o tyle tylko, o ile mają nadać pryzmatowi jego temperamentu kształt i szlifunek dla niego najstosowniejszy. Lecz cóż to może obchodzić czytelnika?

Ale o tym kiedyindziej.

Aleksander Wat

KOMENTARZ REDAKCJI

[1]) *prekursorski* — poprzedzający, przyszłościowy;

[2]) *magma* — masa ognistociekła, wydobywająca się z głębin ziemi — tu: treść istotna;

[3]) *konsonans* — zgodne brzmienie;

[4]) *protagonista* — walczący w pierwszym szeregu;

[5]) *amorficzna* — bezpostaciowa, bezkształtna;

[6]) *desynuje* — rysuje — tu: gra wobec siebie;

[7]) *kontenans* — panowanie nad sobą;

[8]) *„bri-bri"* — pieszczotliwe wyrażenie;

[9]) *„ma biche"* — pieszczotliwe wyrażenie;

[10]) *antycypacja* — uprzedzenie zdarzeń i słów;

[11]) *fantasmagoria* — urojenie;

[12]) *kalkuł* — wyrachowanie;

[13]) *ejdetyczna wyobraźnia* — ludzie obdarzeni nią zdolni są widzieć w wyobraźni przedmioty z całą wyrazistością.

Rzeczy widziane

(Dokończenie ze str. trzynastej)

Gdym obwieścił Regencję księżnej Orleańskiej, ozwały się gwałtowne protesty: — Nie! nie! Nie chcemy Regencji! Precz z Bourbonami! Ani króla, ani królowej! Nie chcemy panów!

Odpowiedziałem:

— Nie chcecie panów! I ja ich nie chcę, na równi z wami; broniłem całe życie wolności...

— Czemu więc ogłaszasz Regencję?

— Bo Regentka nie jest panem. Zresztą nie mam żadnego prawa proklamowania Regencji, obwieszczam ją tylko.

— Nie! Nie! Nie chcemy Regencji!

Jakiś człowiek w bluzie zawołał:

— Milczeć, panie parze Francji! Precz z parami Francji! — I zaczął mierzyć do mnie ze strzelby.

Patrzyłem mu bystro w oczy i podniosłem głos tak silnie, że w tłumie przycichło:

— Tak, jestem parem Francji, i nie mówię jako par Francji. Przysiągłem wierność nie jednej osobie królewskiej, lecz monarchii konstytucyjnej. Dopóki nowy rząd nie będzie ustalony, obowiązkiem moim jest być wiernym temu, jaki jest. A sądziłem zawsze, że lud nie pochwala tych, którzy zdradzają swoje obowiązki!

Rozszedł się wkoło mnie szmer uznania, a nawet tu i ówdzie klaśnięto w dłonie. Lecz gdy chciałem mówić dalej:

— Jeśli Regencja... — Zaprzeczenia podwoiły się.

— Nie chcecie Regencji? A więc co? Nic nie jest gotowe, nic! Jest to przewrót zupełny, ruina, nędza, wojna domowa może; w każdym razie nikt nie wie, co będzie...

W tym miejscu odezwał się jeden głos, jeden jedyny:

— Niech żyje Republika! — Ale nikt za nim tego okrzyku nie powtórzył.

Biedny ten wielki lud, nieświadomy i ślepy! Wie, czego nie chce; ale nie wie, co chce!

W tej chwili hałas, krzyki, pogróżki doszły do takiej siły, że zrezygnowałem z dalszego ciągu mowy. Zaledwieśmy jednak odeszli ze dwadzieścia kroków od kolumny, człowiek, który mi przedtem groził strzelbą, wziął mnie znów na cel, wołając: — Śmierć parowi Francji!

— Nie! szanuj wielkiego człowieka! — zawołał jakiś młody rzemieślnik i szarpnął strzelbą ku ziemi.

Podziękowałem z dala ręką temu nieznanemu przyjacielowi i poszliśmy dalej.

❖

Czas był ponury i chmurny, ale bez wiatru i deszczu. Ulice przepełnione ludnością, ożywioną i radosną. Mimo to podwójnie gorliwie pracowano nad umocnieniem barykad i nad budową nowych. Bandy, z bębnami i sztandarami, krążyły bez ustanku wołając: Niech żyje Rzeczpospolita! i śpiewając Marsyliankę lub Mourir pour la patrie! Kawiarnie przepełnione, ale wiele sklepów zamkniętych, jak w święto; i w samej rzeczy wszystko miało pozór świąteczny.

Przy samym Ratuszu tłum tak dalece się zacisnął, że nie mógł krążyć. Nie podobna było przecisnąć się do schodów. Po bezskutecznych próbach, gdym już chciał zrezygnować, zostałem spostrzeżony przez p. Froment-Meurice. Był komendantem gwardii narodowej, na służbie. Mówię mu o moim kłopocie.

— Miejsca! — zawołał z właściwą mu powagą. — Miejsca dla Wiktora Hugo!

I mur ludzki rozstąpił się, nie wiem doprawdy jakim cudem.

Widząc nas przechodzących, jakiś człowiek wysunął się z gromady:

— Obywatelu Wiktorze Hugo! wołaj: Niech żyje Republika!

— Nie wołam nic na rozkaz — odrzekłem — Rozumiesz pan wolność? Ja korzystam z niej i zawołam dziś: niech żyje lud! bo tak mi się podoba. Jeśli kiedy wydam okrzyk: niech żyje Republika! to znaczy, że wówczas tak mi się będzie podobało.

— Ma rację! Bardzo dobrze powiedział! — mruknęło kilka głosów.

Przeszliśmy. Po dłuższej krętaninie p. Meurice wprowadził nas do małego pokoju i odszedł powiadomić o moim przyjściu Lamartine'a.

Lamartine podniósł się na moje spotkanie. Podszedł parę kroków ku mnie, wyciągając rękę:

— A! przychodzi pan do nas, panie Wiktorze Hugo! Chlubna to zdobycz dla Republiki.

— Nie tak szybko! mój przyjacielu — odrzekłem śmiejąc się. — Przychodzę po prostu do mego przyjaciela Lamartine'a. Nie wie pan może, że wczoraj, gdyś zwalczał Regencję w Izbie, ja broniłem jej na placu Bastylii.

— Wczoraj, dobrze; ale dziś! Nie ma już ani Regencji, ani Monarchii. Nie podobna, żeby w gruncie rzeczy Wiktor Hugo nie był republikaninem!

— W zasadzie tak, jestem nim. Rzeczpospolita jest, moim zdaniem, jedynie racjonalnym rządem, jedynym, godnym narodów. Rzeczpospolita uniwersalna będzie ostatnim słowem postępu. Ale czy godzina jej wybiła dla Francji? Właśnie dlatego, że pragnę Republiki, pragnę, żeby była trwała, żeby była stanowcza. Zapytacie się narodu, prawda? całego narodu?

— Tak jest, całego narodu, niewątpliwie. W rządzie tymczasowym oświadczyliśmy się wszyscy za głosowaniem powszechnym.

W tej chwili Arago zbliżył się do nas z Marrastem, trzymającym zwój papieru.

— Mój drogi przyjacielu — rzekł Lamartine — wiedz, że my pana mianowali dziś rano merem waszego okręgu...

— Dziękuję wam — odrzekłem — ale nie mogę przyjąć.

— Dlaczego? — spytał Arago — są to obowiązki niepolityczne i całkiem bezpłatne.

— Przed chwilą dowiedzieliśmy się o zamiarze buntu w więzieniu przy ulicy św. Antoniego — wtrącił Lamartine. — Postąpiłeś pan lepiej, niż gdybyś był uśmierzył bunt, boś mu zapobiegł. Jesteś kochany i szanowany w swoim okręgu.

Mój wpływ jest czysto moralny — odrzekłem — i mógłby tylko stracić, stawszy się urzędowym.

Lamartine i Arago nalegali:

— Nie odmawiaj nam pan przyjęcia dyplomu.

— A więc — rzekłem — przyjmuję go dla autografów; ale pozwolicie, że zachowam go w kieszeni.

— Dobrze, zachowaj go pan — wtrącił, śmiejąc się Marrast — ażebyś mógł powiedzieć, że z dnia na dzień byłeś parem i merem.

Lamartine pociągnął mnie ku oknu.

— Chciałem ja dla pana nie merostwa, ale ministerstwa. Wiktor Hugo ministrem oświecenia publicznego Rzeczypospolitej! No i cóż, skoro pan mówi, że jestem republikaninem!

— Republikaninem... w zasadzie. Rzeczywiście, byłem wczoraj parem Francji, byłem za Regencją i wierząc, że Republika jest przedwcześna, będę i dziś jeszcze za Regencją.

— Narody stoją ponad dynastiami — odparł Lamartine. — Ja także byłem rojalistą.

— Pan był deputowanym, wybranym przez naród; ale ja byłem parem, mianowanym przez króla.

— Król, wybierając pana, w myśl Konstytucji, spośród jednej z kategorii, z których rekrutowała się Izba Wyższa, chciał tylko przynieść chlubę instytucji parów i samemu sobie.

— Dziękuję panu — rzekłem — ale pan patrzy na rzeczy z zewnątrz, ja zaś z własnego sumienia.

Przerwał nam odgłos wielokrotnych strzałów, dochodzących z placu. Kula wybiła jedną z szyb nad naszymi głowami.

— Ach, mój przyjacielu — rzekł Lamartine — jakże ta władza rewolucyjna jest ciężka! Takie są odpowiedzialności i tak nagle wobec sumienia i wobec historii! Od dwóch dni nie wiem doprawdy jak żyję. Wczoraj miałem zaledwie kilka siwych włosów, jutro będą wszystkie białe.

— Tak, ale spełnia pan wzniośle obowiązki geniuszu.

W kilka minut potem wrócił Armand Marrast.

— To nie było przeciw nam — rzekł — ale nie umiano nam wyjaśnić dokładnie tej opłakanej utarczki. Zdaje się, że było jakieś nieporozumienie w tłumie, strzały padły, dlaczego? czy przez omyłkę? czy wskutek starcia się republikanów z socjalistami? Nie wiadomo.

— Czy są ranni?

— Tak, nawet zabici.

Nastąpiło przykre milczenie. Wstałem.

— Będziecie musieli zapewne przedsięwziąć jakieś środki ostrożności.

— Ee! jakie środki — rzekł smutnie Lamartine. — Dziś rano postanowiliśmy już mniej więcej to samo, co pan uczynił w swoim okręgu: gwardia narodowa uruchomiona; każdy Francuz żołnierzem, a zarazem wyborcą. Ale trzeba czasu, a tymczasem... — wskazał mi przez okno na fale i przypływy miliona głów:

— Patrz, wszak to morze!...

Korespondencja

„SMOLARSKI VERSUS HUXLEY"

Do redaktora „Odrodzenia"

Autor „Listu do A. Huxleya", p. Mieczysław Smolarski („Nowiny Literackie", 25 stycznia 1948, str. 7), wyraża nadzieję, że przedstawiona przez niego sprawa doczeka się wyjaśnienia ze strony autora „Nowego wspaniałego świata". („Nowy wspaniały świat", który ukazał się w 1932 r., zawiera motywy znane z kilku powieści p. Mieczysława Smolarskiego, opublikowanych w latach dawniejszych. Chodzi tedy o wyjaśnienie, czy A. Huxley nie wykorzystał przypadkowo fragmentów powieści p. M. Smolarskiego, rozpowszechnionych poza Polską w formie nieznanych autorom: adaptacji filmowych, lub też tłumaczeń na jeden z języków zachodnio-europejskich). Przytoczone w „Liście" urywki treści utworu A. Huxleya, zestawienie ich z fragmentami utworów p. M. Smolarskiego, analogie motywów, sposobów obrazowania itp. przedstawiają materiał tak frapujący, że rachuby autora „Listu" na pozytywną dlań i pełną satysfakcję dającą odpowiedź ze strony A. Huxleya wydają się całkowicie uzasadnione.

W związku ze sprawą „Smolarski versus Huxley", jako też w związku ze sprawą wpływów i zależności literackich w ogólności (sprawą tak głośno u nas omawianą przed laty, zdaje się, około dwudziestu pod wpływem głosu prof. W. Borowego) pozwolę sobie przytoczyć pewien fakt z dziedziny dawniejszego piśmiennictwa angielskiego.

Do r. 1927 nic nie wiedziano o tym, że angielski poemat epicki „Beowulf" (opisane w nim wypadki odnoszą się do w. VI, data powstania poematu niepewna, najstarsza kopia oryginału pochodzi z końca w. X) zawiera uderzające podobieństwo do utworu poetyckiego, który był śpiewany lub recytowany na dworze monarchy Kaszmiru w w. XI. Autorem wersji orientalnej był kaszmirski poeta Somadewa. (Por. A. H. Krappe *), „Eine mittelalterlich-indische Parallele zum Beowulf", w „Germanisch-Romanische Monatsschrift" za r. 1927). Dociekania drogą penetracji „Beowulfa" w okolice podhimalajskie wypadły negatywnie. W poemacie kaszmirskim dopatrzyć się można tylko uderzających „paralel", lecz nie wpływów czy zależności. Szlak wędrówki motywów bajek lafontainowskich dał się wprawdzie dość dokładnie określić (Pancratandra — fabulistyka Bidpai — motywy Lewantu — Grecja — i dalej na północny zachód); trasy „Boewulfa" w kierunku odwrotnym wyśledzić nie zdołano.

Dociekając „wpływów i zależności" w wypadku wspomnianego poematu angielskiego, wskazywano nie tylko na zbieżność licznych motywów, sposobów obrazowania itp., lecz także na końcowy wspólny motyw „aut aliquid iuvat"; ten ostatni argument zdawał się już niezbicie wskazywać na fakt zapożyczenia literackiego. Ale czyż nie jest rzeczą możliwą, że zespół motywów wraz z końcowym morałem został wypracowany jeszcze przed chwilą rozbicia się wspólnego macierzystego pnia ludów indoeuropejskich? Był więc kiedyś własnością wspólną, rozniesioną później w przeciwległe strony świata (jest to tzw. „Urverwandtschaft"). Albo też, czy autorom, mieszkającym na przeciwległych krańcach ziemi, ale wyposażonym w mózgi analogicznie skonstruowane, nie mogą być wspólne pewne drogi rozumowania i moralizowania, jako też pewne źródła inwencji poetyckiej, mimo że autorów tych dzielą nieprzebyte góry i rzeki?

W sprawie „Smolarski versus Huxley" nie wydaje się prawdopodobne, aby po stronie autora angielskiego mógł mieć miejsce wypadek nie tylko świadomego, ale nawet mimowolnego zapożyczenia. Najprościej wytłumaczyć sobie to można przypadkową zbieżnością, będącą wysiłkiem tych dyspozycji umysłowych, które wrodzone ma sobie homo sapiens, niezależnie od geograficznego położenia środowiska, w którym żyje, niezależnie od koloru nieba i rodzaju klimatu.

Ilekroć w literaturze mamy do czynienia z podobnym problemem, rozwiązanie jego zależeć winno od odpowiedzi na pytanie: „wpływy i zależności" czy też „paralelizm"?

T. Grzebieniowski
(Łódź).

*) A. H. Krappe jest filologiem i literatem amerykańskim, piszącym czasami w prasie naukowej francuskiej i niemieckiej.

Nagroda literacka Katowic

Nagrodę literacką Katowic przyznano za rok 1947 Janowi Brzozie za całokształt jego twórczości, z uwzględnieniem szczególnym nowej powieści pt. „Ziemia". W roku 1932, Brzoza jako bezrobotny, sięgnął po pióro, by odezwać się na konkurs Instytutu Gospodarczo-Społecznego. Tematem tego konkursu było bezrobocie. Jan Brzoza od tej pory staje się literatem. Daje powieść pt. „Dzień", dramat „Stary dzwon". Obecnie pracuje w Katowicach jako dziennikarz i literat. Jan Brzoza jest lwowianinem. Dzieciństwo miał bardzo trudne. Skończył zaledwie pięć klas szkoły powszechnej. Nagroda literacka Katowic, przyznana J. Brzozie, powinna zwrócić uwagę szerszych kół czytelników na jego twórczość.

ec

rys. Bronisław W. Linke

„Deszcz Wolności"

DWA REALIZMY

W „Nowinach Literackich" wystąpił Edward Csato z artykułem wstępnym o prozie współczesnej. Dyskusja o prozie toczy się na łamach naszych pism od kilkudziesięciu miesięcy, wypełniając czołowe kolumny i mobilizując czołowe pióra. Świadczy to niewątpliwie o tym, że była potrzebna. Leżący jednak przed nami artykuł Csato jest smutnym dowodem faktu, że dyskusja o realizmie aczkolwiek potrzebna, *nie była dla niego dostatecznie zrozumiała i skuteczna:* „O realizmie — pisze Csato — mówiło się ostatnio tak wiele, a nigdy jakoś nie można było dojść do porozumienia; właściwie nikt z nas dobrze nie wie, czym jest ten realizm i jakie są jego granice". — Załóżmy na chwilę, że Csat rzeczywiście nie zrozumiał, co to jest realizm, po wszystkich dyskusjach, które zapewne śledził, po przeczytaniu Balzaka, Turgeniewa, Stendhala i Tołstoja, Prusa i Szołochowa. Jeżeli naprawdę po tym wszystkim nie zrozumiał, to chyba dlatego, że brał udział w dyskusji w sposób bardzo u nas charakterystyczny. To znaczy, nie słuchał partnera, lecz w skupieniu wewnętrznym czekał, aż tamten zmilknie, żeby wyskoczyć z własną, jak sądzi, koncepcją realizmu, o której tak zawzięcie medytował, zamiast słuchać w czasie, kiedy inni mówili.

Znamy ten pęd do samodzielności. Csato nie poprzestaje jednak na stwierdzeniu, że sam nie zrozumiał, czytamy że: „Nikt z nas właściwie dobrze nie wie, czym jest ten realizm".

— Przepraszam, przyznanie się do tego, że się nie rozumie, jest nawet cnotą, ale usprawiedliwianie się tym, że nikt nie zrozumiał przypomina chwyty z czasów sztubackich. Każdy z nas, kiedy wracał do domu z dwóją, tłumaczył rodzicom, że cała klasa ma dwóje. Czuję się osobiście dotknięty oceną Csato. Nie zasłużyłem na dwóję z „realizmu". Jak i wielu innych naszych kolegów z tej samej klasy.

Przeciwnie, nie tylko nas, ale nawet samego siebie krzywdzi Csato tak surową oceną, bo jak wynika z dalszych rozważań jego artykułu, doskonale zrozumiał co to jest realizm. Wystarczy przeczytać kilka, jakże trafnych i powszechnie znanych sformułowań Csato, do których doszedł żmudną, ambitną drogą samodzielnego myślenia. Nie jest to najoszczędniejszy sposób korzystania z dyskusji o realizmie, ale trudno, jeżeli nie można zmusić kogoś do słuchania, to dobrze, jeżeli skłoniliśmy go bodaj do myślenia. Czytamy więc: „Nieprawdą jest bowiem, że dziejące się wokół nas wydarzenia traktowaliśmy jak sen czy fantazję. Przeciwnie, w pełni zdawaliśmy sobie sprawę z ich realności, a zmieniły się jedynie proporcje rzeczy i ich hierarchia; zmieniły się właśnie w kierunku, który w literaturze prowadzi do tzw. „realizmu". — I nieco niżej — „Przy obiedzie i kolacji przestaliśmy tyle mówić o plotkach, dotyczących seksualnego pożycia naszych bliźnich, a zajęliśmy się zdarzeniami o sprawach tak powszechnych i ważkich, jak sens toczącej się walki, warunki zwycięstwa, potrzeba nowej organizacji społeczeństw, mającej zapewnić trwały pokój ...Cóż dziwnego, że równolegle do tej zmiany zainteresowań i w tym samym kierunku zmieniły się nasze upodobania literackie?" — Pięknie! Piątka z plusem z realizmu. Niestety, tylko w teorii, mimo słusznego i pełnego optymizmu zakończenia: „Wbrew tezom Kotta można uwierzyć w rozwój samej literatury, prowadzący w kierunku realizmu".

Gdyby Edward Csato nie był czymś więcej niż Edwardem Csato! Edward Csato jest dzisiaj mimo wielce zindywidualizowanego nazwiska, zjawiskiem pospolitym, charakterystyczną postacią w obozie literackim. Liczni Edwardowie Csato tkwią jeszcze emocjonalnie w przyczynkarstwie, w sympatycznej anegdocie, gdy intelektem pojmują już „hierarchie", „sens toczącej się walki, potrzebę nowej organizacji społeczeństw." Wystarczy porównać początek i koniec artykułu Csato.

Żeby związać w umyśle Edwarda Csato początek z końcem, zharmonizować uczucia z intelektem, spróbuję go zemocjonować. Może wykrzesaną przeze mnie iskrę uczucia podchwyci myślą i zracjonalizuje ją w ideę.

Oglądaliśmy w Łodzi i Warszawie „Noce gniewu" Armanda Salacrou, widzieliśmy w Łodzi „Starą cegielnię" Jarosława Iwaszkiewicza. Identyczną tematyka, ten sam czas. Okupacja. I tu i tam nie widać Niemców na scenie. I tu i tam problem walki podziemnej. I tu i tam ukrywający się u ludzi bojownik z przestrzeloną ręką. I tu i tam wydają bojownika w ręce niemieckie ludzie, którym zawierzył. I tu i tam kobieta. I tu i tam strzały na scenie.

Gdyby Jarosław Iwaszkiewicz potraktował „Starą cegielnię" z mistrzowskim realizmem z jakim pisał „Czerwone tarcze", mielibyśmy dziś na wszystkich scenach Europy sztukę o polskim ruchu oporu i polskie męstwo na ustach i w sercach Europejczyków. Dokonał tego Armand Salacrou. Bohater Iwaszkiewicza nie wie, o co walczy, „Szpagat" w „Nocach gniewu" walczy o „sens toczącej się walki, o warunki zwycięstwa, o nową organizację społeczeństw" (patrz słowa Edwarda Csato). Kobieta w „Starej cegielni" wydaje bohatera Niemcom pod wpływem impulsu, po sprzeczce ze znienawidzonym mężem, po całym łańcuszku impulsów innych postaci sztuki na złość mężowi, kobieta w „Nocach gniewu" to typ społeczny, przedstawiciel klasy, jej postępowanie wynika z całego życia ogromnej grupy ludzi.

Z głuchą rozpaczą siedziałem na „Nocach gniewu". Rozpacz tym dosadniejsza, że w realizmie obrazów, w realizmie ludzkich spraw i charakterów „Stara ciegielnia" bardziej przekonywuje niż „Noce gniewu". Taki los. Widocznie wypada nam nadążać za Francuzami jak w Saint-Moritz. Wyprzedzili nas o tyle, ile metoda realizmu wyprzedza metodę realizmu przyczynkarsko-anegdotycznego.

W ostatnim słowie Csato znowu powraca do krytyki realizmu. Nadaje tym swojemu artykułowi właściwości bumerangu, powracającego zawsze do punktu wyjścia. Kpiąc z realizmu, powiada: — „Dobre metody są dobre, dopóki nie przynoszą zbyt wielu szkód".

Jan Rojewski

STANISŁAW JERZY LEC

Na jednego humorystę obozu katolickiego — Kisiela

Gdyby miał humor, byłby humorystą,
Gdyby miał dowcip, byłby satyrykiem,
Gdyby ideę miał — idealistą,
A gdyby wierzył byłby katolikiem.

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.,** która ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

AMBITNE KOBIETY

Tydzień temu donosiliśmy o dzielnych mężczyznach - położnicach z Grudziądza, a już dowiadujemy się z „Głosu Robotniczego", że i kobiety, zdopingowane przykładem samodzielnych mężczyzn, postanowiły przejść na autarkię:

Spróbujcie!

SPORTOWIEC — ETYMOLOG

W Expressie Wieczornym" czytamy:

„Jaki jest źródłosłów słowa „tenis"? Podobno powstało od słowa „tenes". Skąd jednak powstał ten wyraz — nie wiadomo".

Zastanówmy się z kolei, jaki jest źródłosłów słowa „michałek"? Podobno powstało od „Michała", autora wzmianki. Ale skąd jednak wziął się autor do redakcji — nie wiadomo.

NA SREBRNYM GLOBIE

Z „Kuźnicy" dowiadujemy się, że:

„Molier, Prus, Sartre — rozpiętość okresów historycznych niemała. Wiek osiemnasty — wiek dziewiętnasty — współczesność".

I nieco dalej, żeby utwierdzić nas w przekonaniu, że Molier żył nie w siedemnastym wieku (1622—1673), lecz w osiemnastym, autor artykułu, Juliusz Żuławski powtarza:

„Grane obecnie w Łodzi trzy sztuki sceniczne — należące do trzech kolejnych stuleci..."

Upór godny lepszej sprawy.

NOSIŁ WILK RAZY KILKA...

Od adwokata Lubomira Terpińskiego otrzymaliśmy następujący list: „Przesyłam w załączeniu do Waszej „Camera Obscura" wycinek z pisma „Odrodzenie" Nr 11 (172).

Oto wycinek:

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY LOGIKA

Józef Pieter. Walka ze strachem. (Strach i odwaga w życiu ludzkim). Katowice, Józef Nawrocki, 1947; str. 127 i 3nl.

Biblioteka Socjalizmu Naukowego. *Jerzy Piechanow.* O roli jednostki w historii. Wydanie drugie. Warszawa, „Książka", 1947; str. 53 i 3 nl.

Stefan Rozmaryn. U źródeł faszyzmu. Fryderyk Nietzsche. Warszawa, Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych, 1947; str. 83 i 1 nl.

„A już wkrótce — czytamy w liście — ukażą się dzieła z zakresu socjologii, a mianowicie: Arystotelesa — „Organon", Wundta — „Logika" i Jevonsa — „Logika".

Dziękując za wycinek i komentarz, pytamy jednocześnie autora „Tygodnika Bibliograficznego" — Gdzie logika?

NOWINKI LITERACKIE

„Nowiny literackie" donoszą w rubryce „Spostrzeżenia":

„...pozostało uczucie ciepła ogarniające nas zawsze, gdy słyszymy słowa takie, jak: Krucza (toż tu mieszkała Izabella Rzecka,..."

Więcej spostrzegawczości, a mniej uczucia, obywatele! Izabella Łęcka, ta z „Lalki" Prusa, nie wyszła za mąż za starego subiekta, Rzeckiego. O ile ją znamy nie zrobiłaby tego i w dalszych tomach „Lalki". Nie lubiła subiektów.

SZCZYT ZAGĘSZCZENIA

Ob. J. N. informuje młodzież w „Dzienniku Młodych", dodatku do „Dziennika Polskiego", że na skalistej wysepce w Zatoce Cierpliwości:

„Na 1 m kw. w okresie „ptasiego sejmu", przypada blisko 100 tysięcy ptaków".

Czyli dziesięć ptaszków na 1 cm². Nawet najcierpliwsza wyspa zbuntuje się od takiego zagęszczenia.

ZDROWE RĘCE

W „Głosie Wielkopolskim" czytamy:

„Nasza młodzież licząca jakby nie było 4,5 mil. osób nie może pozostać w tyle za rówieśnikami zaprzyjaźnionych narodów. Te 4,5 miliona młodych i zdrowych rąk muszą wziąć udział w realizacji planu trzyletniego".

Słusznie, ale czy tylko inwalidzi powinni pracować?

REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, telefon 85-588 — Redaktor przyjmuje od godz. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, telefon 87-112 Konto w PKO nr I-4739.
Drukarnia nr 2 „Czytelnik" Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł. kwartalna 240 zł B-49025 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"